Styczeń — Luty — Marzec 1936

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

Nr. XLVII

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 6, TELEFON 9-27-61

Styczeń — Luty — Marzec 1936

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

TRYBUNA POLSKIEJ MYŚLI PAŃSTWOWEJ

Nr. XLVII

106

WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11, m. 8, TELEFON 9-27-61

S. A. Z. G. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 5.87-96.
w dzierżawie Spółki Wydawn. Czasopism, Sp. z o. o.

T R E Ś Ć:

WALKA ZE ŚWIATEM MARKSA.

Uderzyło...!

I to uderzyło potężnie. W końcu stycznia zjawiły się równocześnie w obu czołowych dziennikach socjalistycznych — „Robotniku“ warszawskim i „Naprzodzie“ krakowskim — równobrzmiące, wielkie artykuły pod tytułem „Szkodliwe brednie — zagraniczna polityka sanacyjnej konserwy“, rzucające pioruny w Naszą Przyszłość z powodu jej artykułu „Sojusz antybolszewicki“, zamieszczonego w poprzednim tomie. Dawno już, na tle ogólnego marazmu i drobiazgowego politycznego dojutrkowania wszystkich partji i sfer społeczeństwa, nie wyprowadziło nic tak z równowagi naszych krajowych marksistów, jak ten nasz właśnie, spokojnie i rzeczowo ujęty artykuł. Bo aż dwa identyczne dzwony alarmowe w naczelnych organach polskiego socjalizmu, to coś znaczy! Trzeba przyznać, że socjaliści nasi, to wcale nie tromtadraci, jak wiele innych, dobijających się tylko o mandaty i djety, krótkowzrocznych partyjek. Socjalizm, to bądź co bądź wielki program i wielka idea, z szerokim horyzontem na daleką rzucona metę, która w znacznym stopniu ludzkość z posad ruszyła i w różnych swych przejawach wykazała, że coś zdziałać potrafi. Nawet opanować wielkie państwa.

Nie byle co więc może poważne organy socjalistycznego poglądu wyprowadzić z równowagi. Musiał tedy występ nasz zawierać coś takiego, co wydało się prawdziwie groźnem redakcjom Robotnika i Naprzodu, przynajmniej narazie, potencjalnie. Zwietrzyli nasi adepci doktryny Marksa, że w po-

ciągnięciu Naszej Przyszłości wyrasta im wróg śmiertelny, całkiem innej kategorji, niż daleko mniej niebezpieczne burżuazyjne dzienniczki partyjne, interesujące się aktualjami i mandatami lub zrzeszenia antybolszewickie, czy inne, dość niewinne sposoby obrony „ustroju kapitalistycznego“. A tajemnica tego nagłego rozstroju nerwowego polskich socjalistów leży w tem, że Nasza Przyszłość, stawiając dokonywujący się i już, już dojrzewający organiczny podział Europy na dwa, istotnie — a nie tylko dyplomatycznie — wrogie sobie obozy, stawia jasno realny program konsolidacji państw o antymarksowskim ustroju przeciw wielkie lidze o charakterze mniejwięcej socjalizującym, budującym się od Moskwy przez Pragę do Paryża.

Misterna a sprytna ta budowa dzieje się wprawdzie na oczach całego świata, ale świat ten, zaaferowany tragi-komicznemi aktualjami politykierstwa z dnia na dzień i sensacyjnej krętaniny kalejdoskopowej nad Lemanem i Sekwaną, dostatecznie tej budowy nie zauważył. Widział, lecz nie dostrzegał. I myśleli sprytni towarzysze z pod różnych czerwonych znaków — choć niby ze sobą skłóceni, ale bądź co bądź jednej służący idei — że wśród chaosu spraw abisyńskich i śródziemnomorskich, i naddunajskich, i locarneńskich i stresańskich, czy innych, tym podobnych blag i wzajemnych uszukaństw burżuazyjno-imperjalistycznych, cichy ich a potężny plan dojdzie niepostrzeżenie do skutku i już nie z Moskwy tym razem, ale z serdecznego, kulturalnego Paryża, de la Ville Lumière, zaskoczy krótkowzrocznych burżujów i postawi Europę przed faktem dokonanym. Co za wspaniały pomysł! Nieprzerwana wstęga czerwonych flag od Władywostoku przez Moskwę, kraje Małej Ententy, do Pirenejów, a może i poza Pirene-

je! Włochy zabrnęły w trzęsawisko abisyńskie, w którem może faszyzm się utopi, zwłaszcza, jeżeli towarzysze angielscy domopogą, a wówczas na Kwirynale (a może i na Watyaknie!) załopocą tryumfalnie czerwone flagi. „Faszyzm“ węgierski, ze wszech stron otoczony, będzie także zduszony — do czego chrześcijańska, ale historycznie głupia Austrja ze strachu przed Anschlussem dopomoże. No, a wtedy „pułkownikowska“ Polska, izolowana kompletnie i osłabiona walką endecji z sanacją, pozostanie również na łasce i niełasce czerwonego sztandaru.

Prawda, jaki to plan wspaniały! Że też żaden z burżujów, zaaferowanych oczywiście stuprocentowo kryzysem gospodarczym i przez to pogrążonych w najgrubszym materjaliźmie, nigdy się na podobną myśl nie zdobył!

Aż tu nagle ta wstrętna Nasza Przyszłość, to obrzydliwe, „pękate“ wydawnictwo „sanacyjno-konserwatywne“, dewualuje bez żadnego taktu dyplomatycznego tę przemisterną robotę i niedość, że dewualuje, ale i działa, sugerując bezczelnie konsolidację państw, rządów i wojsk przeciw czerwonej robocie, ba, sprzeniewierzając się nawet „słowiańskiemu braterstwu“, sprzeniewierzając się cieniom Napoleona i Focha i propagując sojusz polsko-niemiecki pod oburzającym pretekstem, że wszystko lepsze dla Polski od marksizmu. A to już nie niewinna rozgrywka partyjno-wyborcza, ani nie rzewne a nieszkodliwe gardłowanie antybolszewickie, ale buntowanie całych państw przeciw czerwonym towarzyszom i ich wiernym wykonawcom z nad Wołgi, Wełtawy i Sekwany!

Nic więc dziwnego, że zrutynizowane w swej doktrynie redakcje pism socjalistycznych zerwały się z foteli i rzucając w gorączce zwykłe redakcyjne pióra o ziemię, chwyciły za sznury dzwonów alarmo-

wych. Tylko znowu beznadziejny w polskiej prasie, prawdziwie epidemiczny brak informacji kazał szanownym towarzyszom mianować nas zdawkowo „sanacyjną konserwą“. Zupełnie niezdolni wyrwać się psychicznie z utartych i wytartych rubryk partyjniczych, przybitych i pożółkłych od lat nad każdym stolikiem redakcyjnym, ranżują nas szanowni towarzysze w jedną i tę samą rubrykę z Czasem warszawskim, Słowem wileńskiem i Buntem Młodych! Kapitalny kawał, nieprawda?! Co właściwie ci pp. dziennikarze robią, skąd czerpią swe wiadomości, a przedewszystkiem za co pobierają pensje i wierszowe, jeżeli nic nie wiedzą, nic nie czytają i w niczem się nie orjentują? Nawet w rzeczach, sięgających wstecz już od lat kilku. Przecież dziennikarz — i to w dodatku czujny socjalista — zanim zamachnie się piórem, powinien przynajmniej wiedzieć, o kim i o czem pisze. To chyba najprymitywniejsze wymaganie, jakie postawić może biedny prenumerator z pośród pracującego ludu, który w ciężkich czasach znosi gorzko uciułaną prenumeratę do kas redakcyjnych! Ale nie po raz pierwszy konstatujemy w prasie polskiej, że redakcje pism codziennych, o ile żądne są tanich sensacji, o tyle uważają za niegodne ich majestatu dokładniejsze poinformowanie się o tem, co, gdzie, kto i jak.

Ponieważ Nasza Przyszłość nie jest na szczęście zależna, ani finansowana przez żadną partję, czy grupę, czy zwłaszcza redakcje dzienników, więc też nie widzimy powodu ani obowiązku informowania redakcji Robotnika czy Naprzodu o tem, czem jest w istocie Nasza Przyszłośé i stworzony przez nią taki sobie skromny i bezpretensjonalny Związek Polskiej Myśli Państwowej, a w szczególności jego sekcja dla pewnych, specjalnie ciekawych spraw zagranicznych. Jeżeli wymienione redakcje, w rzetelnem

wykonaniu swego „obowiązku dziennikarskiego“, chciałyby się pod tym względem oświecić, to nie poskąpimy im szczerych wyjaśnień. Tylko odradzamy im szukania tych wyjaśnień po mieście, zwykłym systemem reporterskim. Ten stanowczo zawiedzie w tym wypadku. I prosimy tylko najuprzejmiej obie szanowne redakcje wyrzucić Naszą Przyszłość stanowczo i daleko z rubryki wyżej wspomnianych pism konserwatywnych. Pisma te bowiem są całkiem niewinne w poczynaniach Naszej Przyszłości i nie mają z nią nic — wspólnego. I wogóle Robotnik i Naprzód krzywdę czynią stronnictwu konserwatywnemu, obarczając je — w błogiej nieświadomości stanu rzeczy — współodpowiedzialnością za występki Naszej Przyszłości.

I to samo obowiązuje codzienną prasę polską wogóle, jeżeli ma rzetelnie pełnić swój obowiązek informacyjny. Erst wissen, dann reden!

Ale od wiecznych omyłek dziennikarskich wróćmy do rzeczy. A chodzi o rzecz istotnie poważną.

Słusznie, ze swego punktu widzenia, poznali się polscy socjaliści na tem, czem im grozi taka inicjatywa nowych torów myślenia polskiego społeczeństwa w sprawach zagranicznych, jaką rzuciła Nasza Przyszłość w poprzednim tomie. Wprawdzie mowa tam głównie o bolszewizmie i Rosji Sowieckiej, ale z konieczności i o marksizmie wogóle. A chociaż polski socjalizm walczy z bolszewikami i w razie ich dojścia do władzy w naszym karju pierwszy poszedłby na latarnię lub pod ścianę, to jednak fatalizmem identycznej doktryny jest do rydwanu Marksa przykuty. Ten fatalizm sprawia, że zwycięstwo komunizmu byłoby wprawdzie zagładą polskiego socjalizmu i drugiej międzynarodówki wogóle, ale przegrana komunizmu sprowadziłaby socjalistom również za-

gładę. Tak więc stosunkowo najlepszym jest dla nich obecny stan rzeczy: komunizm wojujący, dobijający się dopiero o wpływy w różnych państwach, potrzebuje tamtejszych organizacji socjalistycznych w roli swych pionierów i awangardy i dlatego z niemi politykuje i wchodzi w chwilowe kompromisy. Ale gdyby zwyciężył sam, to spotkałby socjalistów los „burżujskich lokai"...

Dlatego socjaliści we wszystkich krajach Europy nie pragną oczywiście zwycięstwa Kominternu, ale pragną jak największego wpływu, doprowadzenia parlamentów, ustrojów i stosunków do stadjum „półsocjalizacji", czy przynajmniej dość daleko posuniętej etatyzacji i proletaryzacji, aby, oparłszy się silniej na takiej podstawie realnej, zaimponować swym antagonistom z pod znaku sierpa i młota i zmusić ich do układów na serjo. Stwierdzamy, że jeżeli trzecia międzynarodówka zawładnęła Eurazją, to druga zawładnąć chce środkową i zachodnią Europą, posługując się w tym celu różnemi innemi narzędziami i prądami międzynarodowemi i napół wywrotowemi, a nawet pewnym republikańskim patrjotyzmem lokalnym, o swoistym odcieniu. Orzeł Biały ma w tych celach tak samo posłużyć, jak Lew czeski i francuska Trykolora, a poniekąd nawet brytyjski Jednorożec (usymbolizowane mytem, dziwną ironją dziejów, prawdziwe zwierzę dyluwjalne syberyjskie z rzędu gruboskórnych, zbliżone do nosorożca, Elasmotherium sibiricum), a przedewszystkiem zniszczenie faszyzmu i królestwa we Włoszech. Najpodatniejszemi zaś w tym celu państwami są Czechy i Francja, gdzie społeczny radykalizm, masonerja i bezreligijny judaizm stanowią najżyźniejszą rolę dla ekspansji socjalizmu. Tylko, że tam właśnie i rosyjski bolszewizm też nie próżnuje i górując coraz

bardziej nad gadatliwo=mieszczańskim socjalizmem zarówno swą absolutną bezskrupulatnością, jak i po=tężnymi środkami materjalnymi i propagandowymi wielkiego państwa, wprzęga srodze zakłopotaną dru=gą międzynarodówkę w szeregi swej awangardy ra=zem z trzema wyżej wspomnianemi prądami. Biedni są więc w gruncię rzeczy nasi poczciwi towarzysze z firmy Robotnika i Naprzodu: sie glauben zu schie=ben und sie werden doch geschoben!

W takiej sytuacji, niesłychanie delikatnej i kło=potliwej, której losy jako tako pomyślnie tylko w wielkiej dyskrecji i pod zasłoną rolet w oknach re=dakcyjnych i partyjno=klubowych kierowane być mogą, wśród rozlicznych przeszkód, raf i manow=ców—brutalne, bezczelne swą szczerością i prostotą, zbyt rzeczowe, a zupełnie niedyplomatyczne wystą=pienie Naszej Przyszłości — wśród niewinnej papla=niny aktualistycznej dzienników burżuazyjnych — musiało wywołać szok nerwowy i atak furji. Bo wprawdzie Nasza Przyszłość nie ma w ręku żadnej widomej, konkretnej władzy, nie opiera się na żad=nych bagnetach, ani bojówkach, ani nawet choćby tylko na poparciu jakichkolwiek dygnitarzy — to prawda. Ale wiadomo dobrze naszym, wyszkolonym w robocie społecznej towarzyszom, że w obecnych warunkach galaretowatej, programowo osłabionej, niezdecydowanej i zaplątanej w sieć beznadziejnych sofizmatów „zgniłej" Europy takie bezczelne, twar=de, apodyktyczne, wgłąb samego sedna sytuacji się=gające wystąpienie Naszej Przyszłości, łamiące wszelkie utarte konwenanse dyplomatyczno = publi=cystyczne, wywołać może — prawem lawiny — ruch i prąd, dla subtelnych planów pepesowskich wielce niebezpieczny. Wszak zależy im teraz właśnie na zbliżeniu do Blumowskiej Francji, zawierającej bra=terski sojusz z Sowietami i na ułagodzeniu radykal=

no-masońskich Czech. A pan Titulescu — reprezentant filosowieckich, radykalno-masońskich wpływów w Rumunji — ma całej tej koncepcji ułatwić drogę, stwarzając niezbędne połączenie bezpośrednie Rosji z jej marksowskiemi kolonjami w centralnej i zachodniej Europie.

Ale, co najciekawsze i najpikantniejsze, to genjalna zemsta za zgniecenie socjalizmu armatami w Wiedniu, dokonane parę lat temu przez Dollfussa! Oto schrystjanizowana przez niego Austrja — poprzednio już niemal czerwona — ma być teraz tak zastraszona widmem Anschlussu i grozą hitleryzmu, że rzucić się ma w objęcia znienawidzonej doniedawna Pradze. Potężny pierścień mało-entencki otoczyć ma i zamknąć religijno-konserwatywną twierdzę węgierską i zdać ją już całkowicie na łaskę i niełaskę socjalmasonerji Małej Ententy, rządzonej przez spółkę Benesz - Titulescu, czerpiącą swą moc bezpośrednio z zakonspirowanych zakamarków wywrotowych Paryża, przy zakłopotanem współdziałaniu Jugosławji, w tem wszystkiem wprawdzie bezpośrednio nie zainteresowanej, ale zależnej od Francji i bojącej się faszystowskich Włoch.

A nad tem wszystkiem góruje — przynajmniej narazie — uparta złuda małomieszczańskiego rentjera francuskiego odzyskania swych pieniędzy, lekkomyślnie przed wojną białemu carowi pożyczonych. Dziesięć miljardów, czy nawet trzydzieści, jak twierdzą niektórzy, to nie fraszka. Co wziął car biały, to niech odda czerwony — niech odda za każdą cenę, nawet poczerwienienia patrjotycznej Trykolory! Wszak dla rentjera francuskiego obojętne wszystko, co się dzieje na świecie, byle tylko jego renta wysoko stała na giełdzie. La bourse, la bourse! — oto naczelne hasło polityczne i kwintesencja dziejów świata dla przeciętnego Francuza z bulwarów

i fermy. Z tem najbardziej ze wszystkiego liczyć się muszą rządy, parlamenty i partje francuskie i na tem jadą tam wgórę najwygodniej wyznawcy marksowskiej doktryny, a zwłaszcza dalekosiężna polityka Sowietów. W imię tego hasła zawrze Francuz pakt nawet z samym Lucyperem...

Tak więc najgrubszy materjalizm burżuazyjny podaje rękę najskrajniejszemu wrogowi burżuazyjnego ustroju. A paradoksalny ten sojusz, który grozi Europie największym kataklizmem i wywrotem, rozwija się przy akompanjamencie drugorzędnych komparsów, to jest międzynarodówki socjalistycznej, intryg masońskich i zabawnych, choć wielce niebezpiecznych dążeń do hegemonji w środkowowschodniej Europie ze strony maleńkiego narodu czeskiego, który przez swych rządców otumania inne kraje Małej Ententy, a nawet schrystjanizowaną ustrojowo Austrję, popychając je do samobójczych pociągnięć, djametralnie sprzecznych z najżywotniejszym tych państw interesem.

A w najgłębszej, rzeczywistej rzeczywistości korzysta z tego wszystkiego odwieczny imperjalizm Moskwy, który, przewidując nieuchronną konieczność swej niedalekiej kapitulacji na dalekim wschodzie przed żelaznym naporem cesarstwa japońskiego, mobilizującego konsekwentnie narody rasy żółtej pod swą hegemonją, czy nawet wprost władzą, rzuca się teraz tam intensywniej na skłóconą i przejętą kwestją abisyńską i nadreńską Europę, torując sobie przez Rumunję i Czechosłowację ufortyfikowane drogi wypadowe, budując wzdłuż Karpat lotniska i bodajże nawet i forty pod kierunkiem oficerów sowieckich i drwiąc sobie w gruncie rzeczy zarówno z francuskiego rentjera, jak gadatliwej a nieszczerej Ligi genewskiej, z nowokreowanych lub nowopowiększo-

nych na węgierskiej krzywdzie państw Małej Ententy, z kłopotów śródziemnomorskich anglo-włoskich, z całej kuchni masońskiej, a najbardziej z konserwatywnej, zaśniedziałej i chytro-naiwnej drugiej międzynarodówki.

Tak — z konserwatywnej, bo nic bardziej zaśniedziałego, bardziej wstecznego i bardziej paradoksalnego niepodobna sobie wyobrazić, jak domorosłych wyznawców utopijnych teorji pradziada Marksa. Niepodobna zrozumieć, że w połowie już niemal XX-go wieku, w epoce trzeźwego realizmu i rozsądku, radja, aeroplanów i tak dalej, może istnieć jeszcze, zajmować stanowisko partji politycznej i znajdować środki na finansowanie dużych gazet filozoficzna utopja, podjęta z Platona, a propagowana przez pisarzy-sofistów z końcem XVIII-go i początkiem ubiegłego stulecia, a więc pochodząca z epoki zamierzchłych już dzisiaj pojęć, gdy jeszcze obowiązywała procedura tortur, a wyraz „robotnik" był istotnie niemal równoznaczny z pojęciem niewolnika. Ale dzisiaj, gdzie demokracji, demagogji, wolności, równości, uprawnień i darmowego karmienia bezrobotnego proletarjatu mamy aż za dużo, prolongowanie in infinitum dywagacji socjalistycznej doktryny jest takim anachronizmem, tak zakutem i zaśniedziałem wstecznictwem, że wobec tego nawet „konserwatyzm sanacyjny" wydaje się młodzieńczą, ultra-postępową ideą!

Oto rozwój sytuacji, na którą zanosi się w Europie. Gdyby ten rozwój osiągnął istotnie swe cele, to w ostatecznym, konkretnym rezultacie nie pozostałoby ani śladu z Małej Ententy, ani śladu z Czechów, ani śladu z majaczeń naddunajskich, ani śladu z Orła Białego i francuskiej Trykolory, a przedewszystkiem ani śladu z osiągniętego po tysiącleciach pracy stopnia cywilizacji europejskiej, a natomiast

wszędzie powiewałby sztandar pięcioramiennej gwiazdy, a „proletarjackie samostanowienie narodów“ stworzyłoby z państw europejskich prowincjonalne republiki sowieckie, z Moskwy po dyktatorsku rządzone.

Nie fantazja to, co piszemy, ale naiwnym fantastą jest ten właśnie, który w taką nieuchronną a logiczną ewolucję jeszcze nie wierzy.

Ale, że to każda akcja musi wywołać reakcję, więc też i ta nowoczesna nawała ze wschodu, posługująca się, jak posłusznem narzędziem, naiwnością, doktrynerstwem lub dziecinnem łakomstwem różnych rządów i prądów „zgniłej“ Europy, a zwłaszcza utopijnym socjalizmem, musi automatycznie wytwarzać odpór i konsolidację nawet tych państw i kierunków antymarksowskich, którym poprzednio o żadnej konsolidacji, ani współdziałaniu nawet się nie śniło.

Budapeszt, Warszawa, Berlin i Rzym — zarówno polityczny, jak nieoficjalnie i katolicki — muszą w tych warunkach stawać obok siebie w jednym froncie. Nie jest to wynikiem żadnych sztucznych posunięć dyplomatycznych, ale wprost pewnego organicznego, samozachowawczego automatyzmu. Jakaż przepaść w istocie między Berlinem a Rzymem i to Rzymem podwójnym! Jakaż odwieczna przepaść między Warszawą i Berlinem! A jednak tam zniża się wobec grozy wspólnego niebezpieczeństwa przełęcz Brenneru, a tu odwieczny topór wojenny musi być między Wartą a Odrą pogrzebany w obliczu wspólnego, daleko niebezpieczniejszego przeciwnika, niż są sobie wzajemnie Niemcy i Polacy. Nordycki neopoganizm hitleryzmu, tak nam obcy w każdym calu, choćby potrójnie jeszcze najeżony był armatami i innemi narzędziami nowoczesnej walki technicznej, daleko mniej jest nam w istocie niebezpieczny od słowiańsko-gallickiego bolszewizmu, któ-

ry, oprócz potęgi materjalnej, posiada zdradliwszą jeszcze broń zaczepną w postaci osłabiającej i wytrącającej broń z ręki gangreny, złożonej w wszelkich ujemnych dla polskiej duszy miazmatów: masońskiej pseudo-kultury, radykalno-społecznego nihilizmu, podstępnej idei słowiańskiej i marksowskiego materjalizmu w jego najgorszej, eurazjatyckiej formie. A to wszystko razem wychodzi nietylko na polityczną zagładę państwa polskiego, ale i na wyplenienie do szczętu polskości, religji i wogóle wszelkich szlachetniejszych stron cywilizacji.

Z Niemcami mogłaby nam grozić wojna i w najgorszym razie, dajmy na to, zabór przez nich ziem polskich. I cóż z tego? Przez półtora wieku wysilały się potężne Prusy przedwojenne, z najsilniejszą na świecie armją, żeby zniszczyć narodowo te trzy miljony Polaków w swym zaborze. I co zdziałały? Nic. Tem mniej byłyby wstanie zniemczyć przeszło dwadzieścia miljonów dzisiejszych Polaków, wzmocnionych narodowo i kulturalnie, aż do najniższych warstw, faktem odzyskanej niepodległości. Każdy oświecony Niemiec rozumie to już, że — przypuściwszy nawet przegraną Polski i wszechwładzę Niemiec zagarnięcia naszego państwa, co zresztą nie poszłoby zapewne zbyt łatwo — udławiłyby się Niemcy śmiertelnie takim kęsem. Natomiast gangrenująca fala marksizmu, sięgająca zapomocą surowicy słowiańskiej i radykalno-społecznego rozkładu w najgłębsze komórki polskiego organizmu, wspomagana w dodatku zdradliwą sielanką rzekomej wspólnoty szczepowej rosyjsko-polsko-czeskiej i napoleońskiemi reminiscencjami, które nas ideowo przykuwają do Paryża, a poparta potężnym sojuszem militarnym, dyplomatycznym i finansowym francusko-rosyjskim, który teraz właśnie stopniowo do skutku

dochodzi, pozostawiłaby na ziemiach Polski pustynię czerwonego piasku.

Krzyczą kawiarniani patrjotnicy — rzecz dziwna: krzyczą wspólnie z socjalistami! — że samobójczą jest dla Polski polityka bratania się z Niemcami a opuszczania „tradycyjnej francusko-polskiej przyjaźni". Ale cóż innego możemy robić? Francja, mimo wszelkich hałaśliwych a tanich manifestacji t. zw. braterstwa broni, miała Polskę zawsze za hetkę-pętelkę i traktowała nas w istocie gorzej od własnych murzynów senegalskich. Geszefciarz francuski zachowywał się w Polsce, jak biały kolonista w egzotycznym kraju niewloników, a lada urzędnik francuskiego konsulatu przybierał u nas minę i maniery rezydenta i to daleko dumniejsze, niż np. wobec sułtana marokańskiego lub słomianego cesarza Kambodży. Francja ma na eksport do nas tylko takich żyrardowskich Boussac'ów, ale nie ma na eksport franka, któryby stokroć więcej nam się dzisiaj przydał od arcydzieł tamtejszej pornograficznej i ateistycznej literatury. A teraz posłuchajmy, co w chwili pisania niniejszego artykułu donosi poważna prasa paryska.

„Pakt francusko-sowiecki — pisze „L'Intransigeant"—ma przedewszystkiem na widoku wzmocnienie Małej Ententy, która stanie się poważnym czynnikiem pokojowym dzięki poparciu jej przez Związek Sowiecki". A dalej dowodzi dość wyraźnie, że nowy sojusz francusko-bolszewicki nie jest wcale wzmocnieniem traktatu wersalskiego, ale przedewszystkiem traktatu w Trianon, a więc gwarancją utrzymania rozbioru Węgier. Zatem czemś w rodzaju znanego nam dobrze z dawnych, smutnych lat „Świętego Przymierza", stworzonego dla utrzymania rozbioru Polski.

Sytuacja więc jasna, bezsporna i żadne rzewli-

we lub krzykliwe, a równie obłudne protesty naszych domowych internacjonalistów i nacjonalistów jej wyrazistości nie zaćmią. Intryga czeska tworzy nam pod bokiem wielki, wrogi bdok państw, zamykający szczelnie Węgrom wszystkie okna na świat, a barykadujący nam również dostęp do świata. Czyni to z pomocą Francji, która wzmacnia ten megalomański koncept czeski, a raczej czesko-masoński, zawieraniem sojuszu z Rosją bolszewicką, przez co potęguje się groźny szlak czerwony przez całą Europę. A na tym szlaku jedzie do góry przedewszystkiem tryumfujący socjalizm, jako krzykliwa, lalkowata awangarda ponurego bolszewizmu.

Dziwnie, arcydziwnie wygląda na tem tle czerwieniejącej się rzeczywistości nasz domorosły, hiperpatrjotyczny nacjonalizm, uważający się za główną, niemal monopolistyczną podporę katolicyzmu i nadskakujący Czechom w takt gęśli słowiańskiej! Jak sobie da radę w tym kolosalnym splocie przeciwieństw, w którym się zaplątał dzięki swej wrodzonej ideologji hasełkowości i tromtadracji, a zwłaszcza dzięki swemu nieuleczalnemu uwiądowi słowianofilskiemu, tego nie wiemy i mało nas to obchodzi. Na upór i głupotę niema, jak wiadomo, lekarstwa. Ale to pewne, że prywatna polska opinja publiczna— gdyż polityką oficjalną nie zajmujemy się wcale — nie może pozostać obojętną na rosnące dokoła nas śmiertelne niebezpieczeństwo. Byłoby to więcej jeszcze karygodnem, niż winy praojców naszych, którym tak gorzko wyrzucamy, że lekkomyślnością swą i brakiem wszelkiego zmysłu politycznego doprowadzili dawną Rzeczpospolitą mocarstwową do upadku. Byłoby bardziej karygodnem dlatego, że ci nasi praojcowie nie mieli tego doświadczenia dziejowego, którem my rozporządzamy. Mieli natomiast jeszcze możność do jakiegoś układania się zaborczymi

monarchami, w których poddaństwo wchodzili i ostatecznie uzyskiwania od nich, jako swych „legalnych“ władców, pewnych ulg i koncesji na rzecz polskości. A dzisiaj, z kim moglibyśmy wrazie katastrofy pertraktować o Polskość i od kogo wyżebrać ustępstwa? Od bolszewika? Od Czecha? Od organizacji czerwonej lub masońskiej międzynarodówki? Albo może od zradykalizowanej, skrajnie egoistycznej masy drobnomieszczańskich rentjerów francuskich? Śmiech pomyśleć...

I dlatego, odrzucając stanowczo na bok wszelkie gramatyczne majaki słowianofilskie i wszelkie homeryczne legendy bojów napoleońskich, musi polska opinja publiczna, jeżeli choć jej cień jeszcze istnieje, szukać zdecydowanym odruchem sojuszu tam, gdzie on jest obecnie realnie możliwy. Kłamstwem jest, że my zdradziliśmy przyjaźń polsko-francuską. Zdradą tą nie były przecież w żadnym razie zawarte przed kilku laty pakty o nieagresji z Niemcami i Rosją. Były tylko jakiem takiem zapewnieniem Polsce bezpieczeństwa — przynajmniej na papierze. To Francja zdradziła nas, dążąc ponad naszą głową za wszelką cenę do odnowienia przedwojennego przymierza z Rosją, negliżując nas kompletnie w różnych międzynarodowych paktach bezpieczeństwa, gdzie była z zasady mowa tylko o zachodniej, a nigdy o wschodniej granicy Niemiec. A już to ze sobą przynosi geograficzna konfiguracja państw Europy, że które z państw zachodnich zawiera sojusz z Moskwą, to zawiera go temsamem przeciw Polsce. A więc obecny sojusz francusko-rosyjski, zawarty niby przeciw Niemcom, jest w nieuchronnej konsekwencji zawarty przeciw Polsce, zwłaszcza, że ta sama Francja, na spółkę z Rosją, realizują równocześnie czeskie marzenia o najniebezpieczniejszym dla nas bloku

państw południowo wschodniej Europy ze stolicą w Pradze. Tę rzeczywistość winien u nas przecież już nawet najzaciętszy kawiarniany słowianofil i frankofil wreszcie zrozumieć, jeżeli nie chce się narazić na śmiech pierwszego lepszego „pepiczka“ z trzeciorzędnego miasteczka czeskiego.

Czy przez to obrać miałaby polska polityka zagraniczna kierunek „germanofilski“? Nic podobnego. Oduczmy się raz operować pojęciami z okresu niewoli, kiedy to rozpaczliwa myśl wolnościowa chwytała się rozmaitych orjentacji. Wszak wówczas różne kierunki tej myśli pokładały kolejno lub równocześnie swe nadzieje lub nawet rachuby w Rosji, Prusach, Turcji, Francji, Austrji, a nawet w krwawej zawierusze socjalnej w Polsce, z czego wszystkiego miała wypłynąć wolność i niepodległość, a przynajmniej polepszenie bytu Polaków. Na tem tle rozwijały się także pewne mistyczne kierunki, jak np. wiara w Słowiańszczyznę lub w mesjanistyczne cierpiętnictwo i odkupicielstwo Polski za „zbrodnie innych narodów“. Była wreszcie ideologja zamknięcia oczu i oszu na wszystko, co się z nami i dokoła nas dzieje, a natomiast oddania się całkowicie tylko mrówczej, organicznej pracy o podłożu materjalistycznem, z czego „przyszłość sama się złoży“.

Było to wszystko zrozumiałem w okresie niewoli, gdy niepodległa Polska była tylko marzeniem. Dlatego wolno było o niej marzyć w różny sposób i różne obierać sobie dla tych marzeń tory. Było to dopuszczalnem i poniekąd zrozumiałem jeszcze w okresie wojny światowej, gdyż nikt przewidzieć nie mógł na serjo, co z niej ostatecznie dla Polaków wyniknie. Ale dzisiaj — wobec realnego faktu istniejącego państwa polskiego — prolongowanie w umysłach naszych tych wszystkich orjentacji, mglistych nadziei, sympatji lub antypatji jest wprost nierealnem

nem i paraliżującem wszelką trzeźwą polską myśl państwową. Bezspornem jest chyba, że niepodległa Polska inaczej musi dzisiaj myśleć i kalkulować, niż przedwojenna Polska w rozbiorach. Nie wolno dzisiaj rozumnemu patrjocie myśleć tak, jak dawniej dzieci polskie myślały, że np. Moskal lub Niemiec jest brzydki, bo niedobry jest dla Polaków, a Francuz jest grzeczny, bo kocha Polskę, a Czech jest naszym bratem, gdyż podobnym językiem mówi. To dziecińtwa!

Dzisiaj polska polityka zagraniczna i równoległe z nią — a nawet wyprzedzając ją nieraz — polska opinja publiczna i wogóle myśl narodowa całkiem innemi operować muszą kategorjami. Sympatje lub antypatje zniknąć winny doszczętnie, a ich miejsce zastąpić musi bardzo realna państwowa racja stanu. Musimy nauczyć się myśleć i kalkulować czysto po polsku. Niepodległe państwo sterować musi wśród zmiennych raf i prądów polityki międzynarodowej tam, gdzie w danym momencie widzi swą realną korzyść, a zwłaszcza tam, gdzie sterować swą nawę musi — gdzie innego rozumnego wyjścia niema. A gdzież prowadzi główny szlak naszej myśli państwowej w danych, konkretnych warunkach?

Żadna droga nie jest oczywiście idealną. Na każdej grożą pewne niebezpieczeństwa. Każdą więc można krytykować. I nie może być inaczej, skoro czasy idealizmu i wypraw krzyżowych dawno minęły, a wszystkie narody i państwa na świecie postępują dziś według wskazań t. zw. zdrowego egoizmu. Reminiscencje historyczne, ideowe obowiązki wdzięczności, pokrewieństwa rasowe czy szczepowe, nawet podobieństwa lub różnice form ustrojowych nie mają dzisiaj żadnego znaczenia. Z takich argumentów wyśmieje się każdy zagranicą. Czyżby jedna Polska miała być zawsze Donkiszotem narodów?

Czyż my, nowocześnie Polacy, mamy wciąż żebrać po świecie, naiwni, z prastarą słowiańską gęślą w ręku, poto, aby w rezultacie przez ziemie nasze przewalała się wciąż obca orjentacja i polityka, jak ongiś tłumy różnych szczepów zbrojnych w czasie wędrówek narodów? Raz nareszcie trzeba tej niemęskiej psychice kres położyć!

Największym wrogiem nowoczesnej epoki są dla nas nietyle armaty i bagnety i bomby z gazem trującym — bo siłę można ostatecznie odeprzeć siłą własną lub kombinowaną — ile przedewszystkiem pewne ogólne, międzynarodowe, rozkładowe idee, które tężyznę narodu i siłę odporną państwa zgóry paraliżują, zanim jeszcze jakikolwiek nieprzyjaciel ruszy z bagnetem w ręku. Idee takie nietylko działają rozkładowo, ale, jak widzimy, tworzą nawet koalicje jednych państw przeciw drugim. A zdradliwsze są tembardziej, że głosząc hałaśliwie pokój, w gruncie rzeczy dążą z najbrutalniejszą bezwzględnością do najkrwawszych wojen, byle tylko zrealizować swe doktryny, choćby na stosach trupów, w potokach krwi i w następstwie pogrążeniem ludzkości w największą niedolę i skuciem jej w społeczne pęta, daleko gorsze od dawnych kajdan monarchicznego absolutyzmu. A na czele tych różnych rozkładowych idei przewala się dziś przez świat cały doktryna Marksa, posługując się wszelkiemi innemi koncepcjami i organizacjami wywrotowemi, groźna zwłaszcza od czasu, gdy znalazłe swe realne wcielenie w olbrzymiem państwie sowieckiem, a posłuszne placówki, potężniejące z dniem każdym, założyła sobie w wielu innych państwach. Z tych placówek podżega wszystkich przeciw wszystkim, starając się osłabiać dane społeczeństwa ustawicznym fermentem i zarzewiem.

Francja i Czechy są dziś bez żadnej wątpliwości

najsilniejszemi placówkami tego marksowskiego fermentu, tak dalece, iż stwierdzić można bez przesady, że nie mają własnych rządów, odpowiadających rzeczywiście intencjom i dążeniom swych narodów, ale jakgdyby przez jakieś obce, zakonskirowaną mocą narzucone rządy. Francją i Czechosłowacją rządzą obecnie „obce agentury".

Z tego, szukając drogi właściwej, musi nowoczesny Polak zdać sobie sprawę. Czech, to już oddawna nie brat słowiański, a Paryż, to już oddawna nie ten Paryż, który sympatyzował ze „sprawą polską" i przyjmował gościnnie polską emigrację. Właściwa droga polityki zagranicznej państwa polskiego i tendencji opinji publicznej w naszem społeczeństwie wiedzie dzisiaj tam, gdzie buduje się front antymarksowski w jakiejkolwiek postaci, choćby nieraz dla nas niesympatycznej.

— Le marxisme, voilà l'nnemi! — woła jeden z wybitnych pisarzy francuskich, wskazując tem właściwy kierunek orjentacji i walki obywtelom wszystkich państw, zdolnym zdać sobie sprawę z najgroźniejszego dla dzisiejszej cywilizacji i dla wszelkich moralnych walorów wroga, który bardzo sprytnie wszystkie złe moce mobilizuje. Umie on nawet wprząc do swego rydwanu w razie lokalnej potrzeby patrjotyzm, humanitaryzm i inne wzniosłe idee. Umie chwycić nawet za sztandar narodowy i powiewać herbem państwowym, broniąc jednak równocześnie tego wszystkiego, co w danem państwie jest ujemnem, rozsadzającem i paraliżującem. Patrjotyzm socjalistyczny, oparty na ideologji „wiecznej rewolucji", jest wszędzie zlepkiem i ochroną ujemnych walorów i czynników w każdym kraju. U nas specjalnie, jak to widać ze wspomnianych na wstępie artykułów Robotnika i Naprzodu, umie socjalizm świetnie operować ideą słowiańszczyzny, mimo

swego charakteru z jednej strony międzynarodowe-go, a z drugiej specyficznie demokratycznie-polskie-go. Broni bowiem w ten sposób swych placówek — czeskiej i francuskiej. A te placówki są zarazem po-ważnemi ostojami masonerji i bolszewizmu.

Dlatego idźmy za głosem owego francuskiego pisarza, jeżeli już koniecznie mamy stosować się do tradycji, że „co Francuz wymyśli, to Polak polubi". Chociaż, co prawda, nie potrzebujemy na tej drodze francuskiej zachęty, ani dyrektywy.

Przykro nam, że z nakazu instynktu samozacho-wawczego musimy zwrócić się przeciw dzisiejszej Francji. Ale tenże instynkt samozachowawczy na-kazuje nam stanąć w antymarksowskim froncie, ra-mię w ramię z temi państwami, które w tym samym froncie staną, a zwłaszcza z temi, które najbardziej są okrężną polityką protagonistów marksizmu i ma-sonerji zagrożone. Musimy podać rękę Węgrom z jednej, a Niemcom z drugiej strony, musimy naj-sympatyczniej ustosunkować się do walczącego obecnie o swój byt we Włoszech kierunku prawico-wego, musimy uznać i wyraźnie to głosić, że takie narody, jak Włosi i Niemcy, potrzebują kolonji i to dużych kolonji, bo bez nich duszą się w swych gra-nicach.

A specjalnie winniśmy to rozumieć, że zarówno Polska, jak Węgry, mają wspólnych wrogów, iden-tyczne postulaty egzystencji i tę samą najgłębszą ra-cję stanu. Węgrom stworzył tę rację stanu pierwszy chrześcijański ich król koronowany, św. Szczepan. Trwają też Węgry do dziś dnia, różne przechodząc losy, w charakterze placówki Wiary. Tę samą rację stanu dał Polsce chrzest Mieczysława i dokument „Dagome iudex", poddający Polskę w lenno Stolicy św. i stwarzający z niej w bezpośrednim stosunku z Rzymem katolickim szczególną twierdzę Wiary. Jej

symbolem, który w najgorszych ratował nas już opresjach, jest Jasna Góra. Ten symbol nadrzędny łączy się organicznie z najgłębszą polską racją stanu i bytu. Polska ateistyczna, masońska, marksowska, nie wytrzyma w niepodległości ani jednego dziesięciolecia. Polska niekatolicka jest nie do pomyślenia.

I muszą zgodzić się na to nawet religijnie obojętni postępowcy, którzy mają w sobie choć szczyptę kwalifikacji na polskich mężów stanu.

A wielkie frazesy o „Polsce izolowanej na łasce Niemiec" pozostaną właśnie tylko pustymi frazesami, gdyż każde państwo jest izolowane, które mądrze nie myśli samo o sobie, nie stwarza sobie w danych sytuacjach własnej myśli politycznej, ale czepia się tradycyjnie, bezmyślnie cudzych klamek i pozwala traktować się przez to na poziomie minorum gentium.

Jan Bobrzyński.

BURZA OD WSCHODU.

My, obywatele cywilizowanej Europy, a w szczególności Polski, krzątamy się, nadmiernie zaaferowani, około doraźnych spraw i interesów codziennego życia politycznego i gospodarczego, pogrążeni bez reszty w kłopotliwem, ale poniekąd i błogiem dojutrkowaniu. Aferujemy się mnóstwem szczegółowych wypadków, drobiazgów, chwilowo może ciekawych lub dotkliwych, ale bądź co bądź zmiennych i przelotnych, które w tej chwili leżą przed nami wyraźnie i namacalnie na talerzu, widoczne bezpośrednio nietylko dla fachowego polityka lub fachowego człowieka gospodarczego, ale i dla każdego filistra z kawiarni lub tramwaju, karmiącego się naprędce powierzchowną lekturą sensacyjnych wiadomości prasowych.

Denerwuje nas więc kryzys gospodarczy w przeróżnych swych przejawach, podniecają nas — o ile stężałe nerwy powojenne może wogóle cośkolwiek podniecić — wojna abisyńska i tragikomiczne na tem tle perypetje Ligi Narodów, aferujemy się jeszcze goręcej niezawsze ogółowi we wszystkich szczegółach zrozumiałym kalejdoskopem wewnętrzno-krajowych sytuacji i wypadków politycznych, oświetlanych reflektorami upartych, a często całkiem bezkrytycznych „przekonań“ lub „orjentacji“ partyjno-politycznych. Zrzucamy jednych ministrów, a mianujemy drugich — naturalnie nie w rzeczywistości, lecz tylko po salonach, klubach, kawiarniach i tramwajach — potępiamy te lub owe grupy, obozy i idee, a wynosimy inne do góry, które rzekomo raj przywrócić mają w Polsce, a przedewszystkiem dla inte-

resów osobistych każdego zacietrzewionego mówcy. Słowem, politykujemy i gospodarujemy i aferujemy się na potęgę, krzątamy się w pocie czoła po wąskich podwórkach, uważając to tylko za „realne" i „konkretne", co jest właśnie na politycznym lub gospodarczym porządku dnia i co nam jakąś doraźną, natychmiastową przynieść ma korzyść lub stratę.

W ten sposób politykujemy sobie i gospodarujemy, z klapami na oczach i z watą w uszach, pogrążeni naprawdę w najgrubszym materjaliźmie i w najgłupszym, dojutrkującym aktualiźmie, nadymając się przytem co pewien czas dumą z naszych niespełna czterystu tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni odrodzonego (i mocno okrojonego) państwa i pozornie facsynującej cyfry trzydziestu i paru miljonów jego mieszkańców, co razem wytwarza w naszych dojutrkujących mózgach megalomańskie nieco wyobrażenie o Polsce „mocarstwowej".

Tak to sobie wygląda nasza aktualistyczna zabawa w politykę, gospodarkę i mocarstwowość. Pogrążeni w nią, nie dostrzegamy, czy nie chcemy dostrzec, czy też z odwieczną, rdzennie polską, karygodną lekkomyślnością lekceważymy — olbrzymie, gromonośne chmury, zbierające się nad naszą wschodnią i południową granicą, a przenikające już zatrutemi miazmatami, niby rozsadzającą awangardą, nietylko Polskę, ale i cały szeroki pas środkowej i zachodniej Europy. Lekceważymy to groźne niebezpieczeństwo, zamykamy na nie oczy w naszem krótkowzrocznem rozpolitykowaniu i geszefciarstwie aktualistycznem, aż pewnego dnia trzasną pioruny z pozornie pogodnego nad Polską nieba i nastąpi katastrofa ze wszech stron, na którą — jak zwykle na wszystko — społeczeństwo polskie nie będzie zupełnie przygotowane.

A wówczas skończy się całe nasze politykowanie, prysną, jak bańka mydlana, wszelakie nasze

„przekonania polityczne“ i cała nasza beztrosko-lekkomyślna zabawa w wolność, niepodległość, gospodarkę krajową i mocarstwowość.

Wali się na cywilizowaną Europę w ostatnich czasach ze wzmożoną siłą potop bolszewicko-moskiewskiej zarazy, niczem „czarna śmierć“ wieków średnich. Bo ówczesne szlaki dżumy niszczyły tylko ciało, pozostawiając nietknięte państwa, postępy cywilizacyjne i idee. Współczesna zaś fala moskiewsko-bolszewickiego zalewu ma zniszczyć wszystko — ciało, ducha, państwo, naród, cywilizację, etykę, kulturę i jakikolwiek dobrobyt materjalny, a nawet odjąć ludzkości wszelką możność i nadzieję odzyskania kiedykolwiek tych wszystkich walorów. Komintern bolszewicki, wprzągłszy w swą służbę moskiewskiego sołdata i niezliczone rzesze bezpośrednich lub pośrednich swych protagonistów na całym świecie, a zwłaszcza na kontynencie „zgniłej“ Europy, dąży z nieubłaganą konsekwencją do podboju tego kontynentu najpierw rozsadzającym, dezagregującym i paraliżującym wpływem marksowskiej doktryny, przy współdziałaniu wszelakich innych idei wywrotowych, aby potem, na tak osłabionym i przygotowanym gruncie mógł z łatwością dokonać reszty bagnet moskiewskiego sołdata.

Moskwa bowiem — ta Moskwa w eurazjatyckiem tego słowa znaczeniu — w niczem od dwóch wieków zasadniczo się nie zmieniła, a tylko pogorszyła, zaostrzyła w imperjalistycznej chytrości i lepiej i mądrzej do polityki wiecznych podbojów przystosowała i zorganizowała pod żelaznym reżimem bezwyznaniowego i bezskrupulatnego bolszewizmu.

Główną bowiem, naczelną „racją stanu“ Rosji, czerwonej czy białej, a zawsze mongoloidalnej, jest ustawiczne pożądanie cudzego dobra, cudzych terytorjów, co w dziwnym tym a niebezpiecznym i na-

wskroś antykulturalnym zlepie eurazjatyckim zastępuje od niepamiętnych czasów naturalną gdzieindziej tendencję wewnętrznego skonsolidowania i wzmocnienia państwa. Stan ten trwa conajmniej od czasów Piotra Wielkiego, bez względu na to, jaki człowiek, rząd, czy ustrój w Rosji panuje. Rzeczywista rzeczywistość Moskwy, obłuskana z wszelakich powierzchniowych obsłonek i zmienych emblematów, to nic innego, jak tylko ten wieczny, na podbój Europy idący sołdat, z bagnetem w ręku. Ale obecnie ten sołdat o tyle groźniejszym jest, niż dawniej, że dmie daleko przed sobą chmurę zabójczych miazmatów wywrotowej doktryny, stokroć niebezpieczniejszych od trujących gazów, jakie wymyśla współczesna technika wojenna. Bolszewik, rzucając się z nożem na świat cywilizowany, najpierw go chloroformuje, aby go obezwładnić i ułatwić sobie w ten sposób rzeźnicką robotę.

Napróżno lekkomyślna, istotnie chyba mocno nadgniła Europa usypia sama siebie złudną wymówką, że Rosja, a nawet sam bolszewizm, nie są dziś już dla niej groźne, skoro państwo sowieckie związywane jest coraz bardziej walką z Japonją na niezmierzonych przestrzeniach Azji i wobec tego nie może myśleć o nacisku na Europę zachodnią ani akcją czerwoną, ani tem mniej siłą militarną. Otóż w tem właśnie leży kapitalna pomyłka Europy wogóle, a polskiej kawiarniano-geszefciarskiej opinji w szczególności.

Być może bowiem, że na owych dalekich przestrzeniach azjatyckiego wschodu wzmagać się co pewien czas będzie dyplomatyczny lub nawet zbrojny antagonizm rosyjsko-japoński. Ale w głębszej swej istocie to tylko pewna gra ze strony Kremla, hamująca nasrożonym gestem pewną planową a nieuchronną w ostatecznym rezultacie ekspansję japoń-

skiej potęgi. Dzisiejsza Moskwa czerwona wcale też nie będzie tą grą w dalekiej Azji tak dalece związa= na, żeby musiała zostawić w spokoju zachodnią Eu= ropę. Jasnem jest bowiem, że ani Moskal, straciwszy raz, przed laty, władztwo nad brzegami oceanu Spo= kojnego na rzecz Japonji i wpuściwszy ją na konty= nent Azji, nie będzie w stanie stawić jej pochodowi do pewnej linji skutecznego oporu, ale kapituluje i kapitulować będzie do tej właśnie linji (mniej wię= cej Transbajkał i Mongolja), a z drugiej strony Ja= pończyk jest też na tyle mądry, żeby się zbyt daleko na zachód nie awanturować. A ponieważ najgłów= niejszą troską panującego obecnie w Rosji reżimu jest utrzymanie się przy władzy, więc też mowy o tem być nie może, żeby bolszewicka Rosja miała ochotę krwawić się i wyczerpywać w walce o teore= tyczną władzę nad paru jurtami w Mongolji lub nad mroźnemi a rzadkiemi osadami we wschodnio=sybe= ryjskiej tajdze.

Dlatego całą tą wschodnią sprawą nikt się na Kremlu zbyt serjo nie przejmuje i żadne krociowe armje czerwone z pewnością nie wyruszą na wojnę krzyżową z żółtą rasą w środkowej Azji. Co najwię= cej rozgrywać się tam będzie drobnemi siłami pewna prestiżowa komedja, w której kurs yena i dolara niemałą odgrywać będzie rolę. Bo wszak w Sowdepji wszystko za pieniądz można kupić, a i Sowdepja wszystko za pieniądze nabywać potrafi. Nie łudźmy się więc w naszym burżuazyjnym kwietyźmie bajką o militarnem związaniu Sowietów przez Japonję na wschodzie. To humbug.

Natomiast powolna kapitulacja na wschodzie potęguje właśnie tembardziej odwieczny rosyjski Drang nach Westen, wzmożony, jak się wyżej rze= kło, marksowską zarazą. I tu musimy otworzyć roda=

kom naszym — rozpolitykowanym i rozkryzysowa=nym — oczy na pewne realne, bezsporne fakta.

Dwa razy już w ciągu lat ostatnich chciała bol=szewicka Moskwa uderzyć na zachód, ale wyręcza=jąc się w tem Polską, aby pchnąć ją w awanturę wo=jenną, a sama tymczasem zbroić się wygodnie i przy=gotowywać do spożycia wyciąganych dla niej przez Polskę z europejskiego pieca kasztanów.

Pierwszy atak nastąpił przed kilku laty w po=staci zainscenizowania niewidzianej dotąd w dzie=jach Rosji przyjaźni dla Polski, wylewnych artyku=łów w prasie bolszewickiej, nawiązywania „serdecz=nych“ stosunków handlowych i „wymiany kultural=nej“, tworzenia różnych towarzystw polsko=rosyj=skich, wydawania obstalunków różnym gałęziom na=szego przemysłu, inscenizowania polskich wycieczek przemysłowych, naukowych i prasowych po Rosji, celem wprawiania naiwnych Polaków w zachwyt i osłupienie nad zdobyczami proletarjackiej techni=ki i kultury, a wreszcie ofiarowaniem paktu o niea=gresji, którym zabezpieczyli się bolszewicy, że nikt w Polsce nic złego o nich pisać i mówić nie będzie.

Byliśmy więc świadkami wstrętnej a bezgranicz=nej w swej głupocie sielanki filobolszewickiej z pol=skiej strony, a niesłychanej zręczności bolszewickich pisarzy i agitatorów. Wystarczy przypomnieć rozen=tuzjazmowane do nieprzytomności sprawozdania na=szych wycieczkowiczów, powracających w komuni=styczno=kapitalistycznem natchnieniu po zwiedzeniu potemkinowskich budowli w Sowdepji. Czytaliśmy rozentuzjazmowane „postępem“ kultury i sztuki bol=szewickiej artykuły w pierwszorzędnych polskich wydawnictwach, szczycących się dziesiątkami tysię=cy prenumeratorów wszelkiego stanu, płci, wieku i autoramentu. Byliśmy świadkami tragicznej farsy wymiany literacko=prasowej między obu „zaprzyjaź=

nionymi słowiańskimi“ krajami, czytaliśmy genjal=nie ułożone elukubracje towarzysza Radka=Sobelsoh=na w naszych „Wiadomościach Literackich“, z któ=rych ostatecznie wynikało, że Mickiewicz był zbli=żonym do dzisiejszej sowieckiej kultury, a taż kultu=ra do Mickiewicza. Nietrudno wyobrazić sobie, jak sprytni dyplomaci kremlowscy pękali ze śmiechu na widok tak bujnego posiewu w Polsce ich roboty.

A to wszystko miało na celu przeszkodzenie Anschlussowi Niemiec z Austrją... polskiemi ręka=mi. Bo nie Polski, ale oczywiście rozrostu Niemiec— i to Niemiec hitlerowskich—boi się, jak ognia, czer=wona Moskwa. Dyplomacja polska okazała tym ra=zem jednak odpowiednią mądrość stanu, zawierając, ku zdumieniu Moskwy i cierpiącej na manję prześla=dowczą Francji, pakt o nieagresji z hitlerowskiemi Niemcami, w którego rezultacie rozległy się przy najbliższej okazji dźwięki hymnu „Jeszcze Polska nie zginęła“ na błoniach Tempelhofu w Berlinie.

Wnet potem nastąpił drugi atak na Polskę bol=szewickiej dyplomacji, tym razem sprytnie skoja=rzony z dyplomacją francuską i dlatego niebezpiecz=niejszy, bo odwieczne polsko=francuskie „braterstwo broni“ i duża wspólnota kultury przemawiają trady=cyjnie i zawsze żywo, nietyle do rozumu, ile przede=wszystkiem do serca Polaka. Sowieccy i francuscy dyplomaci wystąpili z projektem stworzenia „paktu wschodniego“, czegoś nakształt wschodniego Lo=carna, ale z dość mglistemi gwarancjami, do którego usiłowano wciągnąć Polskę. Miało to być niby fran=cusko=sowieckiem zabezpieczeniem Polski, a prze=dewszystkiem Czech, przed niebezpieczeństwem niemieckiem, ale w rzeczywistości wychodziło zno=wu na uczynienie z Polski wygodnego i bezpłatnego taranu sowieckiego przeciw Niemcom i to już prze=ciw Niemcom hitlerowskim, zagrażającym w istocie

nietyle Polsce, ile przedewszystkiem sztucznej budowie państwa czesko-słowackiego oraz Austrji. I w tym więc wypadku miała Polska przylgnąć dyplomatycznie i moralnie do Rosji i wyciągać dla niej z gorącego pieca niemieckiego kasztany.

I to się także nie powiodło. Polska złożyła powtórnie dowód mądrości dyplomatycznej i instynktu samozachowawczego, że nie poszła na lep sprytnych kombinacji pp. Barhou, Litwinowa et consortes. Okazała wobec projektu lodowatą obojętność. A trzeba przytem i to zważyć, że w tym samym mniej więcej okresie odbywały się w Pradze i Kownie niemal oficjalne konspiracje wywrotowe i morderczе przeciw Polsce i polskim mężom stanu, których ofiarą padł ś. p. minister Pieracki, a prześladowanie Polaków w obu wymienionych małych państewkach przewyższyło eksterminacyjną politykę, jakiej doznawali Polacy kiedykolwiek w dawnych czasach pod panowaniem pruskiem i rosyjskiem. Demokracja czeska i litewska okazały się gorsze dla nas od wszelkich Mikołajów i Wilhelmów.

Wobec tego oporu Polski pójścia na rzeź i wobec oczywistego już faktu, że Polska nie ma ochoty stać się kolonją rosyjską, czeską lub francuską i że ani idea komunistyczna, propagowana bezpośrednio, ani słowiańska gęśla, brzmiąca z Pragi, ani wreszcie hasełkowy, krzykliwy, a mało produktywny frankofilizm nie znajdują w Polsce pożądanego oddźwięku — oprócz nielicznych grupek naiwnie-upartych głuptasków — i w nabytem przekonaniu, że kolosalna bolszewicko-słowiańsko-masońska intryga napotyka w Polsce na mur nieprzebyty, postanowiły Sowiety pójść po linji mniejszego oporu, ominąć Polskę okrężną drogą od południa i przez Rumunję i Czechy podać rękę rewolucyjnej Francji, zarówno tamtejszej radykalnej lewicy, jak i wielkoprzemysłowej

masonerji, kierowanej z Wielkiego Wschodu, a stamtąd penetrować tem lepiej do Hiszpanji, gdzie już oddawna radykalny a galaretowaty ustrój republikański stanowi da Sowietów wygodne żerowisko.

Wprawdzie w Rumunji król, ze swem lepiej patrjotycznie uświadomionem otoczeniem oparł się i opiera dotąd penetracji sowiecko-komunistycznej, ale zato odpowiedzialny minister spraw zagranicznych, Titulescu, zależny podobno w wysokim stopniu od p. Benesza i francuskiej masonerji Wielkiego Wschodu, chce rzucić Rumunję w niebezpieczne objęcia Rosji, zawierając z nią konwencję o swobodnym przelocie samolotów i obiecując podobno nawet swobodę przemarszu wojsk sowieckich przez terytorjum rumuńskie do rosyjskiej kolonji czesko-słowackiej. Inaczej bowiem tego dziwnego państwa, skleconego sztucznie, gwałtem i czelną intrygą z różnych obałamuconych narodów, nazwać już niepodobna.

Szerząc tam od długich lat już swą marksowską propagandę, wtargnęli bolszewicy na terytorjum tej republiki obecnie już nawet oficjalnie, militarnie, zakładając, przy współdziałaniu swych oficerów, wielkie lotniska dla swych samolotów w Użhorodzie, a pomniejsze w Munkaczu, Rohowie, Selo-Solotvinie, Piszczanach, Vajnorach i Trenczynie, a nawet już w północnych Czechach właściwych, w pobliżu granicy czesko-niemieckiej.

Cała więc Czecho-Słowacja zbroi się obecnie w pewnej części za sowieckie pieniądze i przy militarnej pomocy Sowietów, jako ich przednia placówka wypadowa i propagandowa w centrum Europy. Jasno więc trzeba zdać sobie z tego sprawę, że państwem czesko-słowackiem — mimo rozpaczliwego oporu tamtejszych licznych mniejszości narodowych, bez miłosierdzia wynaradawianych i religijnie demo-

ralizowanych — rządzi wcale nie prezydent Benesz i rząd czeski, ale w istocie Stalin, przez swych różnych wysłańców wojskowych i politycznych.

Równocześnie dyplomacja praska zacieśnia przy pomocy francuskiego autorytetu spoistość Małej Eententy, tworząc nam pod bokiem duży blok państw, posłusznych w gruncie rzeczy dyrektywom z Pragi, chociaż pewne sfery w Rumunji i Jugosławji buntują się jeszcze przeciw tej czeskiej, a w istocie bolszewickiej dyktaturze. Rzeczywiste bowiem kierownictwo losów Małej Ententy wysuwa się z rąk bezmyślnie radykalnej Francji, a przechodzi w ręce Sowietów. Co więcej, Czesi, zastraszywszy chrześcijańsko-demokratyczną Austrję widmem zaboru przez poganizm nordycki hitlerowców, przyciągają ten nieszczęsny kraik pod swą hegemonję, otaczając religijnie i umiarkowanie nastrojone Węgry ze wszech stron żelaznym pierścieniem i dążąc do ich całkowitego rozbioru.

W ten sposób za murem karpackim, który stanowił ongiś najidealniejszą, najspokojniejszą granicę między Polską a Węgrami, zbliżonemi do siebie wielokrotną wspólnotą racji stanu i rycerskiego usposobienia oraz tradycyjną, wielokrotnie w ciągu wieków wypróbowaną przyjaźnią, powstaje potężny, liczebnie groźny koncern pod hegemonją Pragi a dyktandem Sowietów — genjalnie zareżyserowana przez bolszewików akcja usadowienia się w centrum Europy.

Równocześnie także ewolucja gnijącego naprawdę parlamentaryzmu francuskiego i całego tamtejszego konstytucyjnego ustroju, imponującego wprawdzie nazewnątrz dzielnością francuskiego żołnierza, ale przeżartego wewnątrz różnemi doktrynami bezmyślnego radykalizmu i krótkowzrocznym egoiznem drobnomieszczańskim, wysunęła na czoło naro-

du w ostatnich czasach partje najradykalniejsze, a w pierwszym rzędzie spotęgowany do niebywałych przedtem rozmiarów komunizm. Rządzi Francją obecnie de facto tow. Blum, żyd-socjalista, na spółkę z pewną bolszewicką kliką, wspomaganą oczywiście przez Komintern, czyli rząd sowiecki, a mieszczańskie i przemysłowe sfery Wielkiego Wschodu stają w tej kompanji jako trzeci partner, niezgodny z nimi w pewnych kwestjach politycznych, ale dopełniający znakomicie działalność socjalistyczno-komunistycznej lewicy, o ile chodzi o rozsadzającą akcję zagraniczną. Wszystkie te trzy czynniki sprzyjają Sowietom i ich czeskim wykonawcom, a dla Polski są zdecydowanie wrogie i dlatego fraternité franco-polonaise należy dziś już naprawdę do legendy. Ta nawpół już zbolszewizowana Francja zawarła oczywiście sojusz militarny z Rosją Sowiecką, przypieczętowując w ten sposób swym autorytetem czesko-rosyjskie konspiracje.

Wytworzywszy w ten sposób potężny pas swych bezpośrednich wpływów politycznych, sięgający od Rosji po Hiszpanję i dzieląc nim Europę północną od południowej, rozpoczęły Sowiety także akcję dezagregującą, wysyłając przed siebie gangrenujące fale wszelakiego rodzaju, które w pierwszym rzędzie przewalają się oczywiście przez Polskę. Przekonawszy się, że doktryna bolszewicka nie chwyta w cywilizowanej Europie — oprócz w wymienionych państwach sojuszniczych — rzucił Komintern w Europie podobne hasła propagandowe, jak poprzednio wśród ludów Azji: popieranie różnych lokalnych aspiracji, choćby wcale nie w duchu bolszewickim. A więc popiera się wszelakiego rodzaju malkontentyzm w różnych sferach społeczeństwa i wszelakie dążenia narodowe, mogące wywołać zamęt, tarcia, walki i uczucie krzywdy. Wykorzystuje się wszystko, co się tyl-

ko da wykorzystać bezpośrednio lub pośrednio dla osłabienia siły społecznej i państwowej, zwłaszcza antysemityzm, a nawet katolicyzm różnemi okrężnemi drogami. Chodzi o to, aby perfidnie skłócić ze sobą także i katolików tak, aby walcząc ze sobą na różnych polach, nie zdawali sobie nawet sprawy, że najgłębszym pomostem ich waśni jest propaganda boliszewicka. W każdym kraju bolszewizm zaczyna podżegać do walki w imię „najświętszych uczuć“ lub „najżywotniejszych interesów“ danych warstw i narodów. Nawet bojowy nacjonalizm stanowi dla niego korzystny teren dla prowokacji.

A równolegle z całą tą akcją rozszerza się po Europie, a zwłaszcza w Polsce, intensywna propaganda rosyjskiej literatury i kultury. Nie bolszewickiej, ale istinno-rosyjskiej literatury i kultury przedwojennej. Wzmaga się u nas ni stąd ni zowąd moda na Tołstoja i innych rosyjskich posarzy „burżuazyjnych“, przemawiających do spekulacyjnych lub rzewliwych stron polskiej psychiki. Nawet wybitni katoliccy pisarze, walcząc do upadłego z Kominternem, ale podatni na pewną słowiańsko-filozoficzną nutę dawnej rosyjskiej literatury, nie zdają sobie sprawy, że pracują ad usum czerwonego delfina. Bo w perfidnej taktyce nowoczesnej Kominternu polsko-rosyjskie braterstwo słowiańskie odgrywa rolę tego płaszczyka, którym zaczepia się bolszewizm o polskiego ducha.

Podobnie zresztą wyzyskuje Komintern pobratymczość słowiańską czesko-polską.

Wystarczy przejść się po Warszawie. Ileż dzieł rosyjskich, w polskiem tłumaczeniu, widać za szybami wystawowemi różnych księgarni! I to po tanich cenach. Ogół, kupując je i karmiąc się niemi, nie wie, że Sowiety dopłacają do tych wydawnictw różnice istotnych kosztów, aby tylko tchnąć ducha rosyjskie-

go w umysłowość polską i przygotowywać przez to w niej grunt do stopniowego szczepienia idei najpierw prosowieckich, potem wprost bolszewickich.

A ileż w naszych gazetach, nawet firmujących się katolicyzmem, artykułów o Rosji! Rzecz pozornie niewinna, a jednak jakże niebezpieczna, zwłaszcza ze względu na najgłębsze jej źródło. Wyzyskując zręcznie, okrężną drogą, dawne, z przedwojennych czasów zakorzenione, już dziś chyba tylko podświadome sympatje prorosyjskie — t. j. konieczności pewnego oparcia się o „słowiańską" Rosję dla obrony przed światem germańskim — szerzą Sowiety polskiemi i katolickiemi rękami wpływ ducha rosyjskiego w Polsce. A że dzisiejsza Rosja jest bolszewicką, więc...

Ze świętem oburzeniem odrzuciłby każdy taki pisarz lub redaktor katolicki podobną insynuację. A jednak prawdą jest to, co piszemy. Bo niesłychanie zręczna polityka propagandowa Kominternu sprawia, że kto propaguje dziś cośkolwiek rosyjskiego, ten tem samem pracuje na rzecz Sowietów.

Wszystko to nakłada na społeczeństwo polskie obowiązek szczególnej, niestrudzonej czujności. Niewolno nam być naiwnymi lub lekkomyślnymi w epoce, w której bardzo realny „Antychryst" — polityczny i społeczny — ruszył ze wschodu na prawdziwy podbój cywilizowanej Europy, z większą siłą, niż ongiś hordy Dżyngischana, gdyż miota na daleką przestrzeń przed sobą najpierw gangrenującą atmosferę słowianizmu, rusycyzmu, dezagregującego liberalizmu, socjalizmu, etatyzmu, fałszywego patrjotyzmu, egoistycznego nacjonalizmu, pornografji, nudyzmu, perfidnej dyplomatyki i powszechnej rozterki społecznej. A nadto zbudował sobie zawczasu po-

datne placówki oparcia na drodze swego pochodu w postaci: 1) paraliżujących sympatji słowiańskich i moskalofilskich w różnych sferach społeczeństwa i prasy polskiej, zarówno żydowskiej, jak areligijnej i katolickiej, która w najlepszej wierze, podświadomie, służy nieraz pochodowi czerwonej gwiazdy, 2) konsolidującego się dokoła Węgier bloku Małej Ententy pod hegemonją Pragi, nawskroś masońskiej i probolszewickiej, 3) mobilizowania ogólnego oporu wszelakich hasełkowo-demokratycznych czynników w Europie przeciw tym wszystkim prądom i ustrojom, porządkującym rozwichrzone stosunki powojenne, które bezkrytyczne elementy lewicowe przywykły nazywać — słusznie i niesłusznie — ogólnem mianem „faszyzmu", 4) przebudowywania Francji, na gruzach jej dawnej, wysokiej wszechświatowej kultury, na anarchiczne ognisko idei i akcji wywrotowych wszelkiego rodzaju, zasilanych coraz potężniej wpływem i pieniądzem Sowietów z jednej, a wielkoprzemysłowej masonerji Wielkiego Wschodu z drugiej strony, co ujawnia się tam także nieprzerwaną serją kolosalnych, kryminalnych skandali, wykazujących wyraźnie głęboki moralny upadek różnych miarodajnych sfer francuskiego społeczeństwa, 5) podtrzymywania w Hiszpanji nieustannego wrzenia radykalno-rewolucyjnego w myśl bolszewickiej zasady „permanentnej rewolucji", 6) inscenizowania lokalnych walk bratobójczych i morderczych zamachów, spełnianych rękami różnych niebolszewickich, a nieraz wprost antybolszewickich, ideowo-patrjotycznych organizacji, które jednak pełnią przez to rolę i plan Kominternu.

Najbardziej zaś tragikomiczną rolę bezwolnego, podświadomie działającego narzędzia odgrywa w tem wszystkiem — zwłaszcza w Polsce — obóz skrajnego nacjonalizmu, gdyż zwalczając z tępą zaciekło-

ścią wszelkie produktywne w kraju zamierzenia, nie poddane ślepo dyrektywie partyjno-nacjonalistycznej, a kultywując nienaturalną słabość do wszystkiego, co słowiańsko-rosyjskie, podtrzymuje w polskim narodzie właśnie ową bolszewicką zasadę permanentnej walki społecznej, osłabia siłę narodu, podnieca walkę religijną, odstrasza ludzi od Kościoła, wiąże się raz po raz w doraźnych celach politycznych z socjalizmem, a więc robi właśnie to, czego pragną Sowiety.

Ale samo uświadomienie o tej syttuacji, o tym pochodzie czerwonej gwiazdy przez Europę, o tych falach trujących, które walą się na Polskę i dokoła Polski w różnem zabarwieniu, stanowczo nie wystarcza. Nie pomoże tu nic nawet pełna, ale bierna świadomość bezpośredniego już niebezpieczeństwa. Trzeba nadto zdecydowanego, odpornego czynu.

A ten właśnie jest najtrudniejszy w społeczeństwie, pogrążonem powyżej głów w najgrubszym, bezkrytycznym i bezplanowym materjaliźmie. Niepodobna zorganizować nawet inteligentnych sfer społeczeństwa polskiego w jakiś skonsolidowany, celowy front defenzywny z tą realną dziś już „Burzą od wschodu“, gdyż jedni wogóle o niczem mówić i myśleć nie chcą poza wąskiem podwórkiem swych doraźnych, codziennych interesów zarobkowych, inni zaś, więcej świadomi sytuacji, odpierają wszelkie apele druzgocąco-naiwnym argumentem: „Co ja się tam mam zajmować taką wielką polityką, kiedy dzisiaj weksel mam do płacenia, jutro zebranie w sprawie cen zboża lub bawełny, a pojutrze cztery raty różnych podatków do spłacenia!“ I poza tem ma taki pan ów słynny w Polsce „nawał zajęć“ w postaci nieustannych podróży z miejsca na miejsce, gdzie niby jego obecność jest „niezbędna“, tysiące gadatliwych zebrań różnych zarządów, rad nadzorczych (tysiąc

złotych tantjemy za pięć wypalonych bezmyślnie papierosów), szereg partji brydża i nie mniejszy szereg posiedzeń kawiarnianych, dancingów, przyjęć „kuzynków ze wsi“ lub tajemniczych a snobistycznych audjencji u różnych dygnitarzy, któremi będzie potem chełpić się na fajfach i innych zebraniach.

A „wybitni“ polscy politycy, rozbijający się po sejmach, wiecach i salonach, którzy od niepamiętnych czasów cierpią na atawistyczną myopję, nie sięgającą nigdy poza długość indywidualnego nosa, aferują się zabawnie swą drobnostkową w istocie rolą, siejąc wszędzie, nawet w wytwornem towarzystwie, t. zw. bolszewizm salonowy, który w skutkach swych również walnie leje wodę na młyn marksowskiej doktryny i dalekosiężnych planów polityki Kominternu. Panowie ci sieją dokoła siebie zasadniczy pesymizm o wyraźnie wschodniem zabarwieniu, roznoszą w bezkrytycznych sferach towarzyskich nieskończone andrybaje i przedpokojowe plotki, zalecając równocześnie jednak taktykę bierności i wyczekiwania, dopóki „ulica nie powstanie“ lub „generał Rydz-Śmigły porządku nie zrobi“ i paraliżując przez to wszelką aktywność inteligentnych sfer społeczeństwa.

Zaiste — nie pochwalając w zasadzie pomysłu Berezy Kartuskiej — miałoby się nieraz ochotę zamknąć w niej takich właśnie panów „prorządowców“ i polewać codziennie lodowatą wodą dla otrzeźwienia.

Ciężką winę ponoszą w tem wszystkiem także różni nasi uczeni, prawnicy, ekonomiści i socjologowie, którzy, kapitulując w czterech ścianach swych gabinetów ze strachu przed zarzutem „wstecznictwa“, ogłaszają ciężko-uczone rozprawy o rzekomej konieczności zadowolenia dzikich pożądań mas, podburzanych doktryną marksizmu i bezpośrednią lub pośrednią akcją Kominternu. Nie działa już bowiem na

masy wyzwoleńcza idea demokratyczna, która dawno zrobiła już swoje, zniósłszy wszelkie przywileje stanowe i zrównawszy wszystkich wobec prawa, a nawet biorąc specjalnie w obronę państwową masy proletarjatu. Obecnie podszywa się pod wypłowiałe sztandary i wyjałowione formuły demokratyczne bolszewizm — ta najgroźniejsza i najbezwzględniejsza forma absolutyzmu, jaka kiedykolwiek powstała na świecie. A za nią w trop idzie ów wieczny sołdat rosyjski. Nie demokratyczną więc ma się stać Polska w możliwie najbliższej przyszłości — bo jest już nią oddawna i aż zanadto — ale bolszewicką i rosyjską.

Otóż wielu uczonych pisze uczone rozprawy, zarówno na tle demokratycznem, jak i konserwatywnem, w których zasypuje laika argumentami, że jeżeli ustrój Polski nie ustąpi na całej linji przed nowoczesnymi postulatami doktryny społecznego przymusu i dobrowolnego samowywłaszczenia się wszystkich ze wszystkiego, to „masy ludowe przeprowadzą swoje postulaty na własną rękę".

W ten sposób małoduszna, a przeniknięta wschodnim strachem i naukowym bolszewizmem wiedza wysila swój argumentowo-cytatowy autorytet na to, aby najoczywistszy absurd i bezprawie przechrzcić na mądrość stanu i na Prawo i narzucić je szerszym sferom. Przez to machjawelska akcja Kominternu uzyskuje w Polsce stempel uniwersyteckiego autorytetu i moc nieodpartą, skoro pierwszy lepszy agitator bolszewicki może powołać się już nie na rozkazy Kominternu, ale na wyjątki z dzieł polskich uczonych o rzekomej konieczności nieubłaganego „postępu", idącego właśnie po linji kremlowskich nakazów. „Ziemia dla chłopów, przemysł dla robotników!" — oto, co wynika z różnych wskazań naszych uczonych, nawet konserwatywnych. Znane,

przedwojenne hasło skrajnych rewolucjonistów rosyjskich, przejęte integralnie przez akcję wojującego komunizmu, a naśladowane przez wiecznie zastraszonych i pod wpływem rosyjskiej kultury działających Polaków!

Musi więc wzbudzić się przedewszystkiem w prywatnych sferach społeczeństwa polskiego świadomy odpór przeciw gigantycznej nawale ze wschodu, popieranej czechofilstwem i frankofilstwem. A musi ruszyć równolegle trzema torami z bezwzględną, tamującą wszelkie restrykcje i argumenty konsekwencją:

1) nieubłaganą walką z tem wszystkiem, co wschód bolszewicki przynosi, choćby — i zwłaszcza — w fascynującej oprawie słowiańskiej sielanki lub francuskiej subtelności: a więc z pornografją w druku, słowie i wizerunku, z rosyjskością i słowiańskością we wszelkiej postaci, z wszelakimi umizgami do państwa sowieckiego, do republiki czesko-słowackiej i do dzisiejszej Francji, dalej z wszelką słabością i ustępliwością wobec rzekomych postulatów proletarjackich, o których polskim masom pracującym dziś już nawet się nie śni, wreszcie z owym arcyniebezpiecznym naukowym i salonowym bolszewizmem,

2) wzbudzeniem wielkiej czujności w różnych odłamach politycznych, zwłaszcza firmujących się najbardziej patrjotyzmem i katolicyzmem, czy aby bojową swą akcją i nastawieniem nie są pośrednio narzędziami rozkładowych celów moskiewskiej międzynarodówki,

3) przekreśleniem w najszerszych sferach polskiej prywatnej opinji publicznej wszelkich przestarzałych orjentacji zagranicznych przedwojennych i wojennych, a natomiast zwróceniem się—w ogólnej walce z marksowskim antychrystem — ku tym na-

rodom i państwom, które ze względu na swój ustrój, swe tendencje i cele dają nam nietyle dyplomatyczne, ile przedewszystkiem realne gwarancje współdziałania w walce z bolszewicką zarazą i to bez względu na to, czy państwa te i narody są nam sympatyczne lub niesympatyczne na podstawie dawnych, przedwojennych reminiscencji, a nawet bez względu na sporadyczne, anty-polskie gesty różnych czynników w tych państwach (Treviranus, Schacht i t.p.). Adhezja Polski organiczna — nie sztucznie dyplomatyczna — do antymarksowskiego frontu z takiemi państwami (Węgry, Niemcy, Włochy, Anglja i możliwie także Rumunja) wzmocni nas, a sparaliżuje właśnie owe sporadyczne pociągnięcia i uczucia antypolskie, pokutujące dziś jeszcze w tych państwach.

Tak nakazuje mocarstwowej Polsce i jej pełno-uświadomionym obywatelom realna racja stanu. Wszelkie zaś względy uczuciowe pozostawmy naiwnym „dureńkom“ — jakby się wyraził ś. p. Wielki Marszałek — lub tym, którzy, korzystając z obywatelstwa polskiego, kręcą się dokoła sowieckich placówek, czerpiąc stamtąd wskazówki i fundusze. Ale przedewszystkiem musimy wewnętrznie się opancerzyć przeciw wszystkiemu, co nietylko bolszewickie, ale wogóle rosyjskie i uświadomić sobie dobrze wielką prawdę, że

nigdy nic dobrego, dodatniego z Rosji do Polski nie przyszło i przyjść nie może, choćby nawet zaopatrzone było stemplem ogólnego braterstwa słowiańskiego lub jeszcze bardziej pociągającym stemplem kultury francuskiej.

Sekcja Zagraniczna
Związku Polskiej Myśli Państwowej

KAROL II NA TLE RZECZYWISTOŚCI RUMUŃSKIEJ.

Nie minęły jeszcze echa uroczystego obchodu pięciolecia panowania Karola II w Rumunji oraz 42-ej rocznicy jego urodzin, kiedy powrót do Bukaresztu w dniu 20 lutego r. b. z pierwszej oficjalnej jego podróży zagranicę stał się powodem do szeregu manifestacji sympatji dla sprzymierzonego z Polską Monarchy.

W związku z poważną sytuacją międzynarodową, która nakazuje wszystkim czynnikom ładu i pokoju w Europie najwyższą czujność — pragniemy odpowiedzieć na pytanie, jak wyglądają rządy Karola II na tle rzeczywistości rumuńskiej.

Liczne wynurzenia króla Karola wobec prasy paryskiej, w drodze powrotnej z pogrzebu króla Jerzego angielskiego, zdają się świadczyć, że władca Rumunji, idąc śladami wielkiego swego poprzednika, Karola I, nie zamierza się uchylać od odpowiedzialności i od inicjatywy w dziedzinie polityki zagranicznej, podobnie, jak dotąd okazywał się twórczym na szerokiem polu reform wewnętrznych.

Nie wykraczając poza ramy konstytucyjne, nie zdradzając tendencji dyktatorskich, Karol II zaznaczył się dodatnio w ewolucji raczej płynnych stosunków politycznych w Rumunji tem, że — mimo niewątpliwie wysoce skomplikowanych warunków — potrafił nietylko panować, ale i rządzić, wnosząc przez to tak pożądany czynnik stałości do życia publicznego.

Tego czynnika stałości, równowagi i ciągłości zabrakło Rumunji od 1925 r., kiedy, otoczony aureo-

lą wojennego bohaterstwa, król Ferynand I złożony został ciężką niemocą i zmarł po długich cierpieniach, pozostawiając władzę w rękach chwiejnej Regencji.

W tych warunkach „restauracja“ władzy królewskiej, wstąpienie na tron Karola II, obudzić musiały daleko idące nadzieje i oczekiwania. Rok 1930, rok kryzysowy, nie dawał nowemu królowi specjalnych atutów w kierunku zaspokojenia licznych żądań społeczeństwa, zdemoralizowanego demagogją partyjną, nieszczególną administracją i przestarzałym systemem zmiennych rządów parlamentarnych.

Powojenna psychoza, z wszystkiemi zgubnemi przejawami niemocy i lekkomyślności, dzierżyła jeszcze wówczas prym w Zjednoczonej Rumunji, na którą oddziaływało ujemnie bliskie, bezpośrednie sąsiedztwo bolszewickiego kolosu, kwestjonującego z uporem nietykalność besarabskiej granicy.

Wszystkim tym prądom defetystycznym młody król przeciwstawił odrazu pełną optymizmu wiarę w swą szczęśliwą gwiazdę i niepospolity talent opanowywania i wykorzystywania istotnie twórczych sił narodowych w służbie idei państwowej.

We wszystkich dziedzinach życia, wymagających naprawy, zaczął stopniowo zaznaczać własne, zdrowe, realne koncepcje, bez obawy o to, że niechętni i krytycy, których nigdy i nigdzie nie brak, zarzucą mu gołosłowne ambicje.

Wkrótce też olbrzymia większość narodu przekonała się o szlachetności ambicji królewskich, oceniając dodatnio wypływające stąd realne postępy i okazała się cierpliwą w oczekiwaniu całkowitego wykonania wielkiego programu reform królewskich, który zaczął się coraz wyraźniej zarysowywać.

Nie bacząc na to, że Rumunja jest dotąd jeszcze daleką od tej mocarstwowości, którą wyraża silna indywidualność Karola II — nikt nie śmie już dzisiaj

zaprzeczyć, że jesteśmy świadkami głębokiego „renesansu“ narodowego tego kraju.

„Bądźmy sobą w ramach świata cywilizowanego“ powtarza król przy każdej sposobności, dodając, że pragnie być pierwszym obywatelem i żołnierzem swego kraju.

Owo hasło „bądźmy sobą“, rzucone z wyżyn tronu, było w rzeczywistości rumuńskiego życia politycznego rewelacyjną nowością. Na terenie Rumunji rozgrywały się dotąd zawsze spory orjentacyjne, podobnie, jak u nas w dobie wojny światowej, zwalczały się nieraz z cyniczną bezczelnością wzajemnie wrogie wpływy wielkich mocarstw i potężnych koterji międzynarodowych, a politycy i aferzyści dzielili się na przeciwstawne obozy takich czy innych „filów“, pomijając istotnie rumuńskie kryterja w swej grze politycznej i życiowej.

I oto stanął król przed narodem, jako wyraziciel narodowego sumienia, jako rzecznik narodowej godności...

Ludzie niechętni koronie, przeciwnicy umacniania tradycji, opozycjoniści z temperamentu i interesu partyjnego czy osobistego, wszelkiego gatunku wywrotowcy i agenci „obcych agentur“, zjednoczyli się odrazu w zgodnym i zaciętym wysiłku, aby wytrącić z rąk króla ten wielki osobisty jego atut, pozostający w zupełnej harmonji z naturalną ewolucją współczesnej Rumunji i budzącym się potężnie ruchem nacjonalistycznym wśród młodego pokolenia.

Król, zachowując rolę konstytucyjnego arbitra, nie mógł dotąd i nie zechce prawdopodobnie w przyszłości szukać niebezpiecznej popularności przez folgowanie takim czy innym modnym ekstremizmom.

Obrońcy nietykalności głęboko już wstrząśniętych okopów zgangrenowanego parlamentaryzmu, jak również entuzjaści zoologicznego nacjonalizmu

na wzór niemieckiego rasizmu, zarzucą nieraz jeszcze Karolowi II połowiczność postępowania, nadmierne kunktatorstwo czy nawet zmienność, wypływającą z oportunizmu.

Pod tym względem konstytucyjna odpowiedzialność ministrów za poczynania głowy państwa nie uchroni też króla przed niejedną trudnością. Jedno jednak można po minionem pierwszem pięcioleciu rządów stwierdzić bez cienia przesady, że talentem państwowotwórczym i realizmem ujęcia potrzeb nowoczesnego narodu przewyższa wszystkich swych doradców, nie mówiąc już o skłóconych między sobą przewódcach opozycji.

Stąd też, zarówno w zdrowo myślących sferach społeczeństwa rumuńskiego, jak i wśród szerszych i objektywnych przyjaciół Rumunji zagranicą, uchodzi za aksjomat, że możliwości Karola II — jako odnowiciela mocarstwowości rumuńskiej — z każdym rokiem wzrastają, niezależnie od, nieuniknionych zresztą, niedociągnięć czy omyłek, mogących budzić bądź sprzeciwy, bądź też przejściowe nastroje niezadowolenia. Najlepszym dowodem słuszności powyższego twierdzenia jest fakt, że w Rumunji niema wogóle ruchu republikańskiego, że natomiast rośnie wyraźnie nowy kierunek, domagający się głośno rozszerzenia uprawnień głowy państwa i przebudowy ustroju w kierunku zahamowania rozwoju partyjnictwa.

Jeżeli zaś chodzi o pewne próby stworzenia w Rumunji „wspólnego frontu ludowego" na wzór francuskiego, walczącego, jak wiadomo, przedewszystkiem na korzyść interesów czerwonej Moskwy — to były one i będą również w przyszłości skazane na niepowodzenie, ze względu na zdrowy instynkt samozachowawczy tej bystrej rasy, przejawiającej zawsze czujność w momentach istotnego zagrożenia

nieprzemijających swych interesów. Oczywiście politycy dawnego autoramentu, przywykli do zakorzenionych na Bałkanach korupcyjnych metod działania, opóźnić mogą naturalny proces skrystalizowania się niezależnej, narodowej polityki rumuńskiej. Można jednak bez zbytniego optymizmu przewidywać, że za nimi pójdą tylko grupki niezadowolonych, niezwiązanych jakąś wyższą ideą i nie przedstawiających dynamicznej siły... Te bunty i intrygi „gasnącego świata“ nie zdołają też sparaliżować dodatnich inicjatyw korony, które musimy choćby pokrótce jeszcze scharakteryzować.

Po przyłączeniu Siedmiogrodu, Banatu, Bukowiny i Besarabji do starego królestwa, okazało się, że proces wewnętrznego zespolenia Zjednoczonej Rumuniji natrafiał na duże przeszkody przy omnipotencji partyjnej. Tylko w oparciu o autorytet silnej władzy centralnej wytworzyć się może w całem państwie nowa rumuńska ideologja, pozbawiona naleciałości partykularnych i zaściankowych słabostek. Tylko przy słabości tej władzy zagadnienia mniejszości narodowych i istniejące dotąd gospodarcze i kulturalne dysproporcje między poszczególnemi prowincjami dadzą się bądź rozwiązać, bądź złagodzić.

W szczególności niepokojące zaognienie sprawy żydowskiej wyklucza na dalszą metę stosowanie w Rumunji metod integralnej, parlamentarnej demokracji. Olbrzymie, prymitywne masy chłopskie, opanowane dotąd przez zawodowych politykierów, zależnych przeważnie od żydowskiej finansjery i prasy, wyzwalają się coraz wyraźniej, łamią te sztuczne wędzidła i przy sprzyjających warunkach mogą szukać satysfakcji w żywiołowej, niszczycielskiej walce antysemickiej.

Wielkie pozornie możliwości mafji, która tak

długo żerowała na narodowem bogactwie Rumunji, trzymając jej lud, mimo przeprowadzenia radykalnej reformy rolnej, w nędzy i poniżeniu, załamać się mogą z dnia na dzień w chwili próby.

Tylko autorytet moralny korony, otoczony aureolą tradycji, odegrać będzie mógł wówczas rolę hamulca w stosunku do rozbudzonych instynktów masy włościańskiej.

Już dzisiaj sprawy poszły tak daleko, że nie król potrzebuje żydów i rzeczników parlamentarnej demokracji, lecz, że te właśnie elementy utrzymać jedynie mogą jako tako swój stan posiadania w cieniu królewskiej praworządności. Oblicze jutrzejszej Rumunji, tak czy inaczej, posiadać będzie silne zabarwienie ludowe. W poczuciu tej rzeczywistości politycznej Karol II nie opiera się na organizacjach istniejących przedwojennych stronnictw, lecz powołuje do rządzącej elity indywidualności z różnych środowisk społecznych.

Król zachowuje też w swych wystąpieniach i przemówieniach formy ludowego demokratyzmu i posiada nawet taką bezpośredniość przy zetknięciach z masą obywateli, jakiej naogół nie spotykamy u kierowniczych osobistości wielu postępowych republik. Przewódcy włościaństwa nietylko wzywani są na konferencje do pałacu, ale niaraz są prywatnymi gośćmi króla. Rzecz inna, że monarcha nie uznaje, by którykolwiek z nich wykorzystywał przywileje korony na rzecz doraźnych interesów partyjnych... Między masą włościańską a królem, poza tradycją monarchiczną — istnieje mocna więź ideologiczna: cerkiew rumuńska.

I Karol II i chłopi marzą o odrodzeniu narodowego swego kościoła; i król i chłopi niczego goręcej nie pragną, jak wyrwać prawosławie rumuńskie z

partyjnego upodlenia i administracyjnej skostnia-łości.

Jeżli król rzuca hasło „żywego chrześcijaństwa“ i zgody, to znajduje odpowiedniki w samorzutnych „apostołach bożych“ z masy ludowej, którzy w swoim partykularzu oddają się religijnej pracy. O ile król zaakcentować potrafi swą przyrodzoną rolę reformatora organizacji cerkiewnej w duchu nowoczesnego postępu, byłby to wielki krok naprzód w kierunku pogłębienia zwartości moralnej całego narodu. Nie podobna bowiem nie wspomnieć, że w dziedzinie duchowo-religijnej, zwłaszcza w narodowościowo mieszanych prowincjach, panuje dotąd nietylko ideologiczny, ale i organizacyjny chaos i że głównie w Besarabji wszelkiego rodzaju sekciarstwo szerzy się w sposób niepokojący.

Zagadnienie zdrowej organizacji kościelnej wiąże się z całokształtem programu wychowawczego i oświatowego, któremu Karol II poświęcał już wiele uwagi jako następca tronu.

Liczne, sprawne młodzieżowe organizacje, ożywione szlachetną ideologją państwową, posiadają w nim nietylko światłego protektora, ale przeważnie także pełnego inicjatywy inspiratora.

Zastępy tej młodzieży wraz z powołanym przez króla do życia przysposobieniem wojskowem — to nadzieja tych wszystkich obywateli, którzy wierzą w mocarstwową przyszłość Rumunji. W ćwiczeniach tych organizacji młodociany ks. Michał, następca tronu, bierze stale udział i dzieli wśród tych szeregów, reprezentujących już dziś poważny czynnik siły społecznej, popularność ojca.

Gdy ta młodzież ideowa wejdzie niebawem do szeregów armji królewskiej, moralna jej wartość podwoi się niewątpliwie, tak, jak dzięki staraniom króla

jej wyszkolenie i uzbrojenie poczyniło w ostatnich latach poważne już postępy.

Karol II, jeśli chodzi o czołowe zagadnienie bezpieczeństwa Rumunji, wykazał stałą, twórczą troskę i umiał sobie dobrać sztab zdolnych i oddanych tej idei współpracowników fachowych.

Budzenie zaufania we własne siły, pogłębianie poczucia odpowiedzialności za bezpieczeństwo kraju — szło tutaj w parze z pracą techniczną, w której Polska odegrała również dodatnią, bezinteresową, prawdziwie sojuszniczą rolę.

Bez uzdrowienia wewnętrznej gospodarki i finansów rozwiązanie zagadnień bezpieczeństwa mogłoby być tylko pozorne, to też król podkreślił w swych mowach noworocznych z całym naciskiem prymat spraw ekonomicznych nad t. zw. czystą polityką.

Pod tym względem, niestety, bogata niwa rumuńska pozostaje jeszcze wielce zechwaszczoną. Ścierają się nietylko różne i sprzeczne programy finansowo-gospodarcze, ale istnieją również szkodliwe tendencje eksperymentowania w tej dziedzinie. Słabość do spekulacji, do nadzwyczajnych kombinacji w połączeniu z brakiem poczucia konieczności ofiar na rzecz państwa, utrudnia pod tym względem bardzo sanacyjne wysiłki rządu. Państwo nie zajmuje w wyobraźni i w duszy przeciętnego Rumuna tego miejsca, które wskazuje szeroko pojęty obowiązek obywatelski.

Urzędnik rzadko tylko stanowi pod tym względem korektywę: stąd ujemne następstwa ogólne, w szczególności jeśli chodzi o sprawność administracyjną, stosowanie ustaw i uczciwy stosunek płatnika do aparatu fiskalnego i odwrotnie.

Naprawa tego stanu rzeczy wymagać jeszcze musi olbrzymiego nakładu energji i czasu... W tych

warunkach człowiek ulicy obawia się zewnętrznych komplikacji i żąda ostrożnej, pokojowej polityki. Każdy, kto uderzyć potrafi w pokojową nutę, przynosząc zarazem dowody życzliwości ze strony wielkiego sojusznika, Francji, każdy, kto obieca, że przysporzy choćby tylko papierowych gwarancji dla całości i nietykalności granic Rumunji, liczyć może na poklask t. zw. wielkiej prasy bukareszteńskiej, łaknącej doraźnych sukcesów i prestiżowych efektów.

Istotny wpływ tej prasy na społeczeństwo jest wprawdzie ograniczony, jednakże w bieżących rozgrywkach politycznych posiada ona duże znaczenie, nie bacząc na to, iż jest rumuńską tylko z imienia. Jak wiadomo, właśnie ta prasa od szeregu miesięcy propaguje jednostronnie koncepcję gwarancji sowieckiej, upatrując w ścisłej współpracy rumuńsko-sowieckiej najważniejszy atut pokojowy. Minister spraw zagranicznych Titulesco zarówno w komunikatach oficjalnych, jak i w oświadczeniach z trybuny parlamentu zaprzeczał wprawdzie, jakoby prowadził rokowania dyplomatyczne w tym właśnie kierunku, ale dokładał jednocześnie wszelkich starań, aby argumenty przeciwników polityki prosowieckiej bądź zamilczeć, bądź ośmieszyć.

Te same dzienniki, które nazywają p. Titulesco „opatrznościowym kanclerzem Wielkiej Rumunji“, charakteryzują go jako przyjaciela Rosji i zwolennika paktu wzajemnej pomocy z Sowietami, przemilczając zarazem wstydliwie o sojuszu polsko-rumuńskim. Jednocześnie powtarzany jest argument, że wobec bezpośredniego sąsiedztwa współdziałanie z Rosją byłoby geograficzną koniecznością i że wymaga tego zasada „kolektywnego bezpieczeństwa“. Wyznawcom fatalizmu w dziedzinie polityki zagranicznej deputowany frondy liberalnej, Jerzy Bratiano,

przeciwstawił przy aplauzie nacjonalistów różnych odcieni koncepcję „pokoju rumuńskiego“.

Polityk ten wykazał, że ewentualny przemarsz wojsk sowieckich przez terytorjum rumuńskie nie dałby się nigdy pogodzić z istotą niepodległości i niezależności. Starał się on również udowodnić, że specjalne związanie się z Sowietami naruszyłoby dotychczasowy systemat sojuszy rumuńskich, oparty na traktatach z Francją, Małą Ententą i Polską oraz na aktywnej polityce Rumunji w łonie t. zw. Bloku Bałkańskiego. Udał się wreszcie do Berlina i ogłosił po konferencjach z kierowniczemi osobistościami III Rzeszy, że dyplomacja niemiecka nie patronuje bynajmniej rewizjonistycznej akcji węgierskiej o nastawieniu antyrumuńskiem.

W związku z temi rzeczowemi wynurzeniami odżyły znów polemiki natury zasadniczej w Bukareszcie i zaczęto tam coraz częściej wysuwać pytanie, czy pakt z Sowietami stanowiłby istotnie zaporę przeciw rewizjonizmowi, czy też właśnie przyśpieszyłby to niebezpieczeństwo, otwierając zarazem wrota rewolucyjnemu prądowi w tej części Europy. Spory na ten temat dzielą narazie społeczeństwo rumuńskie. Arbitrem w tej sprawie, jak w wielu innych, będzie ostatecznie król — który mówił obrazowo w Paryżu o potrzebie utrzymania linji prostej w polityce zagranicznej Rumunji.

Zanim jednak dojdzie do najwyższego rozstrzygnięcia, muszą się skrystalizować stanowiska stronnictw i poszczególnych działaczy, musi jeszcze nastąpić wyjaśnienie wzajemnego stosunku sił politycznych w kraju.

Współdziałanie wojskowo-polityczne z takim sąsiadem, jak Rosja Sowiecka, jest nietylko problematem polityki zagranicznej, ale posiada także ce-

chy wielkiego wewnętrznego zagadnienia. Trudno tej oczywistej prawdy kwestjonować i dlatego sprawa paktu z Sowietami nabiera w Rumunji coraz więcej cech rozgrywki ideowej, dotyczącej całej przyszłości i kierunku rozwojowego tego narodu i państwa.

Stanisław Łodziowicz.

(Luty, Bukareszt).

„SOWIETY NAD DUNAJEM!"

Ciekawy i charakterystyczny głos doszedł nas z zagranicy, który w wiernem tłumaczeniu podajamy niniejszem naszym czytelnikom. Zawiera zbiór najaktualniejszych wiadomości prasowych z Czechosłowacji.

„Lidove Noviny" (Nr. 78 z 13-go lutego b. r.) piszą z wielką dumą, jak wielkie to obawy wywarła w Polsce wiadomość, że Sowiety zainteresowały się intensywnie środkową Europą, że w swej dyplomacji wstąpiły na tradycyjną drogę dawnej Rosji carskiej w kierunku z jednej strony na Bałkan, z drugiej nad Dunaj. Pisze ten dziennik, że dopóki Rosja sowiecka nie zaangażowała się zdecydowanie w tych kierunkach, a zwłaszcza w kierunku nad Dunaj, to polska dyplomacja robiła wrażenie, że ją Europa środkowa nic nie obchodzi. Obecnie zaś dało się wyczuć z okazji narad londyńskich i paryskich, że Polska pozornie gotową jest akceptować plan „Sowiety nad Dunajem", ale z dodatkiem: „I Polska również nad Dunajem!"

Socjalistyczny organ w Morawskiej Ostrawie „Duch Czasu" (Nr. 37 z 13-go lutego b. r.) opublikował wiadomość na podstawie doniesienia z włoskiej „Tribuny", że Sowiety zażądały od Pragi zezwolenia na budowanie lotnisk oraz innych objektów strategicznych na Rusi Zakarpackiej, Słowaczyźnie i t. d. „Duch Czasu" pisze o tem dumnie, jak gdyby z wielkim tryumfem, pod nagłówkiem: „Europa ma respekt przed Rosją!" I wogóle czeskie koła lewicowe wskazują przy każdej sposobności pyszałkowato w

swych organach na wielkie znaczenie sojuszu czesko-sowieckiego, pomagającego czeskiej ekspansji, akcentując, jak to „cała Europa liczy się z czeskim sojusznikiem bolszewickim i jak go się obawia!“

Organ czeskich legjonarzy „Narodni Osvobozeni“ (Nr. 10 z 16-go lutego b. r.) akcentuje, że zarówno Polska, jak i Niemcy drżą ze strachu wobec wyniku narad paryskich i londyńskich oraz wobec zbliżenia Moskwy z Anglją (?!) i z Francją.

„Lidove Noviny“ (Nr. 89 z 19-go lutego b. r) zapowiadają już, że polska dyplomacja będzie zmuszona skapitulować ze swej dotychczasowej polityki. „Nie pozostaje dziś już nic innego dla polskiej polityki, jak przystąpić, prędzej lub później, do obozu państw kolektywnych. Albowiem polskiej polityki zagranicznej nie można uprawiać skutecznie przeciwko połączonej Anglji, Francji i Rosji“.

Wydaje się więc Czechom, że Polskę mogą sobie już „zaksięgować“ pro bono Pragi!

„Lidove Noviny“ (Nr. 94 z 21-go lutego b. r.) cytują słowa Herriota: „Pakt z Sowietami filarem pokoju“, oraz, że „francusko-sowiecka umowa ulży Francji“. A prawicowy „Poledni Denik“ (Nr. 43 z 21-g lutego b. r.) cytuje także z mowy Herriota: „*Francja, Czechosłowacja i Rosja, to odtąd jeden blok wojskowy*“. Nawet katolicki czeski „Nasinec“ (Nr. 44 z 23-go lutego b. r.) przydziela Polskę do obozu państw, które są „niepokojowo usposobione“.

A dalej „Lidove Noviny“ (Nr. 99 z 24-go lutego b. r.) wskazują na ważność rozbudowywania kolei od Żyliny na Słowaczyźnie przez Koszyce do rumuńskiej stacji Halmei na Rusi Zakarpackiej, jako przyszłego poważnego łącznika... handlowego z Rosją, przez co Republika czechosłowacka rzekomo nie będzie skazaną na transporty kolejami polskiemi.

Pismo to maskuje tu więc wyraźnie militarystyczne cele akcją... handlową.

„Duch Czasu“ (Nr. 51 z 29-go lutego b. r.) głosi z radością, że armja sowiecka jest nie do przezwyciężenia, a wspomniany już prawicowy „Poledni Denik“ (Nr. 49 z 28-go b. r.) z widoczną satysfakcją cytuje słowa Cota z Izby francuskiej, że dla sowieckiego lotnictwa nie istnieją żadne granice!!

Organ premjera Hodży „Slovensky Denik“ (Nr. 10 z 14-go stycznia b. r.) donosi o zwiększającej się produkcji gospodarczej w Sowietach i głosi z wielkim tupetem, iż powinno to stanowić memento dla „niemieckich faszystów“ i dla „polskich imperjalistów“. Cytowany zaś już „Narodni Osvobozeni“ (Nr. 11 z 14-go stycznia b. r.) zapowiada wprost grób w Rosji dla „polskich imperjalistów“, o ile poważą się przedsięwziąć cokolwiek przeciw Sowietom.

Nie można więc łudzić się, że to tylko lewica czeska sympatyzuje z Sowietami, skoro i prawicowe pisma występują z tupetem i entuzjazmem po ich stronie. Organ zaś dra Kramarza, „Narodni Listy“ (Nr. 43 z 13-go lutego b. r.), idą jeszcze dalej, wychwalając demonstracyjne przyjęcie Tuhaczewskiego w Londynie i w Paryżu. Pismo to podkreśla nawet, że podróż premjera Hodży do Paryża stoi w związku z pobytem tam Tuhaczewskiego oraz z ratyfikacją paktu sowiecko-francuskiego! A przecież „Narodni Listy“, to najbardziej prawicowe pismo czeskie! A gdy niemiecki „Militär-Wochenblatt“ wskazał na niebezpieczeństwo istnienia czesko-sowieckiego korytarza lotniczego, to prawicowe pismo „Poledni Denik“ (Nr. 23 z 29-go stycznia b. r.) wyciąga z tego tryumfalną konkluzję, jak wielkie znaczenie ma dla Czechów sojusz z Sowietami i jak dlatego należy go jeszcze wzmacniać!

A jak piszą Czesi o Polsce i Polakach? Przytoczmy parę próbek z pism poważniejszych. „Moravskoslezsky Denik“ (Nr. 34 z 4-go lutego b. r.) radzi rządowi czeskiemu, aby ze Śląska i wogóle z Republiki czechosłowackiej „całą tę bagaż“ „i bandę“ Polaków wypędzić, aby ów „katowicki pies“ nie miał do kogo szczekać. Ten „pies katowicki“, to rozgłośnia radjowa w Katowicach, która występowała w obronie więzionych niewinnie za Olzą Polaków. Tak pisze organ prawicowy. A „Duch Czasu“ (Nr. 21 z 25-go stycznia b. r.) skonstruował sobie wiadomość, że w Polsce panuje niesłychana bieda i nędza, że niema przytem żadnej wolności wogóle i że zamiast rozdawnictwa chleba strzela tam policja do ludzi „niemal codziennie“. Ostatnio zaś wszystkie ostrawskie pisma czeskie ogłosiły, że Polacy „masowo uciekają z Polski do Czech“, gdyż wolą raczej siedzieć w Czechach w więzieniu, aniżeli w Polsce na wolności.

„Lidove Noviny“ (Nr. 54 z 31-go stycznia b. r.) donoszą, że rządy polskie „mordują“ nawet naukę, gdyż przyczyniły się ~~rzekomo~~ do śmierci pewnego uczonego, który napisał, że to nie wojska polskie pod naczelną komendą ś. p. Marszałka Piłsudskiego obroniły Polskę przed nawałą bolszewicką, ale Francuzi z generałem Weygandem na czele.

Wogóle Czesi wykorzystują wszystko przeciw Polsce, o co tylko, choćby najperfidniej, mogą zaczepić. Narodowo-demokratyczny organ dr. Kramarza, „Narodni Listy“ (Nr. 48 z 18-go lutego b. r.), szczuje Żydów polskich przeciw Polsce i sugeruje im, aby wnieśli skargę do Ligi Narodów. „Duch Czasu“ zaś pisze (Nr. 35 z 11-go lutego b. r.) z wielkiem oburzeniem o częstych „pogromach“ antyżydowskich w Polsce, przy których policja polska „zwykle zapóźno wkracza“.

Tak brzmi przesłana nam notatka. I jesteśmy przekonani, że do meritum wiadomości, które przynosi, nie potrzeba dla polskich czytelników, rozumnie myślących, dodawać żadnego komentarza. Możemy tylko na tem miejscu raz jeszcze stwierdzić — co zresztą potwierdza już wymownie historja dziewięciuset lat — że nie mieliśmy i nie mamy dzisiaj gorszego i perfidniejszego wroga od naszych czeskich „pobratymców“, od niepamiętnych czasów prawie zawsze Polsce nieprzyjaznych, a w ostatnich czasach przeżartych w dodatku jeszcze konspiracją mafji masońskiej, regenerowaną na gwałt doktryną husyckiej nienawiści, a przedewszystkiem bolszewicką zarazą. Ale jakiż z tego wszystkiego praktyczny możemy wyciągnąć dla nas wniosek?

Oto ten tylko, że gwałtem, intrygą i perfidją zbudowane „imperjum czeskie“ ma się całkiem widocznie ku końcowi. Niechże z głębokim żalem i wśród gorących łez potoków skonstatują to nasi zacietrzewieni słowianofile resp. czechofile, że „imperjum czeskie“ zaczyna się rozpadać. Jest to widoczny początek końca!

Jest widocznym dlatego, że Czesi, zdając sobie dobrze sprawę, iż wiecznem kłamstwem państwa utrzymać niepodobna, chwycili się taktyki rozpaczy, poddając się niewolniczo, bez żadnych już zastrzeżeń, wszystkim najgorszym elementom wywrotowym Europy i zgadzając się otwarcie na poniżającą i samobójczą rolę „naddunajskiej“ kolonji militarnej sowieckiej. Suwerenność państwa czeskiego już nie istnieje, a jej rządowe organy, to już tylko symbole o szybko malejącem znaczeniu. Bo trudno zaiste mówić o suwerenności państwa, na którego terytorjum obce władze wojskowe budują dla siebie (nie dla Czechów!) objekty strategiczne. Jest to naprawdę

polityka rozpaczy, bo przecież Czesi — nietylko członkowie rządu, ale i szary człowiek z ulicy — zdają sobie chyba doskonale sprawę z tego, że wkroczenie „pomocniczych“ wojsk sowieckich na ich terytorjum, to wogóle koniec Czech i Czechów, nawet w tym wypadku, gdyby „niezwyciężona“ armja sowiecka miała odnieść zwycięstwo. Wszak taki zwycięski bolszewik, osiadłszy raz w Pradze, położy odrazu kres wszelkiej słowiańskiej sielance, postawi pod mur wszystkich patrjotów czeskich, prawicowych i lewicowych i zamieni Czechosłowację bez żadnej wątpliwości na „federacyjną“ prowincjonalną sowiecką republikę, którą rządzić będą rosyjscy czerwoni komisarze, rozsiadłszy się wygodnie na Hradczynie. Taki tylko, a nie inny, może być ostateczny rezultat z owego, tak tryumfalnie przez Czechów głoszonego sojuszu z „pobratymczym“ czerwonym rządem i narodem. Z jedną ewentualną jeszcze korektywą: że nasycony w ten sposób narazie imperjalizm rosyjski odda Niemcom — może nawet i bez jednego wystrzału — dla świętego spokoju całą zachodnią połać Czech, zamieszkałą przez kilka miljonów Niemców!

Oto, do czego pchają zrozpaczonych Czechów obecne ich rządy i szał prosowiecki, a nadewszystko klątwa różnych zdrad, kłamstw i perfidji, na których sklecony został sztuczny, łatwozapalny gmach „czechosłowackiej“ republiki!

Żal nam tylko naprawdę Słowaków, którzy wtrąceni zostali przemocą w tę nowoczesną czeską awanturę, a którzy w danym razie srodze a niewinnie wycierpieć będą musieli jej skutki, gdy „nieprzezwyciężone“ armje sowieckie runą na ich kraj na wezwanie rządu czeskiego...

Na zakończenie i jeszcze dosadniejsze potwierdzenie faktycznego stanu rzeczy w Czechach, może-

my nadmienić za różnymi głosami prasy czeskiej, iż początkowy zamiar nowego premjera Hodży objęcia także teki ministra spraw zagranicznych, po wyborze p. Benesza na prezydenta, nie doszedł do skutku rzekomo z powodu własnej jego rezygnacji. Otóż tylko rzekomo. W rzeczywistości bowiem nastąpiło to na życzenie Moskwy, która dała wyraźnie do zrozumienia, że tolerować go będzie — do czasu — na stanowisku premjera, ale ministrem spraw zagranicznych ma zostać ktoś inny. I tak się też stało.

Na rozkaz Sowietów oświadczyła się lewica czeska stanowczo przeciw niemu i ambitny p. Hodża musiał się temu wyrokowi podporządkować. Jeden dowód więcej, że państwo czeskie zeszło już poprostu do roli sowieckiego wasala.

„CIRCULUS VITIOSUS"

Pod nazwą „etatyzmu" rozumiemy prowadzenie przez organizację państwową, bądź w postaci własności, bądź przemożnego wpływu na administrację, szeregu placówek przemysłowych i handlowych, które do niedawna stanowiły własność prywatną. Państwo staje się tu przedsiębiorcą, przemysłowcem i kupcem. W ostatnich latach etatyzm tego rodzaju coraz szersze zatacza w Polsce kręgi i zaczyna niepokoić społeczeństwo do tego stopnia, że sam Rząd wyznacza komisje do badania, ewentualnie ukrócania, tego zjawiska. Chcielibyśmy zastanowić się tu nad istotną przyczyną i genezą etatyzmu.

Są dziedziny, jak poczta, kolej, niektóre gałęzie przemysłu wojskowego etc., gdzie etatyzm nie budzi ździwienia i rozumiemy, że tutaj rola państwa, jako producenta i przedsiębiorcy, jest naturalnym objawem, jest konsekwencją troski o należytą produkcję uzbrojenia i sprzętu wojskowego, lub o właściwe funkcjonowanie instytucji użyteczności publicznej. Wyłączamy też z dzisiejszych naszych rozumowań sprawę interwencjonizmu państwowego, nieraz również określanego mianem etatyzmu, ale będącego zjawiskiem innego charakteru. Etatyzm polski, który dzisiaj obejmuje niezmiernie szerokie pola, od ciężkiego przemysłu począwszy, a skończywszy na teatrach, z dwu głównych wywodzi się źródeł: z psychicznego nastawienia społeczeństwa oraz z przyczyn natury gospodarczej. Zacznijmy od pierwszego, gdyż ciąży on również i na naszej strukturze gospodarczej.

Polskie społeczeństwo jest naogół nastawione

wrogo do wszelkiego zysku, osiąganego z przemysłu i handlu. Złożyły się na to przedewszystkiem dwa powody. Pokutuje jeszcze ciągle szlachecka niechęć do łokcia i miarki, oraz głęboko wpojona doktryna socjalistyczna o eksploatowaniu proletarjatu przez kapitał. Człowiek, w zrozumieniu ogólnem, uczciwy w Polsce winien albo żyć dostatnio z majątku odziedziczonego, czy wygranego na loterji, w karty lub na wyścigach, lub — gdy nie należy do rzędu ludzi, przez los lub dziedzictwo wyróżnionych — może pędzić mizerny żywot na posadzie, pobierając ustabilizowaną pensję, dość niską, aby nie budzić zazdrości i napaści bliźnich. Zawody t. zw. wolne są dopuszczalne, ale pod warunkiem, aby nie dawały dochodów, zbyt odbiegających od stopy przeciętnej pensji człowieka, pracującego na posadzie. Biada jednak komuś, kto dojdzie do majątku pracą w przemyśle lub handlu! W podświadomej, ale silnie ujawnianej opinji społeczeństwa jednostka taka staje się kimś podejrzanym — ciemnem indywiduum o mistycznych zdolnościach i właściwościach, majątek zaś takiego „magika“ wydaje się być niewyczerpalnym, nadającym się do ciągłego, coraz to uciążliwszego podskubywania.

Czy w takiej atmosferze wielu znajdzie się ludzi solidnych, którzy zechcą poświęcić swe zdolności i siły na to, aby się zdeklasować i być przedmiotem stałych napaści? Nic węc dziwnego, że do przemysłu i handlu garną się przedewszystkiem jednostki, które i tak z racji swego pochodzenia stoją poniekąd poza nawiasem społeczności: żydzi i cudzoziemcy. W konsekwencji przemysł często nie jest polskim narodowo lub etnicznie, i fakt ten jeszcze bardziej potęguje wrogie ustosunkowywanie się doń społeczeństwa.

W tych warunkach upaństwowianie przedsiębiorstw idzie wyraźnie po linji nastawienia psychicznego społeczeństwa. Zysk przedsiębiorcy zagarnia państwo, a więc ogół; powstają nowe posady, a więc placówki, na których pracować jest uczciwie, no — i często wysadza się z siodła obcego narodowością lub pochodzeniem przemysłowca. Wszyscy powinni być zadowoleni, nawet zawodowi malkontenci, którzy mogą napadać na Rząd za szerzenie etatyzmu. Zapominają oni jednak, że Rząd nie jest niczem innem, jak emanacją społeczeństwa i że dzielenie kraju na rząd i społeczeństwo prywatne jest nieporozumieniem, wynikającem ze wspomnień czasów niewoli, oraz, że rządy zazwyczaj idą na etatyzację niechętnie, pod naciskiem okoliczności i opinji społeczeństwa.

Wszyscy chcemy być na posadach i pobierać pensje, emerytury lub zapomogi na wypadek bezrobocia, choroby, czy starości. Pieniądze na to dać musi państwo, pobierając podatki. Od kogo? Ależ naturalnie w pierwszym rzędzie od przemysłowców i kupców, którzy mają jakieś dziwne sposoby, jakieś „machiawelistyczne triki“ robienia pieniędzy.

Tu dochodzimy do drugiego źródła etatyzmu, t. j. do pauperyzacji życia gospodarczego na skutek nadmiernych obciążeń podatkami i świadczeniami socjalnemi, a więc do źródła gospodarczego.

Prasa fachowa pełna jest obliczeń i cyfr, odnoszących się do dekapitalizacji w rolnictwie i przemyśle; dlatego nie będziemy ich cytować. Rolnictwo bliższe jest ogółowi polskiemu. Zrozumiano już, że stale deficytowa praca i sprzedawanie poniżej cen kosztów doprowadza rolnika do ruiny. Przemysł i handel jednak, mniej ogółowi znane, pod te same podpada prawa. Nie można stale tracić i nadal egzystować! To też coraz to inne przedsiębior-

stwo chyli się ku upadkowi. Upadek jednak większych przedsiębiorstw jest rzeczą szkodliwą, tysiące bowiem robotników idą na bruk, setki urzędników tracą posady, wytwarzają się niepożądane perturbacje. Dawniej, kiedy kraj nie był jeszcze tak ogołoconym z gotówki, bankrutował tylko *nieudolny* właściciel przedsiębiorstwa, a nabywał je ktoś inny i dalej prowadził. Dziś jednak — wobec postępu ubóstwa — *niema nowego nabywcy*. Zamiast prywatnego przedsiębiorcy zjawia się państwo i, przejmując upadającą placówkę przemysłową, ratuje ją od ruiny lub, udzielając kredytów i odwlekając ruinę, zyskuje wpływ na kierownictwo przedsiębiorstwa.

Genezą więc gospodarczą etatyzmu jest nic innego, jak przeciążenie przemysłu podatkami i świadczeniami socjalnemi, oraz ogólne zubożenie społeczeństwa.

Jednak przecież i państwo musi znaleźć fundusze na prowadzenie zetatyzowanych przedsiębiorstw, których większość przejmuje *bez kapitału obrotowego*. Gospodarka państwowa, z natury swej biurokratyczna i skrępowana koniecznym aparatem kontroli, jest zazwyczaj kosztowniejsza od prywatnej i więcej wymaga kapitału. Przedsiębiorstwa zetatyzowane nie przestają naogół być deficytowemi, wymagają więc wciąż nowych środków. W rezultacie *prowadzenie tych przedsiębiorstw przez państwo ciąży na budżecie i powoduje dalsze obciążenia podatkowe*. Pod naciskiem zaś podatków trzymające się jeszcze do niedawna na powierzchni przemysły upadają i idą pod zarząd aparatu państwowego, zwiększając zastęp zetatyzowanych instytucji, które znowu więcej wymagają pieniędzy, a więc dalej prowadzą do nowych podatków

i do dalszej etatyzacji. Oto prawdziwy „łańcuch szczęścia“ (a może nieszczęścia!) przemysłu polskiego — fatalny circulus vitiosus. Nic więc dziwnego, że Rząd, rozumiejąc konieczność przerwania tego łańcucha, szuka dróg wyjścia z powstałej sytuacji. Wydaje się nam, że zatrzymanie pędu etatystycznego, a następnie jego częściowa likwidacja może nastąpić tylko, o ile śmiało się pójdzie na obniżenie obciążenia podatkowego i socjalnego. Należy umożliwić przemysłowi zarabianie i odtworzenie kapitału obrotowego, a wtedy ustanie etatyzacja, gdyż przemysłowcy napewno wolą samodzielną egzystencję, niż zależność od organizacji państwowej.

Utarło się mniemanie, że narzekania przemysłu to tylko wykręt, boć przecież wiele fabryk nadal pracuje, a ich dyrektorowie dalej egzystują i to lepiej od wielu „uczciwych“ ludzi na posadach. Nie należy jednak zapominać, że wynagrodzenia poszczególnych właścicieli lub kierowników poszczególnych przedsiębiorstw mogą wydawać się i są nieraz znaczne, ale bardzo małą odgrywają rolę w obrotach i deficytach przedsiębiorstwa (przecież i urzędnicy państwowi egzystują przy deficytowych budżetach). Wielkie przedsiębiorstwo przemysłowe może dość długo zjadać swoje zasoby i zapasy, pracując z deficytem. Fabryka, rozporządzająca składami wartości kilku miljonów, może połowę tych miljonów stracić — i jeszcze dalej wegetować, nie znaczy to jednak, aby się jej dobrze działo, przeciwnie, wyczerpywanie się zasobów jest pierwszym stopniem do etatyzmu. Nie widzi go tylko ogół, któremu się wmawia za pomocą prasy i nieraz z trybuny sejmowej, aby nie wierzył w bilanse, gdyż są to tylko „triki“ niecnej szajki spekulantów, że księgi handlowe i bilanse, to coś w rodzaju kabały, że jeżeli przedsię-

biorstwo parcuje, to jest to niezbity dowód jego rentowności!! W rolnictwie, bliższem — jak się rzekło — ogółowi, zapasy są mniejsze, obrót powolniejszy, kredytu niema i ziemi zjadać nie można, więc deficyt jest widoczniejszy, ale rezultaty pracy ze stratami są w obu wypadkach jednakowe.

Nie wystarczy jednak dla powstrzymania etatyzmu osłabić tylko świadczenia socjalne i podatki, trzeba równocześnie starać się przełamać psychikę społeczeństwa. Trzeba, aby naród zrozumiał, że na pensje urzędników musi ktoś produkcyjnie zarabiać, że na to, aby powstawały nowe posady, nie wystarczy zabrać (chciałoby się powiedzieć „zafasować“) z rąk „krwiopijców-fabrykantów“ ich fabryki, ale koniecznie należy wszelkiemi siłami dążyć do powstawania nowych, prywatnych placówek twórczej pracy. Placówki takie nie powstaną, o ile nie będą dawały ich twórcom i właścicielom pokaźnych zysków i o ile ludzie, pracujący samodzielnie na niwie gospodarczej, nie będą otaczani uznaniem, jako jednostki twórcze i pożyteczne.

Stanisław Meyer.

BOLSZEWIZM W CENTRUM EUROPY.

(Tragedja narodu słowackiego).

Uważamy sobie za obowiązek zwrócić z naciskiem łaskawą uwagę naszych Czytelników na następujący artykuł, nadesłany nam przez autentycznego Słowaka, wybitnego bojownika o sprawę słowackiego narodu.

Polacy odznaczają się od niepamiętnych czasów pewnym, bardzo ujemnym rysem swej społeczno-politycznej mentalności: zapatrzeni przeważnie tylko w codzienne perypetje i kłopoty swego ojczystego podwórka, nie lubią spoglądać poza swe kordony graniczne i mało mają zainteresowania dla tego wszystkiego, co się bezpośrednio za tymi kordonami rozgrywa. Nie mają zrozumienia, ogółem biorąc, dla tej wielkie nauki, dostarczanej im aż nazbyt obficie przez różne klęski własnego narodu, że to wszystko, co się dzieje zagranicą, a zwłaszcza w krajach pogranicznych, ma lub może mieć w najbliższej przyszłości wielki wpływ na losy państwa polskiego. Zaabsorbowani nadmiernie źle zrozumianym aktualizmem wewnętrznych spraw politycznych i gospodarczych, a dzisiaj specjalnie a niepraktycznie zaaferowani drobiazgowymi szczegółami kryzysu gospodarczego, odnoszą się z karygodną biernością do różnych zjawisk pogranicznych, w naiwnem a krótkowzrocznem mniemaniu, że zjawiska te nie mogą mieć bezpośredniego, doraźnego wpływu na dalsze kształtowanie się dziejów Polski, a przedewszystkiem na kształtowanie losów ich kieszeni prywatnych.

Jeżeli zaś niektórzy polscy działacze zdobędą się na „ideowy“ gest sięgnięcia wzrokiem poża granice państwa i zainteresują się ze znanym słomianym ogniem sprawami jakiegoś sąsiedniego narodu, to traktują te swoje zainteresowania zwykle sielankowo, uczuciowo, po literacku, a zwłaszcza w fałszywem oświetleniu jakiejś upartej orjentacji przedwojennej, z której narkozy nie są w stanie dotąd się wydobyć.

Tak więc naprzykład z karygodną obojętnością i śmieszną nieznajomością rzeczy spoglądają Polacy — i to ci nieliczni tylko, którzy wogóle tą sprawą się zajmują — na wielką tragedję najbliższego nam prawdziwem pobratymstwem narodu słowackiego, ginącego wśród niesłychanych cierpień w oczach Europy, pyszniącej się najwyższą cywilizacją, a w gruncie rzeczy zdegenerowanej najgrubszym materjalizmem i samobójczą krótkowzrocznością.

Nie brak wprawdzie u nas „przyjaciół“ narodu słowackiego. Ale przyjaciele ci są przeważnie tego rodzaju, że słusznie mogą Słowacy zastosować do nich staropolskie przysłowie: Chroń mnie od nich, Panie Boże! Bo są to albo bezproduktywni politycznie teoretycy, którzy przyjaźń polsko-słowacką rozumieją w postaci szumnego zakładania platonicznych stowarzyszeń, aby móc mianować się ich prezesami, sekretarzami i t. p., urządzając sielankowe wystawy słowackiej sztuki ludowej tak, jak się wystawia dla podziwu filistrów egzotyczne wyroby, łuki, strzały i lance dzikich ludów z centralnej Afryki — albo też, co gorsza, są to zacięci czechofile (a właściwie moskalofile), którzy swą działalność prosłowacką uprawiają i rozumieją li tylko na platformie upartej słowianomanji, przygotowującej niby „świat słowiański“ do mającej gdzieś kiedyś odbyć się grunwaldzkiej rozprawy ze „światem germańskim“.

Takie to fantazje buszują po głowach niepoprawnych polskich donkiszotów słowianofilskich, idących bez wyjątku na pasku komendy czeskiej bezpośrednio, a moskiewskiej pośrednio via Praga — a tymczasem rozgrywa się za Tatrami wielka tragedja męczeństwa, wynaradawiania i upadku jednego z najrdzenniejszych i najzdrowszych narodów słowiańskich: Słowaków.

Nasi zaciekli słowianofile, głusi na wszelki rzeczowy argument i na głos zdrowego rozsądku, a karygodnie ślepi na druzgocące fakta, rozgrywające się z tamtej strony granic tatrzańskich, traktują sprawę słowacką przeważnie z tępem, krótkowzrocznem zastrzeżeniem, które dla nich istny dogmat stanowi: nienaruszalność obecnych granic republiki czeskiej. Zdaje im się, że gdyby ten dogmat runął, to narody teutońskie (z turzymi rogami na hełmach) zaleją w mgnieniu oka całą „Słowiańszczyznę", a zwłaszcza umiłowaną Pragę i Moskwę i śladu z niej nie pozostawią. Oczywiście także śladu z wystaw czesko-słowackiej kultury i sztuki i z foteli prezesowskich i sekretarskich naszych niepowołanych a upartych „przyjaciół" Słowaczyzny.

Artykuł „Słowaka", zamieszczony na następnych stronicach i rozpowszechniany równocześnie przez nas w pięciu tysiącach odbitek po kraju i zagranicą, gdzie tłumaczony będzie na obce języki, otwiera dopiero oczy na rzeczywistą rzeczywistość obecnej tragedji narodu słowackiego, idącej w parze z bezpośredniem niebezpieczeństwem bolszewickiem, już nietylko propagandowem, ale wprost militarnem.

Artykuł ten, oparty na niezbitych faktach, stwierdzonych nietylko ze słowackiej strony, pisany jest krwią serdeczną niszczonego w naszych obojętnych oczach narodu słowackiego. Więcej, niż zbrod-

nię, bo głęboki błąd polityczny popełniają znowu Polacy, zaaferowani jednostronnie kwestją ulg podatkowych, kalkulacją cen i kredytów, że w kwietyźmie swym nie chcą zaważyć w odpowiedni sposób całym ciężarem gatunkowym swego mocarstwowego państwa na sprawie słowackiej i zahamować dalszy rozwój tej tragedji, odbywającej się rzekomo na rzecz brutalnego imperjalizmu Czechów, a w głębszej rzeczywistości na rzecz perfidnego podboju centralnej Europy przez czerwoną Moskwę.

Ginie Słowaczyzna pod ciosami czeskiego młota, uderzającego z góry, a czesko-bolszewickiej gangreny, podminowującej nieszczęsny naród słowacki od dołu. Ginie także poprostu z głodu i prostytuuje się z niesłychanej nędzy materjalnej. Grozą przejmują prawdziwe fakta, podane przez „Słowaka", przypominające zupełnie jakieś średniowieczne metody eksterminacji całych narodów.

Zresztą, co to długo mówić! Znamy przecież aż nazbyt dobrze metody moskiewskie, carskie lub bolszewickie, a znamy również dobrze i czeskie metody, których doznaliśmy na własnej skórze w długim okresie perfidnych rządów czesko-austrjackich urzędników w Galicji, a potem ze strony niepodległych już Czechów w czasie tragedji sybirskich wojsk antybolszewickich i w czasie inwazji bolszewickiej i wreszcie w zdradzieckiem uderzeniu nad Olzą i wśród obecnych, bezcelowo barbarzyńskich, prawdziwie łobuzerskich prześladowań naszych rodaków, pozostałych pod czeskiem panowaniem.

Czas już ostatni, aby podając rękę na serjo Słowakom, przeciąć tem samem groźne dla nas i dla pokoju Europy czeskie intrygi i przeciąć jeszcze dla nas groźniejszy pierścień militarny czesko-rosyjski, okrążający nas z perfidną, nieubłaganą konsekwencją od południa. Jakże tragikomicznie wyglądają wo-

bec tej rzeczywistości i wobec tragedji słowackiego narodu arcynaiwne zjazdy „słowiańskich“ naukowców lub nawet „słowiańskich“ pocztowców (sic!), aranżowane sprytnie przez Czechów nawet w samej stolicy Polski! Wartoby zaiste zbadać — w obecnej dobie przerostu statystyki — ile to pieniędzy czeskich, może i na skutek akredytywy moskiewskiej, idzie na takie imprezy i różne inne proczeskie, czy wogóle prosłowiańskie poczynania różnych zrzeszeń i organów prasowych w Polsce!

Redakcja.

ROLA SŁOWACZYZNY W MILITARNYM SOJUSZU CZECHÓW Z BOLSZEWICKĄ ROSJĄ.

(TRAGEDJA NARODU SŁOWACKIEGO).

1. *Słowaczyzna terenem wojskowym przeciw Polsce.*

Polska zyskała sobie wielką zasługę wobec całej cywilizacji zachodniej, gdy w 1920 r. zamknęła bramę Europy przed bolszewicką inwazją. Teraz Czesi otwierają tę bramę bolszewikom na Rusi Podkarpackiej i na Słowaczyźnie.

Jest jeszcze w żywej pamięci, jak zachowali się Czesi wobec Polski w 1920 r., kiedy bolszewizm poraz pierwszy zagroził całemu światu. Znane jest i to, jak się wówczas zachowali Węgrzy. Sam K. Kramarz przyznał, że Czesi wówczas wiele razy zatrzymywali i konfiskowali amunicję, posyłaną z Francji armji polskiej („Narodni Listy, nr. 230, 1930). Przeprowadzili też Czesi mobilizację na Rusi Podkarpackiej w nadzieji, iż po zwycięstwie Bolszewików będzie możliwem zrealizować korytarz czesko-rosyjski. Urządzili podłą napaść na Polaków w Cieszyńskiem. Lord d'Abernon pisze, że w tym czasie sam czeski prezydent, Masaryk, radził komisjom wojskowym angielskiej i francuskiej nie pomagać Polsce przeciw bolszewikom.

W tym samym czasie chcieli Węgrzy przyjść z całą swoją armją w pomoc Polsce, a potem, gdy Benesz to uniemożliwił, posłali amunicję, dzięki któ-

rej w znacznym stopniu stał się możliwym „Cud nad Wisłą“, co też dobrze jest znane, szczegółowo zaś opisane w broszurze Louis Villat‘a, profesora uniwersytetu w Besançon: „Le rôle de la Hongrie dans la Guerre Polono-Bolchewick de 1920“, Paris, 1930.

Ś. p. Marszałek Piłsudski widział w bolszewickiej Rosji głównego wroga Polski i Europy. Taksamo myślą dzisiaj Niemcy, jak to stwierdzili na olbrzymim wiecu w tym roku w Norymberdze.

Ten to wróg niebezpieczny jest już dziś na Słowaczyźnie, a Czesi identyfikują się z nim! Dopóki Niemcy nie byli dostatecznie uzbrojeni, Polska zaś nie dawała jeszcze poznać, że chce się stać państwem mocarstwowem, Praga czeska opierała się tylko o Małą Ententę. Teraz Czesi zawarli wojskowy sojuż z Rosją bolszewicką, dając zobowiązanie Stalinowi i Litwinowowi pozostawienia do dyspozycji generalnego sztabu rosyjskiego Rusi Podkarpackiej i Słowaczyzny, ażeby armja bolszewicka mogła stworzyć sobie tam bazę dla swoich aeroplanów, którym bez tego zadaleko byłoby startować z Rosji przeciw miastom polskim, niemieckim lub węgierskim. Takie bazy mają już dziś Bolszewicy w Użhorodzie, w Pisz-czanach, Trenczynie, w Wajnorach i t. d.

Czesi, aby zatrzymać sobie te kraje, które po wojnie światowej bezprawnie oderwali od Węgrów, Słowaków, Polaków i Niemców, nie zawahali się w ostatnich czasach połączyé się z wrogiem całego cywilizowanego świata — z bolszewizmem. Przez naszą słowacką ziemię wprowadzają oni komunistyczną zarazę do Europy, a u nas, na Słowaczyźnie, przygotowują sobie podstawy do ataku przeciw Polsce. Nietylko już od wschodu, ale i od południa przygotowuje się w ten sposób napaść bolszewicka na Polskę.

Kwestja Słowacka, sama w sobie, jest małą, ale

nabiera wielkiego znaczenia właśnie z powodu ostatnich planów sztabu czeskiego i moskiewskiego. Tę rzecz trzeba poważnie wziąć pod uwagę.

2. *Słowacy nie są nieprzyjaciółmi Polski, nie trzymają ani z Czechami, ani z Bolszewikami.*

Skoro już Słowaczyzna zmuszona jest stać się terenem wojskowym na szkodę Polski i innych państw sąsiednich, to Was, Bracia Polacy, musi interesować, jakie są nastroje wśród narodu słowackiego. Polski historyk Gallus już w XI w. pisał: „Bohemi sunt Polonorum infestissimi inimici" („Czesi są najbardziej zaciętymi nieprzyjaciółmi Polaków"). Więc nie o Słowakach tak się wyrażał, lecz o Czechach i tylko o nich. Słowacy bowiem, to nie Czesi. Gdyby zaś kto powiedział, że Słowacy są też Czechami, albowiem Praga tak to rozgłasza światu, nasza odpowiedź jest następująca:

a) Nie jesteśmy Czechami.

Mafja czeska (organizacja czeskich dyplomatów w czasie światowej wojny) potrzebowała podstawy etnograficznej do swych pretensji do Słowczyzny wówczas, kiedy z temi pretensjami występowała w Paryżu. Dlatego Masaryk już w 1915 r., w memorjale („Independent Bohemia"), wystosowanym do Foreign Office w Londynie, pisał, że „Słowacy są to Czesi". Tekst tego memorjału można czytać w książce E. Benesza: „Svetova valka a nase revoluce" (tom III, str. 203).

Taksamo Benesz w swej broszurze: „Détruisez l'Autriche-Hongrie!", wydanej w Paryżu 1916 r., żądał przyłączenia Słowaczyzny do Czech na tej podstawie, że niema różnicy między Słowakami a Czechami, albowiem w gruncie rzeczy jest tylko jeden naród czeski, względnie czecho-słowacki, a język słowacki jest tylko djalektem czeskiego...

Te jednak wywody etnograficzne są całkiem fałszywe. Wielki przyjaciel Czechów, Seton Watson (pseudonim: Scotus Viator), którego, jako swego propagandzistę, rząd czeski finansuje na uniwersytecie w Londynie, jeszcze przed wojną światową pisał w swojem pierwszem, a największem dziele: „Racial problems of Hungary", iż Słowacy mają oddawna mocne poczucie narodowe, a więc muszą być uważani za indywidualny i od innych odrębny naród słowacki. To poczucie narodowe u Słowaków od czasu wojny jeszcze więcej wzrosło i wzmocniło się, tak, że Słowacy na największym wiecu w swej historji, w Nitrze w 1933 r., w obecności przedstawicieli rządu czeskiego i obcej dyplomacji ogłosili taką rezolucję: „Nigdy nie byliśmy Czechami, ani Czechosłowakami, lecz Słowakami i Słowakami też chcemy zostać. Uważamy siebie za naród suwerenny, odrębny, mający swój własny charakter". („Slovak", 15 sierpnia, 1933).

Największy nasz ligwista, Samuel Czambel, który dał nam naszą ortografję, udowodnił, że Słowacy nie z Czechami, lecz ze Słowianami południowymi są spokrewnieni, mianowicie, że są jednym narodem ze Słoweńcami, którzy dziś należą do Jugosławji. Dlatego też wszyscy Słowacy, nawet renegaci, piszą i mówią: „slovensky narod" (a nie słowacki), Slovensko, slovensky jazyk, a nasze kobiety mówią o sobie: Ia som Slovenka! (a nie Słowaczka). Tylko mężczyzna u nas nazywa się Słowakiem, co musi być jednak formą późniejszą, podobnie, jak Rusina w czasach późniejszych nazywano Ruśniakiem. Nawet Polacy nzywali się kiedyś Polanie, jak to świadczy łacińska ich nazwa: Poloni.

Nie jesteśmy więc Czechami. Dalej udowodnimy, że

b) nie jesteśmy też Czechosłowakami.

Gdy Czesi zauważyli, że świat nie chce im uwierzyć w identyczność Słowaków z Czechami, znaleźli wtedy inną formę, głosząc, że są oni z nami jednym narodem „czechosłowackim“ i to w sensie nietylko politycznym, lecz i etnograficznym. Na to mamy taką odpowiedź: Ten wykręt Czechom też nie pomoże, albowiem świat wie, iż takiego „dublowanego“ narodu nigdy nie było i niema, podobnie jak niema narodu polsko-rosyjskiego, czecho-polskiego, serbsko-bułgarskiego i t. d. Sami Słowacy przeciwko tej nazwie zawsze protestowali, nazywając nazwę tę humbugiem, mistyfikacją i kłamstwem (np. A. Hlinka w „Lidovych Novinach“ 13.X.1933). Tensam Hlinka oświadczył: „Czechosłowak jest to taki Słowak, który zdradził swój naród, swoją ojczyznę, zrzekł się swej rasy i z motywów egoistycznych trzyma z Czechami“. Otóż takie to są indywidua, które się mianują Czechosłowakami (Sir Robert Donald, „The tragedy of Trianon, str. 177). Takich renegatów jest jednak między Słowakami tylko mała garstka (Hodża, Derer, Markovic, Srobar, Stefanek etc.) i zostaną oni zawsze mniejszością w narodzie, albowiem zdrajcy nigdy nie tworzą większości ludu, taksamo, jak Judasz nie był większością w kolegjum apostolskiem. Nawet sami Czesi nie biorą tego czechosłowackiego humbugu na serjo i sami nazywają siebie tylko Czechami, a nie Czechosłowakami. Główny organ stronnictwa ministra Benesza nazywa się „Czeskie slovo“ (a nie czesko-slovenske), istnieją tylko czeskie banki, czeskie szkoły, czeska akademja, czeskie teatry i t. d., nigdy zaś „czeskosłowackie“. Nawet znalazł się poeta czeski Deml, który przyznał, że nazwa „naród czeskosłowacki“ jest to „monstrum

et absurdum" („Slovak" 23.XI.1934. Nr. 265). Papież i Watykan zawsze tytułują Słowaków: „Naród Słowacki", a nie czechosłowacki, Hlinka zaś pisze: „Watykan uznał indywidualność narodu słowackiego, tylko Czesi tego uznać niechcą" („Slovak", Nr. 210, 1933.IX.17).

c) Nie jest prawdą, że Słowacy dobrowolnie oderwali się od Węgier i połączyli się z Czechami.

Gdyby nam kto z polskiej storny zarzucił, że dobrowolnie oderwaliśmy się od Węgier, a złączyli z Czechami, my odpowiemy: Przez tysiąc lat, aż do wojny światowej, Słowacy nigdy nie dawali niczem poznać, że chcieliby oderwać się od Węgier. Przyznaje to nawet znany czeski pisarz Meakulpinsky, który już przed wojną światową pisał: „Słowacy do nas, Czechów, nigdy politycznie nie grawitowali, a nawet pod względem językowym od nas się oddzielili. Przez tysiąc lat kochali Słowacy Węgry, jako swoją ojczyznę, od niej oderwaé się nigdy nie chcieli, konspiracji przeciw niej nigdy nie robili, przeciw państwu węgierskiemu i dynastji nigdy nie powstawali" („Co hati Slovaky?", str. 123 i 147).

A podczas wojny światowej? Żołnierze słowaccy, wierni swej przysiędze aż do końca, uczciwie walczyli na wszystkich frontach za swoją ojczyznę i króla, co mogą poświadczyć sztaby generalne w Wiedniu, w Budapeszcie i w Berlinie. Raporty o tem można znaleźć też w książce polityka słowackiego, F. Juriga: „Pisma". — Do t. zw. „legji czechosłowackiej" jeńcy słowaccy na Sybirze wstępować nie chcieli, za co ich Czesi gromadnie rozstrzeliwali.

Tak więc czeska mafja musiała użyć niskich i niemoralnych intryg, aby uniknąć plebiscytu na Słowaczyźnie i na Podkarpackiej

R u s i, czego wtenczas w imię sprawiedliwości najwięcej domagał się amerykański prezydent, W. Wilson. Dla zamydlenia oczu Wilsonowi zrobił wówczas Masaryk z przywódcami amerykańskich Słowaków t. zw. Pittsburską ugodę, w której obiecał, iż Słowaczyzna będzie miała zupełną polityczną eutonomję w Czechosłowacji. Gdy zaś słowaccy przywódcy w swej naiwności ugodę podpisali, Masaryk tak argumentował wobec p. Wilsona: „Widzi Pan, uświadomieni Słowacy ze Stanów Zjednoczonych chcą się połączyć z nami w jedno państwo, na Słowaczyźnie zaś plebiscytu robić nie można, gdyż tam lud jest ciemny, nieuświadomiony".

Chociaż Masaryk podpisał tę ugodę wówczas już jako pierwszy prezydent Republiki, jednak Słowacy autonomji nie otrzymali i, co więcej jeszcze, Masaryk sam kilkakrotnie różnymi sposobami ogłosił tę ugodę za... n i e w a ż n ą! Tak więc w swym liście do premjera Tusara napisał, że ugoda miała tylko historyczne znaczenie (to jest była przeprowadzoną w celu uspokojenia p. Wilsona). Przez słowackiego zaś renegata, V. Srobara, polecił powiedzieć amerykańskim Słowakom w 1930 r., gdy tam zaczęto alarmować o wprowadzenie w życie tej ugody, iż ta ugoda Pittsburska zawarta była w święto amerykańskie (decorations-day), a każda umowa, czy kontrakt, zawarte w święto, są dla amerykańskich praw... nieważne!! W swej książce („Svetova revoluce") pisze znów Masaryk, iż on tę ugodę w Pittsburgu „zawierał nie na serjo, lecz tylko dla uspokojenia pewnej grupy Słowaków, którym się śniło o Bóg wie jakiej niepodległości słowackiej..."

Musimy tu zaznaczyć, iż wspomniana ugoda, nawet gdyby była ważną i za taką uznaną, nie obowiązywałaby narodu słowackiego, albowiem wychodźcy słowaccy w Ameryce są tylko małą cząstką narodu,

a podobnie, jak np. emigracja polska w Ameryce nie mogłaby decydować o losach całej Polski, wychodźcy słowaccy nie mieli też prawa decydować o przyszłości całego swego narodu. Mimo to jednak Czesi nie są zwolnieni od dotrzymania tej ugody, która miała ten sens, że amerykańscy Słowacy mieli popierać ideję stworzenia państwa czechosłowackiego, jeżeli będzie to państwo dualistyczne, a Słowaczyzna będzie miała autonomję. Słowacy amerykańscy słowa swego dotrzymali, ale Czesi nie. Mało tego, Czesi skazali na 15 lat ciężkiego więzienia słowackiego polityka, prof. V. Tukę, za to tylko, że domagał się spełnienia tej pittsburskiej obietnicy i umowy ze strony rządu czeskiego. Czesi nie lubią wogóle poruszać kwestji tej ugody, gdyż zrobiona ona była na tej podstawie, że Słowacy są od Czechów odrębnym narodem. Oczywiście Masaryk byłby wolał otrzymać od Słowaków amerykańskich oświadczenie, że słowackiego narodu niema i że Słowacy są to też Czesi. Nasi wychodźcy jednak do takiej renegacji zdolni nie byli.

Ponieważ na konferencji pokojowej w Paryżu Czesi chcieli koniecznie uniknąć plebiscytu na Słowaczyźnie, informowali więc dyplomatów państw zwycięskich, iż Słowacy są także Czechami, a więc „poco wobec tego robić plebiscyt?". Aby im w Paryżu dawano wiarę, „obstalowali sobie" u pewnej grupy słowackich panslawistów t. zw. „Martinską Deklarację" z oświadczeniem, że Słowacy są naprawdę jednym i tym samym narodem, co i Czesi. Znalazło się 106 takich deklarantów, wśród których było 95 luteranów a 11 katolików. Na czele tych ostatnich stał ksiądz Hlinka. Ci to deklaranci zrzekli się indywidualności słowackiego narodu, podpisali renegacką deklarację, jakiej czeska mafja w Paryżu potrzebowała. Skorzystano z niej w

ten sposób, że uznano owych deklarantów za uprawnionych przedstawicieli Słowaków. Naród słowacki jednak tych renegatów ani nie wybierał, ani nie upoważniał do takiej zdradzieckiej deklaracji. Ksiądz Hlinka później sam żałował swego fatalnego kroku, a jego stronnictwo wydało następujące oświadczenie: „Konferencja w Turczańskim św. Marcinie nie miała od narodu słowackiego pełnomocnictw. Deklaranci, tam obecni, reprezentowali tylko samych siebie, nie zaś naród, ani choćby znaczniejszą część narodu“ („Slovak“, 4.III.1923).

W Paryżu jednak wtenczas ślepo wierzono p. Beneszowi. I tak to było, że wówczas, kiedy Polska każdy kawał swej odwiecznej ziemi musiała wywalczać sobie ciężkiemi, a kosztownemi plebiscytami, Czesi otrzymali całą Słowaczyznę bez plebiscytu — jakby kosztowny prezent!

d) N i e j e s t p r a w d ą, ż e C z e s i o s w o b o d z i l i S ł o w a k ó w.

Ażeby przed światem figurować jako oswobodziciele Słowaków, Czesi oczerniają Węgrów, jakoby ci byli ciemiężycielami i tyranami, którzy trzymali Słowaków w jarzmie niewoli przez całych tysiąc lat. Jest to w każdym razie rzeczą ciekawą, że Czesi którzy Słowaków nietylko ogłaszają za braci, ale nawet za część swego narodu, przez tych tysiąc lat nigdy nie mogli się zdecydować na prowadzenie walki z Węgrami o wyzwolenie owej rzekomej „słowackiej części czeskiego narodu“. Nigdy się o Słowaków nie troszczyli — dawniej...

Ale zobaczymy, jak wyglądało naprawdę to tysiącletnie węgierskie „jarzmo“ i jak to Czesi „wyzwolili“ z niego Słowaków.

Wszyscy słowaccy historycy i politycy jednogłośnie uznają nawet dziś jeszcze, że Słowacy pod berłem węgierskiem przez całych 900 lat żyli w naj-

większym spokoju i zgodzie z Węgrami i bez wszelkiej krzywdy z ich strony. W książce, którą na samym początku wojny światowej wydała „Słoweńska Liga“ w Ameryce, czytamy: „Węgrzy nie podbili Słowaków szablą, gdyż ci przyłączyli się dobrowolnie do Węgrów na podstawie federacji i po zapewnieniu im wolności osobistej i majątkowej. Lecz nawet, gdyby przyjąć, że Węgrzy zwyciężyli Słowaków w krwawej walce, to w każdym razie ich nie ujarzmili, nie podporządkowali ich sobie, lecz dali im zupełną swobodę, pozostawiając im majątki i przywileje, wyznanie, język, wszystkie zwyczaje narodowe, żyjąc ze Słowakami w przyjaźni i braterstwie, nie dając odczuć ani Słowakom, ani innym narodowościom, zamieszkałym w tym kraju, węgierskiej supremacji i hegemonji. W ustawach węgierskich nie było nawet śladu narodowej supremacji lub uprzywilejowania jednego narodu ze szkodą drugiego. I tak było do ostatnich czasów“ (str. 39). To samo przyznaje słowacki polityk, Ambro Pietor (Napor-Odpor), historyk Józef Skutelny („Narodnie Noviny“, nr. 121. 1933) i nawet renegat słowacki Milan Ivanka („Narodni Dennik“, 7.II.1934) i t. d.

Więc, czy nie jest absurdalnem mówić o tysiącletniem jarzmie, gdy z tego tysiąca całych 900 lat było „bez jarzma“, nawet szczęśliwych?

Spór między Słowakami a Magyarami powstał dopiero od czasu rewolucji francuskiej, względnie od okresu, w którym powstała w Europie idea narodowościowa. Wtenczas tak Magyarzy, jak i Słowacy zaczęli pisać, zamiast łaciną, w swoim języku macierzystym, rozwijać i wzbogacać skarb swojej narodowości. Na tem tle powstała między Magyarami a Słowakami emulacja, w której potem obie strony popełniły fatalne błędy. Słowaccy budziciele narodowego ducha popełnili wielki błąd, gdyż, nie poprzestając

na rozwijaniu się słowackiej narodowości, zaczęli marzyć o wielkiem mocarstwie panslawistycznem pod hegemonją Rosji. Wszyscy, bez wyjątku, stali się w tym czasie naiwnego romantyzmu rusofilami. Wspomina o tem w swej książce E. Prażak: „Slovenska Swojskost“ — jak to np. Ludowit Stur nawet radził Słowakom wyrzec się swego języka, a przyjąć język rosyjski i zrobić apostazję od swej wiary i stać się prawosławnymi. Podobnie, jak synowie tych panslawistów po runięciu kolosa rosyjskiego w światowej wojnie, wezwali Czechów na Słowaczyznę, tak ich ojcowie (ale nie lud słowacki) niegdyś chcieli rozbić państwo węgierskie, a zaprosić na Słowaczyznę Moskali. Tak to prąd narodowościowy słowacki nabrał charakteru antypaństwowego. Nic też dziwnego, że rządy węgierskie zaczęły zwalczać słowacki rusofilizm. Dopuściły się jednak i one przytem błędu, mianowicie, że w każdym ruchu słowackim zaczęły podejrzewać knowania na rzecz panslawizmu i zaczęły zanadto narzucać język węgierski, mianowicie w szkołach. Było to robione w tej nadziei, że Słowacy, gdy otrzymają kulturę węgierską, będą nią zabezpieczeni przed wpływem panslawizmu.

Że było oczywiście tak, a nie inaczej, wskazuje zarzut, robiony Węgrom ze strony Czechów i panslawistów, iż rząd węgierski zamknął „Maticę slovenską“, odgrywającą rolę akademji naukowej dla Słowaków. Węgrzy zamknęli ją dlatego, że ta Matica Slovenska propagowała nie naukę, ale panslawizm. Jednym z dowodów na to jest fakt niezaprzeczony, że Matica Slovenska na swej urzędowej pieczęci umieściła sobie... rosyjski napis (fotografję tej pieczęci opublikował organ ministra Benesza „Prager Presse“ z 17.X.1935 r., nr. 281).

Że zaś Węgrzy mieli zamiar w gruncie rzeczy zwalczać tylko panslawizm, a nie samą narodowość

słowacką, tego najlepszym dowodem jest, że Samuel Czambel, największy filolog słowacki, któremu naszą ortografję zawdzięczamy, był jednocześnie wysokim urzędnikiem w ministerstwie spraw wewnętrznych w Budapeszcie, będąc wiernym Słowakiem i lojalnym patrjotą węgierskim. Kiedy więc w tych ostatnich czasach przedwojennych (i tylko w tych ostatnich czasach) powstało nieporozumienie między Magyarami a Słowakami, dotyczyło ono tylko kwestji językowej. A cóż jest dzisiaj? Dziś sami Słowacy oświadczają: „Magyarzy brali nam tylko język, Czesi zabierają nam wszystko". Przed wojną hasłem słowackiej polityki było: „Za tu nasu Slovencinu" (t. j. „za ten nasz słowacki pęzyk"). Dziś mamy hasło: „Za to nase Slovensko!", albowiem Czesi biorą nam całą ojczyznę i wszystkie jej skarby materjalne i duchowe.

Kiedy jest prawdą, że Słowacy mieli rację skarżyć się na magyaryzowanie ich, to skoro Czesi mieli zamiar „wyzwolić" Słowaków, powinno być dziś Słowakom lepiej, przynajmniej pod względem językowym, niż im było za węgierskich czasów. Ale tak nie jest. Jeżeli Magyarzy nas magyaryzowali, to Czesi nas czechizują. I nie koniec na tem. Bo kiedy Magyarzy odrębną narodowość słowacką uznawali, Czesi nawet tego nie uznają i wprost zaprzeczają temu. Czeska konstytucja nie zna narodu słowackiego, czeska urzędowa statystyka nic nie mówi o Słowakach, a prezydent Masaryk jeszcze niedawno tak się wypowiedział: „Niema narodu słowackiego, jest to tylko wynalazek propagandy węgierskiej!" („Cesta demokracie", tom II, str. 82. Praga. Cin.).

Nieprzyjaciel Węgrów, agent czeski, Seton Watson, wydał przed wojną dzieło przeciw Węgrom „Racial Problems of Hungary". Dowodził, że na Węgrzech są problemy walki rasowej. W rzeczywi-

stości problem słowacki dopiero dzisiaj jest problemem *rasowym*, gdyż Magyarzy rasę i narodowość słowacką nawet urzędowo uznawali i dopiero Czesi ogłosili (budując na tej podstawie swoje państwo), że Słowaków niema, a rasa słowacka nie egzystuje. Ażeby zaś naprawdę przestała istnieć, o to starają się przy pomocy całego swego państwowego aparatu, wynaradawiając nas siłą przemocy.

To też Słowacy mówią dziś, że Czesi ich „oswobodzili“, aby ich „połknąć“. Codzień czytamy o politycznych procesach na Słowaczyźnie. Czeskie sądy ciągle osadzają słowackich partrjotów w więzieniach, zarówno inteligentów, jak i chłopów. Cenzura gazet szaleje. Ks. Biskup Gallagher powiedział, że kto twierdzi, jakoby Czesi Słowaków oswobodzili, jest kłamcą. Można powiedzieć, iż *cały naród słowacki jest dziś więźniem, albowiem przeciw swej woli jest trzymany w państwie, którego nie chciał, a którego całem sercem nienawidzi.*

A więc tak to „oswobodzili“ Czesi nas, Słowaków!

e) *Słowacy nienawidzą Czechów, jako sprawców swej ekonomicznej ruiny.*

Gdy zapytać przeciętnego Słowaka, czy zżył się w ciągu 16 lat z Czechami, otrzyma się mniej więcej taką odpowiedź: „Niema mowy o zżyciu się — przeciwnie, przed przewrotem Słowacy mieli do Czechów tylko antypatję, jako do narodu husyckiego, o duchu materjalistycznym i egoistycznym. Od przewrotu antypatje te zmieniły się w głęboką nienawiść“. Główną przyczyną nienawiści jest to, że Czesi oderwali Słowaków od Węgrów, *odcięli ich od ich podstaw materjalnej egzysten-*

cji i doprowadzili Słowaczyznę do ekonomicznej katastrofy.

Pierwszą ofiarą tego oderwania był upadek naszego handlu drzewem. Nasz kraj jest krajem górzystym i główny majątek nasz, to drzewo. Węgrzy natomiast na swej równinie nie mają wiele drzewa, mają zato więcej pszenicy, niżli sami potrzebują, a której nam braknie. Tak więc w zamian za nasze drzewo dawali nam pszenicę na chleb. Traktaty pokojowe, skutkiem których — za radą czeskiej mafji — została rozerwaną ta idealna ekonomicznie i geograficznie jedność słowacko-węgierska, spowodowały ten smutny stan, iż Węgrom dziś brak drzewa, a Słowacy głodują. Czeska polityka ekonomiczna, dążąca do złamania Węgier, prowadzi z nimi bój celny i w ten sposób nietylko nasz handel drzewny, ale wogóle cały nasz handel z królestwem węgierskiem, do którego skierowują się wszystkie nasze drogi i koleje, został zniszczony.

Drugą ofiarą po oderwaniu nas od Węgier był upadek naszego przemysłu. Węgrzy przed wojną rozwijali na Słowaczyźnie swój przemysł, znajdując tam wszystkie sprzyjające po temu warunki. Czesi przeciwnie, aby nasz przemysł nie robił im konkurencji, ogłosili go za zbyteczny i więcej niż 220 fabryk u nas zamknęli („Slovensky Dennik" 7.X.1934).

Naszych robotników rolnych, którzy przez tysiąc lat schodzili na doliny węgierskie na żniwa i przynosili stamtąd rodzinom swoim żywność na cały rok, Czesi, z obawy przed irrydentą, do Węgier nie puszczają. Skutkiem tego nasi bezrobotni muszą emigrować do Argentyny, Australji, Afryki, Chin, nawet do Rosji bolszewickiej i t. d. Jak dotąd, blisko pół miljona naszych rodaków musiało wywędrować. Ci zaś bezrobotni Słowacy, których nawet na karty wy-

jazdu nie stać i dlatego emigrować nie mogą, głodują w domu, gdy zaś robią głodowe demonstracje, domagając się pomocy i pracy, czeska żandarmerja urządza im krwawe pogromy, tak, jak to było w Telgarcie, Polące, w Chuście, w Kosutach, Holicu, Kopcanach, Certiznie i t. d. A więc to, co w ciągu tysiąca lat panowania węgierskiego nigdy się nie zdarzało, dziś jest na porządku dziennym. Słowacy umierają dziś z głodu! Gdy w słynnem uzdrowisku, Piszczanach, umarł z głodu Słowak Podolsky z żoną i zostało po nim 8-ro głodnych i chorych dzieci, „Slovak" (10.III. 1935 Nr. 58) pisał, że w ten sposób umiera i ginie tysiące słowackich rodzin skutkiem bezrobocia. Nawet urzędowa czeska statystyka stwierdziła, że gdy w Czechach zwykłą przyczyną śmierci jest „nadwyżywienie", to na Słowaczyźnie ludzie umierają z głodu i na choroby, wywołane przez głodowanie („Slovensky Dennik" 1.VIII.1935).

Wielu ze Słowaków, którzy nie mają dość moralnej siły, aby doczekać się takiej śmierci głodowej, popełnia samobójstwa i to nieraz masowo, tak, że gazety słowackie piszą o epidemji samobójczej między Słowakami („Narodnie Noviny", 28.VII.1934, nr. 87). Pewien ubogi Słowak, St. Klimo, który we Francji napróżno szukał pracy, popełnił samobójstwo, skacząc z wieży Eiffel i oświadczając przedtem, że zrobi to, aby zwrócić uwagę świata na straszną tragedję narodu słowackiego („Slovak", 14.I.1932). Skutkiem materjalnej ruiny tylu mężczyzn i kobiet dostaje rozstroju nerwowego i warjuje, że według profesora czeskiego Krivego, w domach dla warjatów niema już więcej dla nich miejsca, więc rodziny muszą trzymać tych biedaków, zamkniętych w staj-

niach i chlewach („Slovensky Dennik“, 1.I. 1935 i „Slovak“ 8.VI.1933).

Ta materjalna ruina wywołuje też straszny moralny upadek, gdyż — jak wiadomo — „paupertas maxima meretrix“. Wychodźcy słowaccy na wyspie Kubie sprzedają swoje córki i żony do domów publicznych. Słowak Izakowic sprzedał swą córkę Józefinę we Francji za 20 franków cyganom („Le Matin“, 5.IV. 1935, „L'Intransigeant“, 4.IV.1935). Na samej zaś Słowaczyźnie kobiety z głodu za drobne sumy sprzedają swe ciała czeskim nowym „panom“, a czeski pisarz, Zahradnik Brodsky, w swem najnowszem dziele („Małżeństwo we trzech“) pisze, że dziś już ci nowi czescy „panowie“ (żołnierze, żandarmi i urzędnicy) używają na Słowaczyźnie nawet „jus primae noctis“ (prawa pierwszej nocy)!

Czeska statystyka wykazała, że na Słowaczyźnie dzieje się siedmiokrotnie więcej przestępstw, aniżeli w Czechach, na co słowackie gazety odpowiedziały, że Słowacy przedtem byli znani jako naród o gołębiej naturze, uczciwy, dobroduszny, szanujący prawa. Dziś skutkiem głodu i czeskiego reżimu Słowacy stopniowo stają się narodem zbrodniarzy („Slovak“ 29.I.1935).

Jeszcze gorszy jest stan pod tym względem na Rusi Podkarpackiej.

Gdy już samo oderwanie od Węgier Słowaczyzny stało się dla Słowaków tak katastrofalnem w swych skutkach, jeszcze gorszem jest to, że Czesi nasz kraj uważają za swoją kolonję. Ksiądz Hlinka wykazał, że od przewrotu więcej niż trzysta tysięcy Czechów przywędrowało na Słowaczyznę, gdzie zajmują wszystkie wyższe stanowiska i gdzie położyli swe ręce na wszystkie źródła docho-

d u. W ten sposób nietylko lud słowacki bieduje, ale też i słowacka inteligencja jest bez pracy. W mieście słowackiem Koszycach zaszedł wypadek, że 62 ukończonych maturzystów prosiło o stanowiska... zamiataczy ulic, ale ani tego nawet nie mogli otrzymać („Slovak“, 7.X.1934, nr. 227).

Oba stronnictwa słowackie, t. j. ludowe i narodowe, na wspólnym wiecu w Banowicach zgodnie stwierdziły, że pod reżimem czeskim Słowacy wszyscy są żebrakami, a dobrze się powodzi tylko czeskim przybłędom na Słowaczyźnie („Slovak“, 17.VII. 1932, nr. 29).

Nawet czeski polityk, dr. V. Mikyna, stwierdził, że od przewrotu życiowy standart słowackiego ludu upadł poniżej najkonieczniejszego „minimum“ („Narodni Listy“, nr. 224, 1932).

Na tego rodzaju skargi słowackie zwykli Czesi wykrętnie odpowiadać, że przyczyną tej nędzy jest „światowy kryzys“. Jednak Słowacy sprostowują to tem, że u nas kryzys zaczął się nie pięć lat temu, jak w całej Europie, ale już w 1919 r., od samego przewrotu, gdy Czesi zamknęli przed nami granicę węgierską, zamykając jednocześnie nasze fabryki i masowo osiedlając się u nas dla objadania naszego kraju. Nawet Czech, dr. Hoch, przyznał, że na Słowaczyźnie już dawno wszystko zbankrutowało, gdyż tam kryzys zaczął się zaraz po przewrocie i kryzys ten jest skutkiem oderwania Słowaczyzny od Węgier oraz rozerwania starodawnych węzłów ekonomicznych słowacko-węgierskich („Narodni Listy“, 14.II.1933, nr. 45).

f) Czechizacja.

Mają więc Słowacy dość przyczyn, aby Czechów nienawidzić. Trudno jest bowiem kochać tego, kto uczynił nas żebrakami. Są jednakże ponadmaterjal-

ne dobra, skarby wyższe, jak np. własny język, narodowość. Ale Czesi i to nam zabierają. Aby udowodnić, że Słowaków naprawdę niema, jak to twierdziła czeska dyplomacja w Paryżu, cały państwowy aparat wszelkimi sposobami pracuje nad wynarodowieniem Słowaków, w czem współdziałają czeskie szkoły, administracja, sądy, armja. Prócz tego jest jeszcze cały szereg innych czynników, prowadzących do tego samego celu. Były minister czeski, A. Stefanek, wymienia jeszcze następujące środki czechizacji: stronnictwa polityczne czeskie, rozprzestrzenione na Słowaczyźnie, czeski sejm i senat, masy czeskich książek i gazet, szerzonych na Słowaczyźnie, koleje, turystyka, mieszane małżeństwa czesko-słowackie, banki czeskie, sokół i orzeł czeski, przymus szkolny, handel, kina, teatry i t. d. Wyprowadza on też wniosek, że procesu czechizowania Słowaków zatrzymać nie można („Venkow", 28.VIII, 1933).

W Bratislavie, głównem mieście Słowaków, zamiast słowackiego, otworzyli „nowi panowie" uniwersytet czeski, na którym język słowacki nie posiada nawet własnej katedry. Profesorami są Czesi, urzędowym językiem wykładowym jest czeski, a profesorowie tego uniwersytetu „ex cathedra" nazywają język słowacki „językiem azjatyckim, językiem bastardów" i nie dają dobrych not tym naszym studentom, którzy mają odwagę wyznawać, że są synami narodu słowackiego, jakiego według Czechów niema.

Czechizują też nietylko nasze dzieci, lecz i sam język. Na rozkaz rządu czeskiego Akademja Czeska, przy pomocy kilku naszych renegatów, sfabrykowała nowy „czechosłowacki" język, wprowadzając do naszej macierzystej mowy tysiące czeskich słów i form, przyczem ten mieszany język ogłasza

się jako obowiązkowy, obok czysto czeskiego języka... Bezpośrednio po przewrocie Czesi zastanawiali się nad tem, czy nie byłoby możliwem zaprowadzić odrazu tylko czeski język we wszystkich gałęziach życia na Słowaczyźnie. Obawiając się jednak naszej opozycji, poszli za radą pisarza czeskiego Holecka: „Nie duśmy za jednym ciosem języka słowackiego, ale go czechizujmy i psujmy stopniowo tak, żeby go (t. j. dawnego swego języka) sami Słowacy po jakimś czasie nie poznali". Idąc za tą radą, oktrojowano nam, zamiast naszego macierzystego języka, ten nowy język „czechosłowacki", mianowicie pod nazwą... „nowej ortografji". Wypowiedział się o tem słynny slawista, Paul Seabury („New York' 4.VI, 1932), że wszystko to prowadzi do zupełnej „abolicji" języka słowackiego, tego języka, który można uważać jako korzeń wszystkich innych języków słowiańskich. Nic dziwnego więc, że po tych eksperymentach językowych poeta słowacki, J. Jesensky, napisał, że „w republice Czechosłowackiej dla języka słowackiego tylko brama cmentarna stoi otwarta" („Narodnie Noviny" 4.VI. 1932, nr. 65).

g) Podkopywanie religji i moralności na Słowaczyźnie.

Najwięcej oburzyło nasz lud przeciw Czechom, że ci ostatni odbierają nam nadto jeszcze naszą najdroższą i największą pociechę — religję. Pod tym względem było już wielkiem nieszczęściem, iż Słowaków, będących narodem katolickim, złączono z narodem czeskim, o którym historyk Czechów, Palacky, mówi: „Nasza cała historja nie jest niczem innem, jak ciągłą walką przeciwko Rzymowi". Wówczas, kiedy Węgrzy zaznaczyli się w dziejach cywilizacji, jako obrońcy chrześcijaństwa przeciwko Turkom i Tatarom, Czesi uważają sobie za honor, że się specjalizowa-

li w zwalczaniu katolicyzmu. Historyk francuski, Pierre Delattre, charakteryzuje Czechy jako kraj „husyckiego“ ducha, zaznaczając, że gdy Słowacy są wiernymi katolikami, Czesi są w duchu husytami („Les luttes présentes du catholicisme en Europe Centrale, Paris, 1930, str. 4 — 5). Naukowa czeska encyklopedja (Ottov Naucni Slovnik) stwierdza, iż tradycja państwa czeskiego jest husycka, a wiek husytyzmu uważany jest za najsławniejszą epokę czeskiej historji. Katolicyzm natomiast zawsze był dla Czechów obcy i niezgodny z mentalnością czeską („Slovak“ 14.VI, 1932).

Tak więc już samo współżycie z tego rodzaju narodem, jakim są Czesi, musiało być dla religijnych i katolickich Słowaków fatalnem, a cóż dopiero mówić o panowaniu tego narodu nad Słowakami! Czego mogą spodziewać się pod czeskiem panowaniem słowaccy katolicy, wykazało się widocznie w Pradze, kiedy tam w czasie proklamowania czeskiej niepodległości zrzucono, połamano i opluto najpiękniejszy posąg Matki Boskiej! Było to symbolicznem, było znakiem i zapowiedzią tego, czego mogą katolicy oczekiwać w tej republice ateistów! Kiedy Polacy adorują swoją Matkę Boską Częstochowską, a Węgrzy czczą Ją i szanują jako patronkę Węgier, Czesi demolują Jej statuę w Pradze. A wślad za tem czescy żołnierze i legjoniści zdemolowali setki posągów świętych na Słowaczyźnie, gdy tam po przewrocie „zawitali“. Pierwszy prezydent czeskiej republiki, Masaryk, rzucił swemu narodowi jako hasło: „Precz od Rzymu!“ — a potem powiedział: „Papież musi być sądzony i potępiony“...

O drugim prezydencie republiki, dr. Beneszu, dokładnie wiadomo, że jest on wysokim dygnitarzem masońskim, a czeska gazeta „Narodni Listy“ („Wecernik“, nr. 345, 1935), gdy dr. Benesz został obrany

prezydentem, takie rzuciła zapytanie: „Jakim katolikiem jest pan Benesz? Pismo ateistów wydrukowało o nim niedawno artykuł entuzjastyczny, wychwalając jego wielką działalność w „Volnej Myslence“ — organie czeskich masonów. Tam pan Benesz zwykł publikować artykuły, pełne fanatycznej nienawiści do wszystkiego, co katolickie“.

Rząd czeski pokazał swe oblicze, gdy za pierwszego ministra oświaty obrał sobie socjalistę Habermanna, który głosił, że „kultura nie może być inna, jak antyreligijna“. On to wydał też rozporządzenie, że ze szkół muszą być wyrzucone krzyże, a zamiast nich zawieszone obrazy Masaryka i Husa („Slovak“, 19.I.1935, nr. 16). Po Habermannie ministrami oświaty byli zawsze mianowani ateusze, marksiści, a w najlepszym razie luteranie — nigdy zaś katolicy!

Sejm praski „wsławił się“ tem, że 1919 r., na plenarnem posiedzeniu, dyskutował kwestję, czy wogóle istnieje Bóg, przyczem większością głosów przeszła opinja... iż Bóg nie istnieje. Było to więc głosowanie jakgdyby uczniów bolszewickich nauczycieli!

Stronnictwa polityczne czeskie, wszystkie, bez wyjątku, rozszerzają na Słowaczyźnie niewiarę, husytyzm, materjalizm i demoralizację. Czesi bowiem wzięli sobie za cel, jak pisał Słowak, dr. Senicky: „zrobić ze Słowaków najpierw nędzarzy, potem Czechów, wreszcie husytów“ („Slovak“ 30.III, 1928).

Najgłówniejszym środkiem do tego celu jest dla nich szkoła. W szkołach naszych zasiedli czescy nauczyciele i profesorowie, którzy, jak wykazał to na praskim sejmie ludowy poseł J. Sivak, szerzą „ex cathedra“ ateizm, darwinizm, wolną myśl i wolną miłość („Slovak“, 28.III, 1930). Do tych naszych szkół wprowadzono system koedukacyjny najgor=

szego gatunku, jakiego nigdzie niema — pisze wspomniany powyżej Francuz Delattre, zaś K. Sidor, redaktor „Slovaka", podaje następującą listę skarg słowackich katolików:

„Tylko w tym celu, ażeby rozbić jedność narodu słowackiego, Czesi ostentacyjnie popierają kościół luterański, a luteranom dają najwyższe godności w państwie. Oficjalne gazety rządowe obrzucają katolicyzm błotem. Tylko nam, katolikom słowackim, skonfiskowano wszystkie średnie i fachowe szkoły dla duchownych, uniemożliwiając nam w ten sposób posiadanie wystarczającej sukkrescencji kapłańskiej. Tylko nam, katolikom, zabrano dobra kościelne. Nauczycieli państwowych uprzywilejowano w stosunku do nauczycieli konfesjonalnych (katechetów). Na ministrów oświaty mianowani są socjaliści lub ateusze, których programem jest zwalczanie Kościoła katolickiego. Czescy kapłani-apostaci popierani są z funduszów państwowych. Nowy kościół narodowy „czechosłowacki" założony został przeciw Kościołowi katolickiemu ze środków państwowych, a i dziś korzysta z poparcia i pomocy państwowej. Na Rusi Podkarpackiej zaprowadzono ortodoksyjny rosyjski kościół przeciwko greckim katolikom unickim, aby w ten sposób rozbić tam jedność Rusinów. Na posiedzeniach parlamentu wolno ganić religję i odrzucać istnienie Boga, bez przywołania za to mówcy do porządku. Katoliccy obywatele zmuszeni są uczestniczyć w uroczystościach, sławiących Husa, czeskiego kacerza. Atakami na Kościół wygnali Czesi z Pragi apostolskiego nuncjusza, Marmaggiego („Slovak", 10.IX.33, nr. 204).

Specjalnie zwalczają Czesi moralność ludu słowackiego, aby go załamać w charakterze i tą drogą zrobić go bardziej powolnym w kierunku wynaradawiania się.

Razus, poseł i poeta słowacki, pastor luterański, pisze, że czeski reżim nawet w najmniejszych wioskach słowackich rozszerza pisma pornograficzne, które państwo popiera ze swych funduszów („Narodnie Noviny“, 8.X.1932, nr. 18). Bardzo często zdarza się, że nauczyciele czescy wykorzystują seksualnie swoje słowackie, nieletnie uczennice szkolne („Pravwa“, 1.II.1925). Zdarza się też, że profesorowie czescy zmuszają swe słowackie studentki, aby tańczyły przed nimi całkiem nago („Slovak“, 29.IV. 1932). Na uniwersytecie w Bratislavie studenci słowaccy laskami pobili profesora Czecha, Buszka, dlatego, że chciał zgwałcić jedną z ich koleżanek („Slovak“, 12.IV.1931).

Wszystkie te rzeczy powinni dobrze wziąć pod rozwagę ci Polacy, którzy wierzą w rzekomą cywilizcyjną misję Czechów na Słowaczyźnie.

Poseł ludowy, J. Sivak, na sejmie w Pradze wykazał, że Czesi robią ze Słowaczyzny Sodomę i Gomorę. Pisma słowackie w strasznych barwach opisują okropne skutki demoralizacji, którą czeski rząd umyślnie toleruje w naszym narodzie. Dzięki temu Słowacy stają się nietylko niemoralnymi, lecz stopniowo stają się zwolennikami wszelkich bolszewickich i wywrotowych haseł.

Kiedy francuski jezuita i historyk, Delattre, całą tę sytuację u nas przestudjował, napisał w swej książce, wyżej cytowanej, że gdyby Słowacy mieli dłuższy czas pozostawać pod wspólnym dachem z Czechami, to „kościół katolicki utraci Słowaczyznę, tracąc przez to jeden z najreligijniejszych krajów Europy. Nie wyjdzie to oczywiście ani na korzyść cywilizacji, ani też na korzyść pokoju na całym Zachodzie“ (str. 116).

Powyższym stanem rzeczy na Słowaczyźnie zaalarmowani zostali katolicy nawet w obcych krajach. Na uspokojenie ich zaczęto ze strony czeskiej lansować wiadomość, że Czesi zmienili się już w swem postępowaniu, czego ma być dowodem ostatni katolicki kongres w Pradze (1935 r.), jak również i to, że doprowadzono nareszcie do skutku „modus vivendi" z Watykanem. Kto jednak zna stosunki rzeczywiste, ten wie, iż zmiana ta zrobiona została tylko „na efekt", a nie na stałe. Pan Benesz bowiem potrzebował okazać inną twarz wobec Watykanu, ponieważ przeląkł się tego wielkiego oburzenia, które powstało wśród ludności katolickiej republiki, głównie zaś na Słowaczyźnie, z powodu najnowszego militarnego sojuszu Czechosłowacji z Bolszewją, zorganizowanego przez p. Benesza. Sojusz ten z największymi wrogami wszelkiej religji i kultury, najlepszą jest prognozą, że sytuacja Słowaków będzie się jeszcze pogarszała, o ile pozostaną we wspólnocie z Czechami.

8. *Rada Słowacka i jej program.*

Słowaccy patrjoci spostrzegli zaraz po przewrocie, czego się mogą po tej wspólnocie z Czechami spodziewać i już dnia 6.I.1919 r. deputacja słowacka, z księżmi Hlinką i Jehliczką na czele, wybrała się do Paryża (dzięki otrzymanym polskim paszportom), aby tam na Konferencji pokojowej zaprotestować przeciwko zabójczym planom czeskim i żądać plebiscytu na Słowaczyźnie. Kiedy się to nie udało, przez szereg lat następnych próbował na miejscowym gruncie słowacki „Abel" bronić się przeciw czeskiemu „Kainowi". Kiedy jednakże wkońcu stało się jasnem, że walka ta jest zbyt nierówna i beznadziejna, wtedy w 1933 r. słowacka emigracja stworzyła w Genewie „Radę Słowacką" i za-

częła domagać się należnych praw dla swego narodu przed forum międzynarodowem. Na czele tej rady stanęli: ksiądz profesor dr. Franciszek Jehliczka, były słowacki poseł do sejmu węgierskiego i praskiego, Wiktor Dworczak, pisarz-poeta, Franciszek Unger, pierwszy główny sekretarz stronnictwa A. Hlinki, Karol Bulisa, adwokat i rev. S. Moravek, redaktor w Ameryce. Prezydjum rady słowackiej przedstawiło Lidze Narodów swoje upoważnienia od Słowaków z Ameryki oraz z kraju i zostało przyjęte przez głównego sekretarza Ligi Narodów, p. Pilotti, któremu też wręczyło swój memorjał. Od tego też czasu Rada Słowacka, za zezwoleniem rządu szwajcarskiego, otworzyła w Genewie swe biuro (Conseil Slovaque, 11, Croix d'Or, Genève).

a) Oderwanie Słowaczyzny od Czech.

Memorjał rady słowackiej żąda przedewszystkiem oderwania Słowaczyzny od Czech na podstawie następujących motywów:

Czesi otwarcie nam mówią, że nas pod każdym względem chcą zniszczyć i muszą zniszczyć. Nie mogą pozwolić na wywóz naszego drzewa do Węgier. Nie mogą cierpieć konkurencji naszego przemysłu ze swoim przemysłem. Nie mogą puszczać naszych robotników na dolinę węgierską. Słowaczyznę muszą traktować jako kolonję dla własnej ekspansji, ponieważ innej kolonji nie mają. Muszą więc nas niszczyć ekonomicznie.

Podobnie jest pod względem narodowościowym. Muszą oni Słowaków czechizować, aby udowodnić to, co twierdzili w Paryżu, że Słowacy nie istnieją. Muszą to robić i dlatego, ponieważ Czesi sami są w całej republice tylko mniejszością, a większością stać się tylko wtedy dopiero mogą, kiedy stopniowo zczechizują zamieszkujących tam Słowaków, Polaków i Rusinów wobec tego, że Niemców i Węgrów

tak łatwo przerobić na Czechów nie mogą, jako na- leżących do zupełnie innych ras.

M u s z ą Słowaków pozbawić przywiązania do ich religji. Dopóki bowiem Słowacy będą się trzymali swej religji, dopóty będzie przepaść między nimi a Czechami z powodu ateizmu i husytyzmu tych ostat- nich (Prażak: „Slovenska Svojskost"). Tembardziej muszą tak czynić, ponieważ, jak mówią sami Słowa- cy, wierząc i modląc się nie zapominają oni o Wę- grach, o tem królestwie Św. Stefana, do którego na- leżeli przez tyle wieków.

A więc, gdy Czesi sami przyznają, że m u s z ą pod każdym względem zabić naszą odrębność, to rzeczą jest zrozumiałą, że m u s i m y się od nich oderwać zanim to nastąpi. W ramach tego państwa obronić się nie możemy ze względu na to, że w cze- skich rękach znajduje się już cała władza. Mało też jest warta walka o naszą autonomję dlatego, że Cze- si autonomji Słowakom dać nie chcą, nie mogą, a gdyby nawet taki cud się stał, żebyśmy autonomję tę uzyskali, to w takim razie musieliby Czesi taką sa- mą autonomję dać Niemcom i Węgrom, wycofując jednocześnie tych trzysta tysięcy Czechów ze Sło- waczyzny, których nam dla czechizowania nas napę- dzili. Dla tych Czechów zaś nie mają oni miejsca, ani posad w swoim własnym kraju. Nie pomogłaby nam też autonomja i pod względem ekonomicznym, gdyż nie mogłaby zmienić stanu geograficznego, który łą- czy nasze interesy tylko z Węgrami, nie mogłaby ona wskrzesić zabitego naszego przemysłu i t. d.

N i e p o z o s t a j e n a m w i ę c i n n y r a t u- n e k, j a k c a ł k o w i t a s e p a r a c j a o d C z e c h.

Że Rada Słowacka jest wyrazicielem pod tym względem przekonań prawie c a ł e g o swego na- rodu, potwierdzają to opinje wybitnych ludzi, któ-

rzy bynajmniej nie są przyjaciółmi Słowackiej Rady. Przytoczymy tu niektóre z tych opinji.

Czech, Karol Kalal, pisze: „Słowacy są wszyscy separatystami“ („Rzut oka na duszę słowacką“, str. 16).

Masaryk zwykł mówić: „Nie możemy dać Słowakom autonomji, gdyż zarazby się od nas oderwali“ („Berliner Tageblatt“ 26.VII.1930).

Główny organ p. Benesza, „Ceskie Slovo“, pisze: „Nie możemy polegać na Słowakach, albowiem ich jedyną dążnością jest rozbić naszą republikę“. (Cytata, powtórzona w „Slovaku“ z 26.II.1929).

„Słowakom nie możemy wierzyć, do urzędów nie możemy ich dopuszczać, gdyż na Słowaczyźnie tylko Czesi są lojalni“ — tak mówią „panowie“ w Pradze („Slovak“, 19.IX.1934).

Czescy poeci, Otokar Brzezina i J. Deml, kiedy obchodzili całą Słowaczyznę, studjując tam nastroje ludu, tak referowali później w Pradze swoje wrażenia: „Gdyby się coś stało (t. zn. gdyby przyszło do powstania Słowaków), to Słowacy będą Czechów nietylko przepędzić, ale i wieszać“ („Slovak“, 31.X. 1931).

b) Czy więc niepodległa Słowaczyzna?

Ale co potem? — zapytano nas w Genewie. — Czy chcecie w Europie, która i tak już jest zanadto rozkawałkowana, stworzyć jeszcze jedno małe państewko?

My wiemy, że dzisiejszy kryzys ekonomiczny powstał także i z powodu rozkawałkowania Środkowej Europy, z powodu rozbicia wielkich jedności geograficznych i ekonomicznych. A więc do jeszcze większego rozdrobnienia politycznego Europy nie dążymy. Wiemy i to, że do stworzenia całkowicie niezależnego państwa Słowackiego jesteśmy naro-

dem zbyt ubogim. Chcemy więc w inny sposób roz-wiązać ten problem.

c) Orjentacja słowacka w kierunku Węgier.

Nie mogąc pozostać całkowicie samodzielni, musimy szukać sobie wspólnika. W którym kierunku mamy go szukać? Ten kierunek wskazują nam przedewszystkiem nasze słowackie rzeki, które spływają ku Węgrom. Jak decydujące znaczenie ma czynnik geopolityczny, tego dyplomatom długo objaśniać nie potrzeba. Cała nasza nędza powstała, jak już wykazaliśmy, z tego, że nas oderwano od tej idealnej geograficznie i ekonomicznie całości, którą stanowiliśmy razem z Węgrami.

Kierunek ku Węgrom wskazuje nam też nasza historja. Polacy zrozumieją nas, gdy zidentyfikują to z połączeniem Litwy unją z Polską na podstawie kilkusetletnich praw historycznych. Za naszą węgierską orjentacją przemawia prawo historyczne tysiąca lat, czego nie można lekceważyć.

Orjentacja ku Węgrom jest nam konieczna także i z punktu widzenia narodowościowego. Kiedy już nie możemy być całkowicie samodzielni, mniej niebezpiecznym jest dla naszego języka i naszej odrębności rasowej, jako nasz „wspólnik“, Magyar, niż jakikolwiek Słowianin. Język magyarski, od naszego tak daleki i obcy, nie męsza się z naszym łatwo, jak bliskie nam języki słowiańskie. W skutkach zawsze jest to niebezpieczne dla słabszego Słowianina, żyjącego obok innego, silniejszego Słowianina, a przykładem tego są Morawianie, którzy też niegdyś byli Słowakami, a mocniejszy sąsiad, Czech, zupełnie ich zczechizował, podczas kiedy my, należąc do królestwa węgierskiego, pod rządami Ma-

gyarów nawet po tysiącu lat zachowaliśmy nasz język odrębny w kryształowej czystości. Po naszych braciach nad Morawą nie zostało nic, prócz ich nazwiska: „Morawscy Słowacy“, jak się sami i dzisiaj nazywają. Dlatego to i p. Benesz zwykł wskazywać na Morawian, jako na dobry przykład dla czechizacji, mówiąc: „Jak się nam udało przemienić na Czechów Morawian, tak też stanie się najpóźniej za czterdzieści lat ze Słowakami“ („Nastup“, nr. 15, 16, 1935).

Połączenie się z powrotem z Węgrami leży też w charakterze całego słowackiego ludu. Lud ten nigdy nie przejawiał woli, aby oderwać się od Węgier. Jest to historycznie fakt wielki, bo jest to wynikiem okresu 10-ciu stuleci. Wierność też dla wspólnej z Węgrami ojczyzny przejawiali żołnierze słowaccy i w ostatniej wojnie, walcząc wszędzie po bohatersku. A dzisiaj, gdy Słowaczyzna wbrew swej woli została od Węgier oderwana, nic innego ten lud by sobie nie życzył, jak powrotu do Węgier, oczywiście przy zagwarantowaniu swych praw językowych i narodowościowych. Dlatego to Czesi tak bardzo sprzeciwiają się plebiscytowi na Słowaczyźnie. Dotąd nie było między Czechami a Węgrami wojny o Słowaczyznę. W ten zaś sposób, w jaki otrzymali Czesi ten kraj, nie zwykły niczyje terytorja przechodzić od jednego państwa do drugiego. Logika rzeczy żądałaby więc wojny o słowackie kraje. Aby tej wojny, której się Czesi najwięcej boją, uniknąć, zaproponowały Węgry jeszcze na Konferencji pokojowej w Paryżu plebiscyt na Słowaczyźnie, zgadzając się nawet na to, że oni wynik tego plebiscytu przyjmą dla siebie jako obowiązujący, bez względu na to, jaki wynik dla nich będzie. Dlaczego więc sprzeciwiają się Czesi takiemu roz-

strzygnięciu, twierdząc, że oni Słowaków „oswobodzili“ i że Słowacy to „jeden z nimi naród“! A to dlatego, bo wiedzą dobrze, że Słowacy wolą wrócić do swej dawnej, węgierskej ojczyzny, niż pozostawać we wspólnocie ze słowiańskimi „pobratymcami“. Berneński organ p. Benesza, „Lidove Noviny“, pisał, że „Słowacy tak dążą do Węgier, jak Izraelici dążyli do Egiptu“ (1.I.1930).

Kiedy Słowacy w Nitrze przed kilku laty urządzili wielką demonstrację przeciwko Czechom, „Ceske Slovo“ napisało, że cała ta demonstracja wypadła na korzyść węgierską i gdyby ją nie Czesi, lecz Węgrzy urządzili, to i wtedy nie mogłaby lepiej dla Węgrów wypaść (15.VIII.1933). Gdy Praga urządziła sztuczne demonstracje przeciw propagandzie rewizjonistycznej Lorda Rothermera, lud słowacki wołał na wiecach: Niech żyją Magyarzy! Sława im! („Slovak“, 13.VI.1933), a ksiądz Hlinka niedługo potem pisał z Pragi: „Lud słowacki opłakuje minione dobre czasy węgierskie“ („Slovak“, 20.VII.1933). Jeden z wysokich urzędników czeskich, którzy powrócili ze Słowaczyzny, gdzie odbywali studja nad miejscowymi stosunkami, wyraził się, że kler katolicki na Słowaczyźnie jest bez wyjątku orjentacji węgierskiej. („Narodnie Noviny“, 20.VI.1931). Męczennik słowacki, profesor V. Tuka, trzymany już jest od 1929 r. w więzieniu czeskiem, a skazany na 15 lat ciężkiego więzienia dlatego, że, jak głosi akt oskarżenia, chciał, aby Słowaczyzna powróciła do Węgier. Ostatnio prowadzą Czesi proces przeciwko znanemu patrjocie naszemu, dr. L. Bazowskiemu i jego przyjaciołom (Morhac, Nemet, Somolani, Pavlicka, Dvorsky i t.d.) z tego samego powodu. Kiedy się ten proces zaczął, krakowski „Czas“ pisał: „Jeżeli Bazowski, znany przewrotowiec, żupan, obecnie jest za Węgrami, to wypada naprawdę zapytać, kto jest przeciw nim?“

4. *Objekcje czeskie przeciw Radzie Słowackiej.*

Z czeskiej strony dotąd nie próbowano nawet za≠przeczać faktom oraz argumentacjom naszych me≠morjałów i apelów. Natomiast na publicznych od≠czytach naszych Czesi wzięli jako system zamiast podjęcia dyskusji, której się oczywiście obawiają, krzyczeć: „Kłamstwo!“. Przytoczymy tu wobec tego zajście, które miało miejsce swego czasu z Ignacym Paderewskim. Kiedy, jako przedstawiciel Polski, brał on udział w Konferencji pokojowej, przedłożył raz statystykę o polskości ludu w księstwie Cieszyń≠skiem. Na to p. Benesz zawołał: „Te dane są fałszy≠we!“. Paderewski zbladł z oburzenia i odpowiedział: „Ale przecież wszystkie te dane mam z książek nau≠kowych p. Masaryka!“ — i podał p. Beneszowi do przeczytania odpowiednią stronę trzymanej w ręku książki.

To więc, co było nazwane fałszem i kłamstwem, okazało się niezbitą prawdą.

a) Czeskie organy, aby dyskredytować Radę Słowacką, ogłaszają, że jest ona agenturą propagan≠dy rewizyjnej węgierskiej. Ale na to możemy odpo≠wiedzieć, że cokolwiek dzieje się przeciwko Cze≠chom, lub ich sojusznikom, wszystko próbują Czesi przyszyć Węgrom do kołnierza. Tak było np., kiedy zamordowany został jugosłowiański król, Aleksan≠der. Czeskie gazety zaraz napisały, że mordercą był Węgier, później, że mordestwo zorganizowano na Węgrzech. Kiedy czeskie sądy skazały Słowaka, pro≠fesora Tukę, na 15 lat ciężkiego więzienia, wskazano mu jako przestępstwo, iż żądając autonomji dla Sło≠waków, robi politykę na korzyść Węgier. Napróżno wspominał Tuka, że sam prezydent Masaryk obiecał Słowakom w Ameryce autonomję. Nic to nie pomo≠gło i Tuka został ogłoszony jako agent i szpieg „ma≠

gyarski". Po demonstracjach w Nitrze, gdy Słowacy zrobili niespodziankę Czechom i ogłosili się za odrębny od Czechów naród, prezydent Masaryk oświadczył: „Niema narodu słowackiego, jest to tylko wynalazek propagandy węgierskiej" („Ceska Demokrace", tom II, str. 82. Praga, 1934).

A więc, jeżeli wszystko, nawet naród słowacki, jest wynalazkiem propagandy węgierskiej, to wobec tego możemy się zgodzić, że i Rada Słowacka nie jest niczem innem...!

Dlatego, że mamy orjentację węgierską, nie można jeszcze powiedzieć, że jesteśmy agentami magyarskimi. Orjentację taką miał cały nasz naród zawsze i nigdy od niej nie odstępował, żądał tylko zachowania jego odrębności. My też nie chcemy, żeby się Słowacy „zmagyaryzowali". Prezes Rady Słowackiej, ksiądz F. Jehliczka, w parlamencie londyńskim 1934 r. oświadczył: „My, Słowacy, nie chcemy wrócić się do dawnych stosunków, ale do naszej dawnej, węgierskiej ojczyzny!"

Kiedy akcja naszej Rady Słowackiej zaczęła być dla Pragi bardzo nieprzyjemną i kiedy żadną siłą nie mogli Czesi Słowaków przymusić, aby przeciwko nam protestowali, sami Czesi w Pradze sfabrykowali przeciwko nam protest i bez upoważnienia podpisali pod nim posłów i senatorów partji słowackich, Hlinkę i Razusa. Stronnictwo księdza Hlinki przeciwko temu bezczelnemu czeskiemu fałszerstwu natychmiast publicznie wystąpiło, oświadczając: „Nie wydaliśmy żadnego protestu przeciw Radzie Słowackiej, ani nie podpisywaliśmy takiego protestu Jest to fałszerstwo i sposób walki niemoralny". („Slovak", 28.XII. 1933. Nr. 216). Pomimo tego Czesi fałszywy

ten protest wydrukowali i rozszerzają go po świecie we wszystkich językach. Wydali go nawet po polsku, a znany ze swego czechofilstwa „Kurjer Warszawski“ w całości go opublikował. Kiedy w najnowszych czasach tym samym fałszywym dokumentem operowali Czesi przeciwko nam w Genewie (Journal des Nations, 28.IX.1935), Rada Słowacka dała im odpowiedź p. t. „La vérité slovaque et les trucs de la diplomatie tchèque“ (Geneve, 1935).

A nawet, gdyby było prawdą, że politycy słowaccy przeciwko nam protestowali, nie bralibyśmy tego za rzecz tragiczną. Przecież jest jeszcze w żywej pamięci, jak protestowali podczas wojny wszyscy posłowie czescy w Wiedniu, u cesarza i w parlamencie, przeciwko antypaństwowej akcji czeskiej pp. Masaryka i Benesza zagranicą. Nazywali ich kłamcami, którzy nie mają prawa mówić w imieniu narodu czeskiego, albowiem Czesi „dobrze się czują w monarchji“. Sam przyjaciel p. Benesza, F. Peroutka, opublikował takie czeskie protesty przeciw Masarykowi i Beneszowi w swej książce p. t. „Budovani Statu“. Prócz tego całą kolekcję takich oświadczeń opublikował rząd austrjacki w swej odpowiedzi, danej konferencji pokojowej, a dotyczącej warunków pokoju. („Deutschösterreichs Antwort auf die Friedensbedingungen“, Wien, 1919). A czy panowie Masaryk i Benesz dali się powstrzymać w swej akcji tymi protestami? Przeciwnie, działali w tym kierunku dalej, a w jakiś czas potem uznani zostali przez Czechów za najlepszych patrjotów czeskich i prawdziwych wyraziceli życzeń swego narodu!!

Jak tylko hlinkowcy odkryli ten czeski akt sfałszowany, o którym mowa powyżej, zaraz Rada Słowacka we wszystkich swych organach zwróciła uwagę świata politycznego, że Praga czeska ma dosyć mocnych środków, ażeby wymusić u siebie w

kraju protesty przeciwko nam oraz aby wymusić uznanie sfałszowanych podpisów za podpisy autentyczne! Tak się też stało. A że się tak stało, jest to najmocniejszy argument przeciw tyranji czeskiej. Jest bowiem najwyższą tyranją, gdy gnębiony zmuszony jest mówić, że ma się dobrze i musi protestować przeciwko tym, co walczą za jego wyzwolenie!

c) Zarzucają nam też Czesi, że Rada Słowacka chce zaprowadzić Słowaków z powrotem do Węgier, gdzie Magyarzy dziś jeszcze „gnębią mniejszość narodową słowacką“. Odpowiadamy na to, że czeskie dzienniki ciągle zarzucają i Polakom, jakoby gnębili i polonizowali u siebie, na Orawie i Spiżu, mniejszość słowacką. Pisma te twierdzą, że aż 115 tysięcy (!) Słowaków cierpi rzekomo „pod jarzmem polskiem“. Gdyby Magyarzy i Polacy chcieli być cyniczni, mogliby odpowiedzieć Czechom: Mniejszość narodowa istnieje tylko w tym wypadku, jeżeli istnieje gdzieś odpowiadający jej naród. Wy zaś, Czesi, twierdzicie, że narodu słowackiego niema! Na tem twierdzeniu założyliście wasze państwo, a konstytucja wasza nie zna narodu słowackiego. Skoro więc nie istnieje naród słowacki, nie mogą więc też istnieć słowackie mniejszości narodowe. Jakże więc możemy gnębić to, co nie istnieje?!

Tak mogliby replikować Magyarzy i Polacy, ale tego nie czynią. Przeciwnie, uznają oni istnienie narodu słowackiego, uznają też istnienie w swych państwach słowackich mniejszości narodowych. Tylko „brat Czech“ nie chce nic wiedzieć o Słowakach! I dopiero wtedy, kiedy chce robić jakąś propagandę przeciwko Węgrom i Polakom, naraz zapomina o swem twierdzeniu, że Słowacy „nie istnieją“ i bierze na siebie rolę patrona i adwokata słowackich mniejszości narodowych!

Jeszcze nigdy nie było słychać, ażeby jakiś Słowak lub Słowaczka rzucili się w Polsce lub na Węgrzech z głodu pod pociąg, jak się na Słowaczyźnie pod czeskimi rządami ciągle dzieje. A przecież tak na Węgrzech, jak i w Polsce jeżdżą ciągle pociągi... Słowacy na Słowaczyźnie często skaczą do Wagu, do Dunaju, albo się wieszają z nędzy i rozpaczy, o czem wspominają później liczne gazety. Czy na Węgrzech i w Polsce mało jest rzek i powrozów, że o takiej śmierci słowackiej mniejszości wcale tam jakoś nie słychać? A co się tyczy specjalnie słowackiej mniejszości na Węgrzech, to znany polityk i panslawista słowacki, dr. Ivan Daksner, przyjmuje, że *Słowacy, którzy zamieszkują na rdzennych Węgrzech, są najbogatszą częścią całego naszego narodu* („Narodnie Noviny“, w Ameryce, 15.IV.1915).

Nie mogą się też Słowacy ani w Polsce, ani na Węgrzech skarżyć na ucisk religijny. Wówczas, gdy Czesi wykorzeniają religję naszego ludu, w Polsce i na Węgrzech nikt się do niczyich uczuć religijnych nie wtrąca. Pod względem językowym zaś czy nie jest to curiosum, że *język słowacki w swej oryginalnej czystości zachował się dziś tylko na Węgrzech*, zdala od Słowaczyzny, wówczas, kiedy język Słowaków na Słowaczyźnie jest już nawpół zczechizowany? W naszych bowiem szkołach na Słowaczyźnie obowiązkowym językiem jest czeski, a przy nim nowy język „czechosłowacki“, kiedy na Węgrzech uczą się dzieci nasze czystego języka słowackiego. Uczą się oczywiście przytem i języka węgierskiego, jako państwowego, gdyż jest im to potrzebne, ażeby mogli zajmować później stanowiska i zdobywać sobie chleb w całym kraju.

Już nieraz udawadnialiśmy, że najlepiej powodzi

się Słowakom na Węgrzech, a najgorzej w Czechosłowacji. Dlatego też żadnemu Słowakowi, zamieszkałemu na Węgrzech, ani do głowy nie przyjdzie emigrować, a już najmniej powracać do „wyzwolonej“ przez Czechów Słowaczyzny. Tymczasem z Czechosłowacji wedrują nasi rodacy do Afryki, do Australji, do Kanady, na wyspę Tahiti, do Rosji bolszewickiej, z *tem przekonaniem, że może nawet między ludożercami w Afryce będzie im lepiej, aniżeli jest pod rządami czeskimi!*

d) Czesi lubią zwykle przemawiać do uczuć „słowiańskich“ w ten sposób: „My, Czesi, choćbyśmy nie byli jednym narodem z wami, to jesteśmy jednak dla was, jako dla Słowian, krewnymi, gdy natomiast Magyarzy są wam dalecy i obcy. Dlaczego więc wolicie żyć z Magyarami? Dlaczego nie idziecie po linji polityki wszechsłowiańskiej?“ Na to nasza odpowiedź:

1) Nam nietyle na Magyarach zależy, ile na równinie węgierskiej, która nas karmiła, a bez której wyżyć nam niepodobna. Prawdą jest dla nas, że extra Hungariam non est vita. I prawdą jest też, że primum vivere, deinde philosophari!

2) Prawdą jest, że wy, Czesi, jesteście nam bliżsi, ale *tylko pod względem językowym.* Psychologicznie o wiele bliżsi są nam Magyarzy, z którymi przez tysiąc lat żyliśmy w jednem państwie, pod tymi samymi królami, prawami i zwyczajami. Jakie zaś ma znaczenie tak długie współżycie, tego klasycznym przykładem jest Szwajcarja. Poeta słowacki, Razus, mówi, że *dusza słowacka od duszy czeskiej jest tak daleka, jak stratosfera od dna morskiego.* Inny poeta nasz, Vajansky, napisał: „Słowacy są od Czechów pod względem duchowym bardzo oddaleni, co

do kultury zaś i zwyczaju oraz moralności stanowią jedność z Węgrami". (Chalupny, „Narodni Filosofie Cesko-Slovenska", str. 216).

A pozatem ta językowa pokrewność z Czechami idzie nam nie na korzyść, a tylko na szkodę, gdyż, jak już wspomineliśmy, całkiem odrębny język węgierski nie jest dla naszego tak niebezpieczny, jak podobny do naszego język czeski. Spójrzmy tylko na smutną słowiańską historję. Czeski pisarz, Meaculpiński, wyraził się, że „Słowianin jest najgorszym tyranem dla innego Słowianina". Rosjanie gnębili Polaków, Serbowie Chorwatów, Czesi duszą Słowaków. Poco nam więc takie braterskie współżycie? Ażeby być zupełnie bezstronnymi i szczerymi, to nawet Słowacy, jeżeli można wierzyć czeskim historykom, gnębili Czechów, gdy mieli do tego okazję. Vaclav Novotny pisze, że kiedy Słowacy z Morawianami mieli wspólne państwo, Wielkie Morawy, ich książę Svatopluk pobił Czechów i przyłączył wszystkie ich ziemie do swego państwa, Słowacy zaś zaczęli tak gnębić Czechów, że ci, nie mogąc wytrzymać, oderwali się od Słowaków i połączyli z niemieckim Arnulfem, największym wrogiem Słowiańszczyzny. (Vaclav Novotny, „Ceskie Deiny", str. 379 — 85).

5) Zamiast polskiej orjentacji na Słowaczyźnie blok Polsko-Słowacko-Węgierski.

Budzić między Słowakami sympatje dla narodu polskiego nie jest potrzebnem, albowiem takie sympatje zawsze tam były i są. Inną jednak jest rzeczą sympatja, a inną orjentacja polityczna. Dlatego, jeżeli są ludzie, którzy pragnęliby stworzyć nową orjentację polityczną, marząc o federacji Słowaczyzny z Polską — ci ludzie źle przysługują się i Polsce i Słowaczyźnie. Jak już bowiem wykazywaliśmy wyżej, byłoby to przeciwnem całej konfiguracji geogra-

ficznej tych krajów, przeciwnem prawom historji i interesom ekonomicznym, a nawet przeciwnem obowiązkom moralnym Słowaków. Poseł K. Sidor pisze: „Do połączenia państwowego z Polską u nas nikt nie dąży“. („Slovak“, 17.XI.35, nr. 260). Z punktu zaś widzenia polskiego należy rzecz tę w następujący sposób wziąć pod uwagę: Słowaczyzna nie jest „res nullius“. Należy bowiem przedewszystkiem do ludności, tam urodzonej i zamieszkałej, a więc do ludności słowiańskiej i węgierskiej. Dalej Węgrzy nigdy nie wyrzekną się swego historycznego, tysiącletniego prawa do Słowaczyzny, nie uznają bowiem dzisiejszego stanu rzeczy za stan prawny, przeciwnie, uważają panowanie Czechów na Słowaczyźnie za uzurpację. Nasi bracia Polacy zwykle mówią, że Węgrzy są jedynym narodem, z którym Polacy nie mieli nigdy żadnego zatargu. Czy byłoby w interesie Polski, aby taki zatarg teraz powstał? Polska otoczona jest samymi nieżyczliwymi dla niej narodami, za wyjątkiem Węgrów — jak mówią sami Polacy. Czy byłoby dobrze z powodu sprawy słowackiej zrobić sobie nieprzyjaciół i z Węgrów? Państwo węgierskie należy dziś do państw niewielkich. Ale w ciężkich chwilach i małe państwo może przynieść nieraz wielką pomoc, jak to uczą polsko-węgierskie stosunki np. w roku 1920, w czasie bronienia się Polski przed inwazją bolszewicką. Niewielkie to więc państwo z chwilą, kiedy przestałoby być przyjacielem, mogłoby stać się też szkodliwem. Gdyby Węgrzy przekonali się, że w Polsce na szczerych przyjaciół liczyć nie mogą, to byliby zmuszeni szukać ich sobie w innych kierunkach, które może nie byłyby zgodne z interesami politycznymi Polski.

Znaną też jest opinja ś. p. Marszałka Piłsudskiego, że Polska powinna mieć na południu „otwartą bramę i dobrych przyjaciół“.

Jeżeli nastąpi rozpadnięcie się Czechosłowacji, należy dobrze rozważyć, czy nie jest dla Polski znacznie realniejszem w tym wypadku:

1. Otrzymać z pod zaboru czeskiego resztę księstwa Cieszyńskiego,

2) wyzbyć się niebezpiecznego korytarza czesko-rosyjskiego dzięki wspólnej, historycznej granicy z Węgrami,

3) mieé poza tą granicą otwartą bramę do swych przyjaciół — Słowaków i Węgrów.

Ze swej strony możemy dodać, że tak my Słowacy, jak i Magyarzy, zgodzilibyśmy się na pewną korekturę granic na korzyść Polski w sensie etnograficznym na Spiżu, Orawie i w Czadeckiem.

Wreszcie rzecz najważniejsza. Kiedy wspominamy o rozkładzie i rozbiorze Czechosłowacji, który wcześniej czy później powinien nastąpić, nie wolno zapominać, jak cieszyli się Czesi, kiedy Bolszewicy w 1920 r. zbliżali się do Warszawy i jak radośnie manifestowali wówczas po ulicach Pragi Czeskiej z czerwonymi transparentami o napisach „Finis Poloniae“!...

Teraz Czesi przygotowują ten „Finis Polonae“, którego wtenczas się nie doczekali. Przygotowują go przez militarny sojusz z bolszewicką Rosją, budując już na Słowaczyźnie hangary dla bolszewickich aeroplanów, które stamtąd będą mogły bombardować miasta polskie. Jednocześnie, jak to wykazaliśmy już wyżej, wynaradawianie Słowaków i czechizowanie

ich przeprowadzane jest pełną parą. Dlatego też, póki czas, trzeba myśleć o losach Słowaczyzny. Sojusz czesko-bolszewicki zagraża Polsce, Słowakom i Węgrom. Najlepszą przeciwwagą byłby wielki blok antybolszewicki, którego jądrem byłaby Polska, Słowaczyzna i Węgry. Blok ten obroniłby Europę i całą jej kulturę przed planami czesko-bolszewickiemi.

„Słowak".

PRZECIW BOLSZEWIZMOWI, CZY ZA NIM?

List otwarty do p. Bolesława Koskowskiego, Współ=redaktora „Kurjera Warszawskiego“.

Szanowny Pannie Redaktorze!

Mój artykuł w poprzednim tomie „Naszej Przy=szłości“ p. t. „Sojusz antybolszewicki“ dotknął wi=docznie głęboko różne krajowe i zagraniczne moce, organizacje i czynniki, skoro — między innemi — wywołał najpierw dwa identyczne, gromowładne artykuły w czołowych organach prasowych polskie=go socjalizmu, w Robotniku i Naprzodzie, następnie dwie gwałtowne odpowiedzi w organie prezydenta Republiki czesko=słowackiej, p. Benesza, Prager Presse, wreszcie Pański artykuł w Kurjerze War=szawskim p. t. „Spirytyzm w polityce“.

Ponieważ chodzi w tem wszystkiem nie o zwykłą polemikę prasową, ale o pierwszorzędną sprawę Polski, o znaczeniu zarówno wewnętrznem, jak i zewnętrznem, dlatego uważam za wskazane i konieczne odpowiedzieć niniejszym listem otwar=tym Szanownemu Panu Redaktorowi, jako cie=szącemu się słusznie opinją najpoważniejsze=go publicysty politycznego w obozie „narodo=wym“. Przepraszam, że wyrażenie „narodowy“ kładę w tym wypadku w cudzysłowie, ale nie mogłem i nie mogę zrozumieć, jakiem prawem i na podstawie jakich argumentów rzeczowych pewien odłam społeczeństwa polskiego przywłasz=czył sobie w tytułe jakgdyby monopol reprezento=

wania narodu polskiego, do którego należy przecież z równem prawem wielu innych dobrych patrjotów, a nawet dobrych katolików?

Piszę ten list także trochę i dla czytelników mojego wydawnictwa, Nasza Przyszłość, przyjmując za założenie, że czytelnicy ci znają dobrze treść mojego, wyżej wspomnianego artykułu. Aby uprzystępnić im, na wszelki wypadek, także artykuł Pański, załączam go niniejszem w całości.

„Wziąwszy sobie za zadanie kształcenie „polskiej myśli państwowej", dr. Jan Bobrzyński, redaktor kwartalnika p. n. Nasza Przyszłość, przyszedł do przekonania, że nietyle dokładna obserwacja faktów musi być podłożem solidnego myślenia politycznego, ile raczej samorodna zdolność kombinacyjna, nie krępowana poziomemi względami rzeczowemi. Dzięki tej metodzie, tylko przez jakieś przeoczenie poczytywanej przez czytelników Naszej Przyszłości za konserwatywną, polska literatura publicystyczna zyskuje od czasu do czasu produkty myśli różnych autorów, wśród których wyróżnia się polotem sam naczelny kierownik tej imprezy wydawniczo-pedagogiczno-politycznej. Nigdybyśmy się nie ośmielili zakłócać pracy tego laboratorjum neo-konserwatywnego, ile że ona jest naprawdę cicha i nikomu w życiu nie przeszkadza, gdyby nie pewne odkrycie, dokonane przez dr. Jana Bobrzyńskiego w świecie zjawisk politycznych, a stanowiące bezsporne novum w oczach zarówno polityków praktycznych, jak publicystów.

Rzecz polega na tem, że autor jest głęboko wystraszony rozwojem wypadków politycznych na naszym padole płaczu. Oto — woła — podali sobie ręce, komuniści, socjaliści, radykalna demokracja, masoni. Jest bardzo źle, a może być jeszcze gorzej. Królowa w Hamlecie mówi:

> Chora ma dusza każdą rzecz powszednią,
> Złowrogich następstw sądzi przepowiednią.

P. Bobrzyński jest, przeciwnie, pewien, że patrzy na rzeczy trzeźwo i realistycznie, gdy widzi w nich „dziwną harmonję imperjalistycznego ducha Rosji i Czech", gdy z Czechosłowacji robi „placówkę Rosji", gdy ostrzega przed „rzewną ideą słowiańską", która jakoby działa „pociągająco" na Polaków. Uważacie — woła — że „potężna już dzisiaj Polska mocarstwowa idzie, przynajmniej częściowo, na lep imprez fantastycznej Słowiańszczyzny". Chytrze to wszystko obmyślili bolszewicy, przebiegłe to stworzenia, a jeszcze im sekundują Czesi i Francuzi, wciągając nas w sieć słowiańską, która jest, według komentarzy autora, zarazem to komunistyczna, to burżuazyjno-masońska. I doszli do tego, że w Polsce słowianofilizm „jest wyznawany" „z zaciekłością". Nawet „spotykamy się z objawami wprost fanatyzmu słowiańskiego".

Ale świat, na szczęście, nie zamierza przyglądać się temu niebezpieczeństwu i nadchodzącym plagom z założonemi rękami. P. Bobrzyński wie, że już jakby się zarysowywał „front antibolszewicki".

Cóż to za kombinacja i kto jej patronuje?

Krótko mówiąc: Berlin — Warszawa — Budapeszt. Tradycja podaje tu rękę wyrozumowaniu. Pójdziemy więc, Polacy — hej ramię do ramienia! — z Niemcami i Węgrami, a do nas przyłączą się Austrjacy i Włosi. To dopiero jądro. Widząc taką potęgę, Anglja — zdaniem autora — dzięki „ostatniemu zwycięstwu wyborczemu konserwatystów", przechyla się „na stronę frontu antibolszewickiego w Europie"... pomimo jej przyjaźni z Francją i nieprzyjaźni wobec Włoch. „Jedno drugiemu nic nie przeszkadza" — dodaje autor wytrawnie.

Tak tedy, mając zabezpieczone poparcie Londynu, stanąwszy „we froncie z Niemcami", pewni solidarności z potęgą militarną węgierską, rozwijając jeszcze dalej, jak się już rzekło, misterną sieć sojuszów, wreszcie nie zapominając o „perspektywach podziału Rosji na północną strefę wpływów niemieckich i na południową wpływów polskich", możnaby już uspokoić swe wzburzone nerwy i jaśniej patrzeć w przyszłość. Niestety, jest w tem wszystkiem jedno, lecz duże: a l e. Sam p. Bobrzyński bowiem konkluduje:

— Na razie to oczywiście tylko mgła marzeń, s p i r y t y s t y c z n a z j a w a.

Po cóż zatem prowadził nas autor przez 14 stronic bitego druku w krainę marzeń, aby się w finale przyznać, że to nie jego pracowity a samorodny mózg podpowiedział mu powyższe plany, że nie obserwacja faktów doprowadziła go do powyższych konkluzji, że nie znajomość, c h o ć b y e l e m e n t a r n a, stosunków europejskich upoważniła go do powyższych przewidywań, lecz że to wszystko jest dziełem poprostu zjawy spirytystycznej?

Szkoda.

Gdybyśmy mieli przed sobą coś konkretniejszego, tobyśmy się poważyli na postawienie kilku pytań. Dajmy na to:

— Czy autor, dowodzący, że we Francji komunizm czyni „zastraszające postępy", wie, iż w izbie francuskiej, wybranej na podstawie rzetelnie powszechnego prawa wyborczego, jest tylko 11 komunistów na 610 posłów?

— Czy autor, utrzymujący, że w Czechosłowacji pierwsze i ostatnie słowo należy do masonerji, wie, że o wyborze prezydenta Benesza z d e c y d o w a l i k a t o l i c y, oraz że uniwersytet w Pradze świeżo udzielił dwu dostojnikom kościelnym francuskim, kardynałowi Verdier i arcybiskupowi Baudrillart, tytułu doktorów h o n o r i s c a u s a — o czem inne uniwersytety w niektórych krajach katolickich jeszcze nie pomyślały?

— Czy autor mógłby nam pokazać choćby jednego, jedynego, autentycznego „słowianofila" polskiego? Bodajby jego fotografję?

— Czy autor, niewątpliwie dobrze pojmujący potęgę i rozstrzygające znaczenie katolicyzmu w walce z komunizmem wewnętrznym, wie, że hitleryzm znajduje się w walce już nie tylko z katolicyzmem, lecz wręcz z chrześcijaństwem wogóle?

— Czy autor wie, że konserwatyści angielscy właśnie teraz patronują wciąganiu Sowietów do polityki europejskiej?

I wreszcie:

— Czy autorowi nie przyszło do głowy, że za żadną cenę nie należy mieszać konsyderacji wewnętrzno-politycznych do polityki zagranicznej?

Pytania powyższe mogłyby być uznane za zbyteczne wobec szczerego wyznania, że idzie tu w gruncie rzeczy jedynie o zjawę spirytystyczną. Jed-

nakże czasopismo p. Bobrzyńskiego nie zawsze jest utrzymane w takim stylu; zachodzi zatem prawdopodobieństwo, iż niektórzy czytelnicy wezmą na serjo skutki hipnotycznego snu pisarza. Ztąd niniejsza skromna glossa do jego ostatniego występu wychowawczo-politycznego".

Otóż przedewszystkiem winien jestem Szanownemu Panu Redaktorowi szczerą wdzięczność za to, że pierwszy wśród publicystów polskich stwierdza w tym artykule prawdę, iż wydawnictwo Nasza Przyszłość jest tylko przez jakieś przeoczenie poczytywane za konserwatywne. Uparta bowiem inercja i częsty brak orjentacji naszej prasy i t. zw. „opinji publicznej" ranżują mnie i Naszą Przyszłość wciąż w rubrykę politycznego obozu konserwatywnego, z którym w rzczywistości od trzech lat zgórą — t. j. od chwili autolikwidacji dawnej stańczykowskiej szkoły krakowskiej — nie mam nic a nic wspólnego. Każdy, kto choć jeden lub drugi tom Naszej Przyszłości w ostatnich latach uważnie przeczytał, musiał odrazu sprstrzec, że nie łączy mnie nic ani ze stronnictwem konserwatywnem, ani wogóle z żadną partją polityczną w kraju. Przestałem już dawno wierzyć, aby ta forma publicznej pracy obywatelskiej, która istnieje pod nazwą partji politycznych, mogła jeszcze cośkolwiek pozytywnego dla kraju zdziałać. Forma ta stanowczo już się przeżyła, wybujała w ostatecznym rezultacie już tylko w walkę o mandaty, posady i zaszczyty, oraz w śmieszne kiwanie głowami w sejmie. Na jej miejscu wyrastają natomiast inne formy politycznej pracy obywatelskiej, bardziej rzeczowe, dążące do konkretnej realizacji pewnych, ściśle określonych celów państwowych, społecznych, czy gospodarczych.

Dlatego pod względem krytycznej metody ujmowania spraw publicznych na podstawie praktycznej nauki, dostarczanej nam przez dzieje naszego narodu i pod względem niechęci do wszystkiego, co trąci

podwórkową, patrjotniczą tromtadracją, jak wreszcie pod względm traktowania ważnych zagadnień publicznych nietylko z narodowego, ale równocześnie i z państwowego punktu widzenia, jestem „stańczykiem", ale dawno już oduczyłem się być konserwatystą w pospolitem, a zwłaszcza egoistycznem tego słowa znaczeniu i nie przykładam na serjo wagi do różnych t. zw. „przekonań politycznych", które albo są tępo uparte, albo zmieniane, jak rękawiczki, stosownie do efemerycznych fluktuacji konjunktur.

Za to więc stwierdzenie, że Nasza Przyszłość nie jest konserwatywną, ale czemś całkiem innem, jestem szczerze wdzięczny Szanownemu Panu Redaktorowi.

Ale, mimo tej oddanej mi publicystycznej przysługi, muszę zaatakować Szanownego Pana niniejszym listem otwartym, który — poza naszem wydawnictwem — rozejdzie się równocześnie w licznych odbitkach w Polsce i zagranicą, a tam będzie nietylko tłumaczony, ale z pewnością jeszcze uważniej czytany i komentowany, niż w kraju. Muszę to uczynić, ponieważ chodzi tu nietyle o osobisty stosunek między nami, ani o jakąś doraźną polemikę między Naszą Przyszłością a Kurjerem Warszawskim, lecz o wielką kampanję, która zaczyna się rozgrywać na olbrzymiej przestrzeni od Władywostoku poprzez Moskwę, Warszawę, Pragę, Berlin i Paryż, aż do Madrytu i gdzie na tej olbrzymiej przestrzeni kilkunastu tysięcy kilometrów stają przeciwko sobie dwa fronty do nieubłaganej walki — stworzone nietyle dyplomatycznie, ile przedewszystkiem organicznie — mianowicie front bolszewicki, wspomagany przez tych wszystkich, nawet nieprzyjaciół bolszewickiej doktryny, którzy jej jednak bezpośrednio lub pośrednio, z wolą lub mimo woli, pomagają, oraz front antymarksowski, złożony z tych wszystkich

członów państwowych i społecznych, które, bez względu na zbliżające je ku sobie sympatje lub dzielące je przeciwieństwa, nieraz wiekowe, zdają sobie wspólnie sprawę z grożącego już bezpośrednio cywilizacji i kulturze europejskiej bolszewickiego i równocześnie rosyjsko-zaborczego niebezpieczeństwa.

Chodzi tu więc wcale nie o drobnostkowe waśnie przekonań partyjnych, czy orjentacyjnych, ale o olbrzymią rozgrywkę międzypaństwową, międzynarodową i międzycywilizacyjną, w której my obaj, Szanowny Panie Redaktorze, stanęliśmy w wyniku naszych ewolucji myślowych, religijnych i obywatelsko-politycznych na przeciwnych okopach owego olbrzymiego frontu: Pan, mimowoli i bezwiednie, po stronie okopów komunizmu, ja zaś, z daleko większą sowobodą myśli, niezależnością osobistą i świadomością głębszej istoty sprawy, na okopach antymarksowskich.

Przedewszystkiem odkładam nabok wszelkie osobiste przekonania, sympatje, antypatje i orjentacje uczuciowe, a staję na gruncie faktów realnych. I to nie takich „faktów“, jakie preparują sobie i interpretują w dowolny sposób redakcje dzienników politycznych, aby naginać rzeczywistość do programu danej partji lub obozu, albo danej sfery, czy grupy, która dany dziennik dla swych celów finansuje, zmuszając redaktorów lub publicystów do tłumaczenia publiczności, że białe jest czarnem, a czarne białem, z czego wynika zwykle jałowa, od wiersza płacona polemika dziennikarska bez końca — ale na gruncie faktów rzeczywistych, bezspornych, z uczciwym objektywizmem konstatowanych i notowanych.

Otóż najpierw najmniejszej nie może ulegać wątpliwości, że gdyby rząd Republiki czeskiej składał się od chwili rozpadnięcia się monarchji austro-węgier-

skiej z rdzennych patrjotów czeskich, a więc jakichś panów choćby Kratochwilów lub Pospiszilów, to stosunek tego nowego państwa do Polski byłby całkiem inny — przyjazny. Tymczasem, jak to bywa w chwilach większych przewrotów międzynarodowych i zamętów, ster rządów w Czechach chwycili w rękę ludzie, wprawdzie czeskiego pochodzenia, ale stanowczo nie czeskiego autoramentu: przedstawiciele na tamtejszym gruncie „obcych agentur", z p. p. Masarykiem i Beneszem na czele. Obaj ci panowie, nie mówiąc już o niektórych innych z ich otoczenia, to przedstawiciele i posłuszni agenci masońskiego Wielkiego Wschodu. Zaczęli więc państwem swem rządzić z pewnością nie według prawdziwych dążeń spokojnego, gospodarnego czeskiego narodu, ale według wskazań i dyrektyw masońskiego imperjalizmu, podbijając w ogólno-europejskiem zamieszaniu obce narody, które nigdy nic z Czechami nie miały wspólnego, zwalczając zaciekle i widomie religję, zwłaszcza katolicką (poczynając od symbolicznego obalenia powszechnie czczonej statuy Matki Boskiej w Pradze) i opierając egzystencję i dalsze losy sztucznie, gwałtem i przemocą wzdłuż Karpat sklejonego naprędce „imperjum" czeskiego na poparciu wszelakich zakonspirowanych, wywrotowych, kulturalnie ujemnych czynników w Europie.

W rezultacie nie oni, nie ci narzuceni i narzucający się przywódcy zaczęli rządzić malutkiem imperjum czeskiem, ale nieokreślone moce z Paryża, które w najważniejszych sprawach wewnętrznych i zewnętrznych politykę Czechosłowacji dyktowały i nadal dyktują. A ponieważ Paryż daleko, a malutkie imperjum czeskie bardzo nietrwałe ze swą większością uciskanych i niezadowolonych mniejszości narodowych, więc rychło zorjentowali się p. p. Masaryk, Benesz et consortes, że trzeba szukać także

jakiegoś bliższego oparcia, nawet... w szponach djabła. I znaleźli je wnet w bolszewickiej Rosji, mając w tym kierunku drogę od lat wielce ułatwioną przez rozpowszechnione w społeczeństwie czeskiem idee panslawistyczne, neoslawistyczne, a w rezultacie wszystkie moskalofilskie.

Otwarli więc już w zaraniu egzystencji czechosłowackiej Republiki naoścież wrota najpierw komunizmowi — bo w innej formie Rosja powojenna nie istnieje — ofiarując Sowietom wzamian za przyjaźń i pomoc gotowość oddania im swej wielkiej, najbardziej wschodniej, świeżo „zdobytej“ prowincji, mianowicie Rusi Zakarpackiej. Oświadczył to wyraźnie i oficjalnie prezydent Masaryk pełnomocnemu posłowi sowieckiemu.

A gdy nie powiódł się w okresie około 1920 roku wspólny napad zaborczy sowiecko-czeski na Polskę, w czasie którego p. Masaryk głosił otwarcie po całej Europie finis Poloniae, a tylko udało się Czechom zrabować nam ztyłu, zdradziecko, część Śląska cieszyńskiego, wówczas — wobec zwycięskiej, konsolidującej się i wzrastającej w potęgę Polski, zwłaszcza od chwili zgniecenia partjokratycznego, demagogicznego sejmowładztwa — otwarli Czesi drzwi do swego państwa już wprost rządom czerwonej Rosji, a zwłaszcza jej władzom wojskowym, które rządzą się teraz w Czechosłowacji, od Karpat do Sudetów, jak u siebie w domu, uważając (ostatecznie słusznie) państewko czeskie za swą kolonję i wypadową placówkę militarną. Oszukano wszystkie narodowości, w skład Republiki czechosłowackiej gwałtem wcielone, obiecując im najpierw złote góry „słowiańskie“, a potem bezczelnie, perfidnie łamiąc te obietnice, oszukano całą zachodnią Europę, która w znanej swej nieświadomości geograficznej uważała przez długi czas p. p. Benesza i Masaryka za swych

nieomylnych ekspertów do spraw „wschodnich“, oszukano przedewszystkiem naszych, polskich, do=morosłych słowianofilów, którym na dźwięk słów „Moskwa“ lub „Praga“ oczy łzami słowiańskiej roz=koszy zachodzą i w rezultacie utworzono z Pragi równocześnie azyl dla wszelkich elementów wywro=towych z całej Europy, aż włącznie do pospolitych morderców, z drugiej potężniejący z dniem każ=dym bastjon wypadowy dla sowieckiej armji i floty powietrznej.

Niepodobna mi przypuścić, aby tak wybitny pu=blicysta, jakim jest Szanowny Pan Redaktor, nie miał o tem wszystkiem dokładnie wiedzieć. Zdaje mi się więc, że w kwestji praktycznego znaczenia ideologji słowiańskiej i braterstwa a obecnemi Cze=chami dla realnego, niepodległego Państwa Polskie=go, któremu nie wolno bawić się w gramatyczne sie=lanki, nie powinno być, Panie Redaktorze, żadnych między nami złudzeń, ani zasadniczych różnic prze=konań. Oczywiście nie wynika z tego wcale, żeby=śmy mieli obaj przerzucić się w przeciwny ekstrem i stać się nagle „germanofilami“. Wszelkie bowiem „filstwo“ w odniesieniu do obcych państw, czy czyn=ników jest tylko dowodem słabości charakteru oso=bistego i niewiary w moc i egzystencję własnego na=rodu, czy państwa.

Dalej, niech mi Pan Redaktor wybaczy, artykuł Pański skonstruowany jest i oparty na zbyt pospoli=tej, powszechnie znanej metodzie endecko=publicy=stycznej, która polega na tem, że z czyjegoś artyku=łu, czy innej enuncjacji, wyrwie się i zacytuje pewną tylko część zwrotu lub zdania, skwapliwie przemil=czając resztę i na tak dowolnie wyrwanym fragmen=cie konstruuje się patetyczny kontrartykuł pour épa=ter les badaux. Tak więc oparł Pan Redaktor Swe wy=wody na jednem z końcowych wyrażeń skromno=

ściowych mojego artykułu, że pewne moje wnioski, zapewne chwilowo zbyt śmiałe, to może narazie tylko mgła marzeń, „spirytystyczna zjawa“, ale opuścił Pan następne wzmocnienie moich twierdzeń, że „zjawy nieraz się materjalizują“ oraz że „żyjemy w epoce niespodzianek“, a „największą, najfantastyczniejszą niespodzianką jest Polska niepodległa“. A w ten sposób dokładnie zestawione cytaty nadają artykułowi mojemu całkiem inny charakter, niż go Pan Redaktor w Swojem operowaniu celowo wyrwanym fragmentem usiłuje nadać.

Potraktowawszy tą metodą zbyt sumarycznie i zbyt błędnie wszystkie moje argumenty, zamieszczone na „czternastu stronicach bitego druku“, zarzuca mi Pan Redaktor — rozpowszechnionym niestety w codziennej prasie systemem prawienia przeciwnikowi impertynencji w braku koniecznych argumentów — elementarną nieznajomość stosunków europejskich, czego np. ja Szanownemu Panu Redaktorowi bynajmniej nie zarzucam. O, wprost przeciwnie, jestem głęboko przekonany o doskonałej znajomości Pańskiej różnych stosunków europejskich na wschodzie i zachodzie. Wystrzeliwszy więc tę w nowoczesnem dziennikarstwie polskiem zawodowo praktykowaną niegrzeczność (proszę porównać wstępny artykuł o tym właśnie przedmiocie w tym samym tomie Naszej Przyszłości p. t. „Upadek siódmej potęgi“—t. j. prasy), wytacza Szanowny Pan Redaktor Swoje, na głębokiej znajomości europejskich stosunków oparte, jeno nieco dla użytku pewnego Delfina spreparowane argumenty.

Otóż najpierw statystyka. Zbija mnie Szanowny Pan Redaktor twierdzeniem, że we Francji komunizm nie czyni wcale zastraszających postępów, gdyż w tamtejszym parlamencie na 610 posłów jest tylko 11 komunistów. A czy Pan Redaktor zapomniał o

wyniku wyborów dodatkowych we Francji i czy sądzi, jako rutynowany polityk, że chwilowy skład parlamentu odpowiada rzeczywiście aktualnemu stanowi rzeczy we Francji? Czy może Pan Redaktor na serjo zaprzeczyć, że komunizm we Francji, pod wpływem i za pieniądze Sowietów, ruszył w ostatnich zwłaszcza czasach lawiną, uzyskując decydujący wpływ na „front ludowy" w całym kraju? Czy może Pan zaprzeczyć, że Francją rządzą w tej chwili najpotężniej wpływy ligi socjalistyczno-komunistycznej i że jeśli tak dalej pójdzie, to następny parlament francuski i zwłaszcza instytucje samorządowe całkiem inny jeszcze skład wykażą od dzisiejszego? Czy nie jest prawdą, że nieoficjalnym i nieodpowiedzialnym, ale niemniej istotnym rządcą polityki francuskiej, a conajmniej rosnących tłumów francuskich, coraz bardziej bolszewizowanych, jest p. Blum, żyd-socjalista, działający w porozumieniu z całą sforą agitatorów bolszewickich? Czy wreszcie nie słuszne jest moje stwierdzenie, że ambasador Sowietów, Potemkin, zachowuje się w Paryżu tak niemal, jak ongiś Repnin w Warszawie, skoro np. pan ten (a raczej towarzysz) miał czelność — i widocznie także moc — wyrazić francuskiemu premjerowi swe „najwyższe" niezadowolenie i naganę, że traktat rancusko-sowiecki nie przeszedł w parlamencie zadawalniającą dla niego, ambasadora Sowietów, większością głosów?

Sądzę stanowczo, Panie Redaktorze, że powinniśmy dać sobie spokój z wszelką statystyką parlamentarną, a natomiast szerzej otworzyć oczy na francuską rzeczywistą rzeczywistość.

Dalej, broniąc Czechów i prezydenta Benesza — nie wiedzieć dlaczego — przytacza Szanowny Pan Redaktor, że masoni wcale nie mają ostatniego słowa w Czechach, gdyż o jego wyborze zadecydowali

katolicy i że uniwersytet praski udzielił niedawno dwum arcybiskupom francuskim tytułu doktorów honorowych. Zapomniał widocznie Pan Redaktor o notatce, którą swego czasu wyczytałem właśnie w Kurjerze Warszawskim, że p. Benesz objął przewodnictwo wszystkich czechosłowackich lóż masońskich. Zresztą i skądinąd wiadomem jest powszechnie, że p. p. Masaryk i Benesz zajmują wysokie stanowiska w masonerji. A co do wyboru p. Benesza, w którym pewne głosy katolickie, odpowiednio zwabione, przeważyć mogły istotnie szalę na jego korzyść, to wiadomem powinno być dokładnie Szanownemu Panu Redaktorowi, jako znawcy stosunków czeskich i francuskich, jak to p. Benesz kupczył swym wyborem na wewnątrz i na zewnątrz. Przecież atmosfera i frymarki partyjno-wyborcze doskonale są znane. I u nas często katolicki obóz „narodowy" zawierał sojusz wyborczy z socjalistami i innymi radykałami, wśród których pełno jest zawziętych przeciwników Kościoła. W takich wypadkach zdarza się nieraz, że pewna ilość głosów katolickich daną sprawę przeważy, ale czy z tego wynika, że katolicyzm zwyciężył?!

Ukoronowanie zaś tytułami uniwersyteckimi dwóch zagranicznych biskupów było — z czem Szanowny Pan Redaktor niewątpliwie w głębi duszy się zgodzi — niczem innem, jak tylko nic nie kosztującem i do niczego nie zobowiązującem zamydleniem oczu czeskim i zagranicznym katolikom przez sprytnych czeskich dyktatorów masońskich, aby tym tanim sposobem katolickie głosy wyborcze zwabić. Natomiast nie dopuszcza p. Benesz do sformowania się w Czechach frontu katolickiego, który nie byłby wygodny dla jego radykalno-masońskich rządów, sprawowanych pod wyraźną już opieką Moskwy i oficerów sowieckich.

Czy Szanowny Pan Redaktor, tak wytrawny polityk i publicysta, czołowy współpracownik tak poważnego katolickiego organu, jakim chlubi się być Kurjer Warszawski, jest na serjo przekonany, że rzucenie biretów doktorskich dwum zagranicznym biskupom katolickim równoważy istotnie zaciętą, bardzo niestety realną walką z Kościołem, jaką rządcy czescy od lat przy pomocy masonerji, komunizmu i husytyzmu prowadzą?

A dalej żąda Pan Redaktor odemnie, abym mu pokazał choć jednego autentycznego polskiego słowianofila, albo choćby tylko jego fotografję. Temsamem zaprzecza Pan Redaktor istnieniu polskich słowianofilów.

Odpowiadam wręcz: Proszę Szanownego Pana Redaktora o łaskawe przesłanie mi Swej fotografji, a bez sekundy wahania zamieszczę ją w Naszej Przyszłości z podpisem: jeden z wybitnych słowianofilów polskich.

I nie jest Pan Redaktor jedynym. Są ich masy, poczynając od czcigodnych nazwisk, pewnych bardzo wybitnych uczonych, aż do tych tysięcznych członków, prezesów, sekretarzy i działaczy mnóstwa słowianofilskich naszych związków krajowych, z których wyliczę choćby tylko następujące:

Związek Wszechsłowiański w Polsce — Warszawa, Stare Miasto 31;

Stowarzyszenie Młodych Słowian — Miodowa 6;

Związek Zrzeszeń Gazowników i Wodociągowców Polskich, Czechosłowackich i Jugosłowiańskich — Al. Ujazdowska 47;

Związek Lekarzy Słowiańskich w Polsce — Niecała 7;

Słowiańskie Zjednoczenie Kobiet w Polsce — ul. Hortensji;

Assocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycz-

nych — Kraków, Potockiego 5, nadto Stowarzyszenia względnie organizacje stałych zjazdów: Filologów Słowiańskich w Polsce, Botaników Słowiańskich w Polsce, Farmaceutów Słowiańskich w Polsce, Geografów Słowiańskich w Polsce, Prawników Słowiańskich w Polsce, Matematyków Słowiańskich w Polsce, Elektryków Słowiańskich w Polsce, Stomatologów Słowiańskich w Polsce, Słowiańskiej Organizacji Kolejarzy, Wszechsłowiańskiego Kongresu Medyków, Słowiańskich Komunalnych Kas Oszczędności, Słowiańskich Pedologów, Słowiańskich Rzemieślników i t. p.

Chyba dość! A jeżeli dodamy do tego stowarzysznia polsko-czeskie, to już będzie aż zanadto dość! Istny szał opanował pewną część polskiego społeczeństwa, nie wiedzącego, albo i nie chcącego wiedzieć, że z poza tego słowianofilskiego absurdu wynurza się w rzeczywistości czerwona gwiazda bolszewicka i ów legendarny — a jakże często rzeczywisty! — bagnet rosyjskiego sołdata, idącego od dwóch wieków wciąż na Polskę.

Gdybym był uczniem endeckiej szkoły publicystycznej, to można sobie wyobrazić, jak szerokie i wdzięczne pole do najzłośliwszych drwin dziennikarskich dałaby mi powyższa lista najcudaczniejszych i najnaiwniejszych stowarzyszeń i zjazdów słowianofilskich, choćby tylko Wodociągowców, Botaników i Stomatologów! Na szczęście dla Kurjera Warszawskiego nie pochodzę z wyżej wymienionej szkoły.

I Szanowny Pan Redaktor żąda odemnie wskazania choćby jednego, jedynego słowianofila! A ja dodam Szanownemu Panu całkiem śmiało do powyższej listy jeszcze krocie tysięcy zacietrzewionych zwolenników stronnictwa „narodowego“, którzy nietylko są zagorzałymi słowianofilami, ale wprost na-

wet moskalofilami, gdyż, nie mając wiary w moc wskrzeszonej Polski, pragnęliby ją oprzeć — o ile to się tylko uda — o Rosję, a więc, co w rezultacie na jedno wychodzi, poddać pod jej protektorat z chwilą, gdy tylko tamtejszy komunizm nieco więcej jeszcze się zatrze i dawna, biało-kamienna matuszka Moskwa w jakąś nieco przyzwoitszą, demokratyczną szatę się przyodzieje.

Ma więc Szanowny Pan Redaktor przed sobą głębokie szeregi defilujących i działających Słowianofilów różnych odcieni. Ale, jako człowiek przedwojenny, pamiętający dobrze skąd, co i dokąd idzie, wie Pan Redaktor doskonale, narówni ze mną, że wszelkie słowiańskie drogi, nawet najbardziej okrężne, tylko do Moskwy prowadzą.

Pomijam już zupełnie w tym liście otwartym bardzo delikatną sprawę rodzaju środków czeskich i sowieckich, którymi oba te państwa w niektórych polskich sferach wpływy swe „słowianofilskie" rozszerzają...

Nie uważam również za moje zadanie pouczanie publicysty tej miary, co Szanowny Pan Redaktor, że w kwestjach takich, jak np. statystyka postępowej likwidacji Kościoła katolickiego na terenie Rosji sowieckiej — nie mówiąc już o mniej jaskrawej, ale niemniej dla każdego obserwatora widocznej walki z tym Kościołem na terenie Czechosłowacji, Francji i Hiszpanji — winno pismo katolickie, jakiem chce być Kurjer Warszawski, czerpać nie u francuskich płatnych agentek komunizmu w rodzaju pani Tabouis (l'Oeuvre), która zdaje się być dla „depesz własnych" Kurjera Warszawskiego wyrocznią w zagadnieniach Rosji Sowieckiej, ale w Watykanie, który chyba dokładniejsze i prawdziwsze dane w tym zakresie posiada i niedwuznacznie w swych wydawnictwach („Osservatore Romano", „Lettres de Ro-

me sur l'athéisme moderne" i t. d.) sprawy te roztrząsa.

Co się tyczy stosunku hitleryzmu do Kościoła katolickiego i Chrześcijaństwa wogóle, to nie może być w tym względzie między nami żadnej wątpliwości, ani dyskusji. Potępiamy stanowczo ten stosunek, a jeszcze bardziej cały ten — sądzę, że chwilowy — szał poganizmu nordyckiego, który u wielu skrajnych hitlerowców stanowi dzisiaj jakąś dziwną, moralną „rację stanu" nowoczesnych Niemiec, mającą w masach niemieckich zastąpić niby twardą szkołę Hohenzollernów. Jest jednak zasadnicza różnica między tym nowym rodzajem kulturkampfu w Niemczech, doprowadzonych do rozpaczy i głębokiego narodowego upokorzenia, zagrożonych doniedawna najpotężniejszą na świecie partją czterech miljonów zorganizowanych komunistów (prawie trzy razy więcej, niż w samej Sowdepji) i usiłujących wydobyć się z tej ciężkiej opresji zapomocą różnych, nieraz bardzo antypatycznych, nawet niebezpiecznych, a często nieumiejętnych, bo rozpaczą dyktowanych metod — a planowem bezczeszczeniem w Rosji domów Bożych przez zamianę ich na kinematografy, spichrze i więzienia oraz rozstrzeliwaniem i wysyłaniem setek księży katolickich i prawosławnych do katorg Sołówek i Sybiru. Jest między jednem a drugiem olbrzymia różnica, której jednak nie mogą widocznie dostrzec ludzie, o bezwzględnych sympatjach słowianofilskich i frankofilskich za wszelką cenę, znajdujący się pod urokiem bolszewizującego „Front Commun" w zmienionej dziś do gruntu Francji.

Zresztą, ogółem biorąc, hitleryzm nawet w swych błędnych posunięciach — za wyjątkiem niektórych, pojedyńczych autorów i działaczy — nie uderza w Kościół katolicki, jako w wiarę ale — nieco podo-

bnie do faszyzmu i innych rodzajów rządów dyktatorskich — walczy głównie o wpływy polityczne w społeczeństwie nad młodzieżą. Nie pochwalamy i tego, uznając całkowicie rolę społeczno-wychowawczą Kościoła. Ale taka walka ze sferami duchownemi o t. zw. „wychowanie państwowe", to przecież całkiem coś innego, niż otwarta walka z Bogiem i religją, stanowiąca podstawę zasadniczą przedewszystkiem państwowego ustroju rosyjskiego, a naśladowana w pewnym stopniu przez rządzące koła masońskie lub komunistyczne w Czechach, Francji i Hiszpanji, w której nie gaśnie ogień płonących kościołów i klasztorów.

Dziwna pewność, z jaką wyraża się Szanowny Pan Redaktor co do tendencji konserwatystów angielskich do patronowania wciągnięciu Sowietów do polityki europejskiej, jest już — zdaniem mojem — stanowczem przekroczeniem granicy dopuszczalnej nieświadomości poważnego publicyscy. Jest to bowiem chyba wyraźnem już hołdowaniem ocenom sytuacji politycznych, przesyłanym przez wyżej wskazane źródła, którym nie może jakoś Kurjer Warszawski oprzeć się w swej atmosferze jednostronnego, bezkrytycznego frankofilizmu i słowianofilizmu, a które napewno nie kierują się ani dążeniem do utrzymania na serjo pokoju w Europie, ani istotnym interesem państw i narodów, lecz jedynie ideologją frontu żydowsko-masońsko-bolszewickiego, nienawistną dla wszystkiego, co jest narodowo-patrjotyczne lub oparte na nauce chrześcijańskiej.

Realny wyraz temu, że Anglja pod rządami konserwatywnymi bynajmniej nie ma zamiaru wciągania Sowietów jednostronnie do polityki europejskiej, dał w swem niedawnem przemówieniu minister Eden, pokreślając, iż bezpieczeństwa kolektywnego nie rozumie Anglja w żadnym wypadku jako okrą-

żania kogokolwiek i podobnym tendencjom się przeciwstawia. Potwierdza to zresztą także telegram własny Kurjera Warszawskiego pod datą 2-go marca (Nr. Kurjera z 3-go marca b. r.), który donosi, że radca londyńskiej ambasady niemieckiej, ks. Bismarck, odwiedził Foreign Office, aby zakomunikować oficjalnie zgodę rządu niemieckiego na zawarcie zaproponowanej przez Anglję dwustronnej umowy morskiej, którąby objęła ewentualnie decyzję londyńskiej konferencji morskiej czterech mocarstw. „W ten sposób — dodaje Kurjer Warszawski — trudności, jakie wynikały wskutek sprzeciwu Francji dopuszczenia Niemiec do udziału w konferencji londyńskiej, zostały, dzięki wystąpieniu niemieckiemu, przezwyciężone. Dowiadujemy się, że rząd tutejszy (angielski) ma zamiar zaproponować rządowi sowieckiemu zawarcie analogicznej umowy bilateralnej".

Gdyby gabinety redakcyjne Kurjera Warszawskiego nie były jednostronnie napełniane trującą atmosferą „depesz własnych", pochodzących — bądźmy otwarci — z agencji czeskich i bolszewickich, oraz opinjami p. Aubac'a (Auerbacha) z Paryża, to może zapanowałby w tym poczytnym warszawskim dzienniku jaśniejszy sąd o ważnej i dla Polski polityce angielskiej w Europie i nie potrzebowałby Szanowny Pan Redaktor wycofywać się ze Swych zbyt jednostronnie i pośpiesznie publikowanych opinji, jak to niedawno zmuszony był uczynić w sprawie austrjackich układów dunajskich. To pewna w każdym razie, że polityka angielska opiera się na zbyt głębokiej znajomości i analizie faktów i to z perspektywą na dłuższą metę, by nie dostrzegała całego niebezpieczeństwa rozkładowego komunizmu i wywrotowych dążeń we wszystkich państwach polityki sowieckiej.

Żadną miarą nie mogę zgodzić się na wyrażone w Pańskim polemicznym artykule zapatrywanie zasadnicze, że „nie należy mieszać konsyderacji wenętrzno-politycznych do polityki zagranicznej“. Tchnie bowiem to zapatrywanie prastarym, walnym błędem podwórkowej mentalności szlachty polskiej, który był jednym z głównych powodów upadku dawnej Rzeczypospolitej. Wewnętrzna racja stanu każdego żywotnego państwa i narodu jest ściśle sprzężona z głównemi wytycznemi jego polityki zagranicznej. Zresztą przeciwny dowód tego swego błędnego twierdzenia daje sam Pan Redaktor w Swej publicystyce w Kurjerze, dostosowując Swe poglądy w sprawach zagranicznych do bezwzględnego trzymania się wąskiej ideologji wewnętrzno-państwowej Swej partji, która wprawdzie chlubi się rozgłośnie swym sztandarem katolicyzmu, ale która przez swe jednostronne sympatje słowianofilskie i frankofilskie, a więc sympatje do państw, w których dzisiaj panuje lub zdobywa coraz większy wpływ komunizm, iść musi mimowoli coraz bardziej nie po objektywnej linji prawdziwie polskiej racji stanu, lecz na pasku interesów międzynardowych czynników żydowsko-masońsko-bolszewickiego frontu. W interesie więc nie własnym — bo co mi polityka Kurjera Warszawskiego może szkodzić? — ale poprostu w interesie ogólnej sprawy polskiej, która ostatecznie nawet przeciwników politycznych wobec zagranicy do pewnego stopnia łączyć powinna, powinienem doradzić Szanownemu Panu Redaktorowi zerwanie z niebezpiecznym systemem opierania swego publicystycznego światopoglądu na informacjach „obcych agentur“, a zdobycie się raczej na większą samodzielność stwierdzania dzisiejszego stanu rzeczy. Przepraszam, ale sądzę tu oczywiście po sobie, gdyż moich prac na żadnych obcych agenturach — nie-

mieckich czy francuskich, czy sowieckich, czy żydowsko-masońskich — nie opieram, ale poprostu staram się mieć oczy otwarte na rzeczywistość i żaden „korespondent zagraniczny“, żadna orjentacja, ani wąska, partyjna doktryna absolutnie mi nie imponują.

A już całkiem szczególnie odnosić się musimy krytycznie do perfidnych wpływów „obcych agentur“ my — pisarze katoliccy. Możemy mieć różne przekonania i przewidywania w bieżących kwestjach aktualjów politycznych, społecznych lub gospodarczych, które zazwyczaj mają niestety tylko efemeryczne znaczenie. Ale w sprawach zasadniczych, dotyczących polskiej i katolickiej racji stanu, obowiązuje nas szczególna czujność i ostrożność w dzisiejszych czasach, kiedy komintern ruszył na Europę w całkiem nowej roli, nieraz nawet w roli owego, przez Zagłobę cytowanego „djabła“, który „ubrał się w ornat i ogonem na Mszę dzwoni“. Między niemiecką Scyllą a czerwoną Charybdą, która skupia w sobie państwa rosyjskie, czeskie i francuskie, a nadto wszelakie wywrotowe i antyreligijne międzynarodówki, a która w ostatecznych swych celach dąży przedewszystkiem do obalenia najgłówniejszego swego przeciwnika — t. j. Watykanu — musimy bardzo ostrożną, ale i pewną lawirować ręką, nie zapominając ani na chwilę, że z dwojga złego Scylla tylko groźnie warczy i w najgorszym razie powoduje straty, gdy tymczasem Charybda żeglarza wraz z okrętem bez ratunku w całości pochłania.

Pisarz prawdziwie katolicki nie może zapominać o tym istnym antychryście, jaki w różnych stopniach w Sowdepji i w Czechach, a równocześnie i we Francji dzisiaj panuje i coraz bardziej wzmaga się w potęgę zarówno na lewicy, jak i na prawicy. Wszak we Francji na prawicy potępiony został przez Kościół

ruch przerostu kultu narodowego, a również na prawicy, o ile zaliczyć można do niej stan wielkiego posiadania, stoi tam masonerja wielkokapitalistyczna. No, a na lewicy potężniejący coraz bardziej i w części nawet finansowany przez bolszewików „front ludowy“. Ostrożnie więc z sympatjami frankofilskiemi, Szanowny Panie Redaktorze i ostrożnie z sympatjami słowiańskiemi! Bo dzisiejsza Francja i dzisiejszy słowianizm zmieniły do gruntu swą istotę i rządzą nimi moce, które ani z naszem dawnem braterstwem francusko-polskiem, wyrosłem na tradycjach napoleońskich, ani z prawdziwymi interesami słowiańskich narodów nie mają nic wspólnego.

A wreszcie czas już chyba ostatni zerwać stanowczo pęta przedwojennych orjentacji narodu polskiego pod obcym zaborem. Podzieliliśmy się wówczas z rozpaczy na różne oczekiwania i przewidywania i teoretyczne sympatje, które wszystkie dzisiaj, we wskrzeszonem, realnem Państwie Polskiem i wobec zupełnie zmienionej mapy Europy i psychiki jej narodów, oraz wreszcie wobec spotęgowanej do niebywałych przedtem rozmiarów akcji różnych mocy zakonspirowanych, rozkładowych, wywrotowych, straciły wszelki cel i rację bytu. A jednak niebrak niestety w Polsce stronnictw, dzienników i umysłów, które za wszelką cenę — nawet za cenę negacji rzeczywistości i zdrowego rozsądku—usiłują z niezrozumiałym uporem prolongować, konserwować, ba, nawet rozszerzać przedpotopowe orjentacje zrozpaczonego długoletnią niewolą narodu. A że z orjentacji tych pozostały dziś już tylko nazwy, a treść ich pod wpływem szybkiej ewolucji zupełnie się zmieniła, więc też dzisiaj zabawnie muszą wyglądać, a często nawet i wprost szkodzić krajowi ci, którzy z bezkrytycznym konserwatyzmem z dawnych orjentacji przedwojennych jakieś aktualne linje

polityczne chcą wykuwać. Nie zapominajmy, że jadąc dziś np. do Rosji, nie znajdziemy tam już wspaniałych zakładów przemysłowych, kierowanych przez świetnie płatnych i wysoko cenionych rodaków, a jadąc do Francji, nie spotkamy tam Napoleona lub Focha, ale żydka-socjalistę Bluma, otoczonego tłumami agentów bolszewickich, a obok tego kliki bezwyznaniowych i bezskrupulatnych „wiecznych parlamentarzystów", którzy tyle dbają o Polskę, co o śnieg zeszłoroczny, a których jedyną myślą i dążeniem jest być ponownie wybranymi za wszelką cenę i nadużywać swego wyboru do najrozmaitszych, nieraz najciemniejszych interesów, których niechlubnem echem rozbrzmiewa co chwila świat cały.

Nie tędy więc droga do nowoczesnej, prawdziwie polskiej, narodowej i państwowej racji stanu. I z tem niezłomnem przekonaniem pozostaję, Szanowny Panie Redaktorze, z wyrazem prawdziwego szacunku i poważania.

Jan Bobrzyński.

PRZED BRAMĄ BRANDENBURSKĄ.

(Podróż dokoła Niemiec).

FURJA PRACY.

Przed bramą brandenburską?... Kto?... Jakaż to książka?

— Zwyczajna. O dzisiejszych Niemczech. A kto, to później powiem.

— Ale jaka? Obyczajowa, polityczna, reportażowa?

— Nie bardzo lubię tę klasyfikację. Poprostu — wrażenia. Przewodnik. Fotomontaż literacki. Co kto chce. Przedewszystkiem jednak chodzi o poznanie naszych zachodnich sąsiadów. Trzeba bowiem przyznać, że staliśmy się od pewnego czasu narodem nagminnie osiadłym. Podróżujemy przeraźliwie mało. Naturalnie—kryzys i cena paszportu. Ale tu gra także rolę kolosalną nasze przyrodzone lenistwo, nasza wrodzona awersja do ruchu. Byleby tylko na swojem podwórku...

— Ostatecznie są przecież liczne wycieczki...

— Wycieczki mają charakter atrakcyjny. Turyści nasi z podróży tych przywożą trzy pudełka papierosów, patentowany aparat do przyrządzania cocktailów, dwie pary renomowanych pończoch („Kaisery“ są dwa razy tańsze w Niemczech), nową nalepkę hotelową na walizie. I tyle.

— A mówi się, że podróże kształcą!

— Nie potrafimy, niestety, kształcić się w podróży. Nie posiadamy tej przyrodzonej cechy, jaką mają Anglicy lub Niemcy: ciekawości studjowania kraju, w którym się człowiek znalazł. Nie znamy tej umiejętności — pasji autopsji — sprawdzania na

miejscu tego, o czem czytało się w gazetach czy w książkach, co słyszało się w teatrze lub oglądało w kinie. Znam pana, który, znalazłszy się po raz pierwszy w Londynie, zaczął od tego, że sporządził sobie ścisłą marszrutę, jaką odbywali dostojni członkowie rodu Forsyte'ów. Odszukał dom Soamesa Forsyte, ze wzruszeniem błądził po Hyde Parku, sprawdził, jak długo jedzie się z City do dzielnicy Soho... A inny znowu mój przyjaciel, oglądając Potsdam, pasjonował się długo pałacem Sans Souci i odkrywał podobieństwo z inscenizacją „Wielkiego Fryderyka", którego widział w Teatrze Narodowym. Tak więc wygląda sala kolumnowa, w której obiadował z królem książę-biskup warmijski, a tędy pewnie widać było przez okno Frytza, kiedy wracał z ogrodu z pogrzebu Biszy...

— Do tego trzeba mieć głębsze zainteresowania intelektualne.

— To są elementarne sprawy każdego inteligentnego turysty. Baedeker pouczy cię o stylu, w jakim wybudowano piękny gmach, twoją rzeczą będzie wywołać w pamięci to wszystko, coś kiedykolwiek, gdziekolwiek o tym gmachu słyszał, czytał...

— Wróćmy jednak do twojej książki. Jakie są w ogólności twoje wrażenia z Niemiec?

— W trzech słowach — Niemcy się ruszają. Dynamika tego, co tam się dzieje, jest poprostu niepojęta. To chyba najbardziej żywotny na świecie naród.

— Takie wrażenie o nich daje już radjo. Wystarczy kręcić nieco krążkiem przy głośniku. Rosję i Niemcy poznaje się odrazu. Po krzyku. Rosja i Niemcy krzyczą, wrzeszczą, do czegoś nawołują, coś propagują, oznajmiają jakby nową ewangelję. U nas przez radjo typowem słuchowiskiem będzie prelekcja o racjonalnej hodowli ogórków...

— Więc walka jakaś o nowe wartości?...

— Tak. Niemcy są w stadjum gruntownego przeobrażenia. Jakaś permanentna rewolucja à la Trockij, tylko a rebours. Systematyczne realizowanie tez kanclerza Hitlera. Przebudowa społeczeństwa na innych zasadach. Tworzenie nowej elity. No i bezceremonjalna rozprawa z wrogami. Niemcy dzisiejsze znamy przeważnie z literatury niemieckich emigrantów, których tłumaczono u nas obficie. Feuchtwanger... Kisch... Ludwig... Zweig... Trzeba przyznać, że literatura ta troszeczkę zaciemniła nam niemiecki widnokrąg. Czy można zresztą dziwić się niemieckim pisarzom żydowskiego pochodzenia, jeśli nawet nieco przejaskrawili obraz? Gwałty i nadużycia były — to nie ulega wątpliwości. Metody niemieckie nigdy przecież nie odznaczały się łagodnością. Ale trochę objektywizmu nam dziś potrzeba. Potrzeba nam trochę niemieckiej syntezy. Powtóre, należy starać się zrozumieć Niemca, pobudki jego postępownaia. Trzeba raz zdać sobie sprawę, że jednak ruch narodowo-socjalistyczny to jest—rewolucja. A nie zna się wypadków rewolucyj bezkrwawych. Nikt bez walki nie chce tak łatwo ustąpić i nie zna się w historji wypadku, żeby rząd ustępujący pozwolił sobie bez trudu wytrącić z rąk władzę.

Ruch narodowo-socjalistyczny jest przewrotem. Omal — zamachem stanu. Zamach stanu, jeśli się nie uda, jest największą zbrodnią: zbrodnią stanu. Pechowych zamachowców wiesza się na suchej gałęzi. Jeżeli się uda — zamachowiec może się stać bohaterem narodowym. Pierwszy zamach Adolfa Hitlera w r. 1923 zakończył się fiaskiem i wódz klęskę tę przypłacił więzieniem w Landsberg. Postanowił osiągnąć władzę drogą legalną. W r. 1933 — w dziesięć lat po nieudanym zamachu — to mu się udało. Stał się bohaterem narodowym.

— A stosunek do Polski?

— Właśnie, o to mi też chodzi. Nie może być mowy o wzajemnem zaufaniu i o współpracy, kiedy sąsiedzi nie znają się. My wciąż jeszcze rozumujemy kategorjami z przed 150 lat. Niemcy Adolfa Hitlera przestały być Niemcami Fryderyka Wielkiego, tak, jak Polska Piłsudskiego niewiele przypomina Polskę Stanisława Augusta. A ma się wrażenie, że większość ludzi tak właśnie sobie ten stosunek przedstawia.

— Jakie wyciągasz wnioski z tych dociekań?

— Opieram się na metodach starej szkoły krakowskiej, szkoły objektywizmu historycznego. Bez sentymentów, bez romantycznej łezki, bez gloryfikowania błędnej, szalonej przeszłości. Jest to wielki błąd wielu naszych historyków, że pozbawili nas jasnego spojrzenia na przeszłość. Czy pamiętasz zdanie Michała Bobrzyńskiego z jego „Dziejów Polski"? „Ze słabym i złamanym nikt się nie liczy, pomoc tylko silny ku sobie przyciąga". Słowa te chciałoby się umieścić jako motto książki. Współżycie państw oparte jest na analogicznych prawach biologicznych, jak współżycie ludzi. Z tem musimy się liczyć. Mam wrażenie, że dopiero od czasów Piłsudskiego Niemcy zaczęli się z nami liczyć. Mają oni wspaniale rozwinięte poczucie ładu i anarchja wszelka napawa ich wstrętem. Z podróży mojej wyniosłem to pierwsze i najważniejsze spostrzeżenie, że Niemcy póty się będą z nami liczyć, póki będziemy silni. Jeżeli będziemy silni i nie dopuścimy u siebie anarchji, możemy ich być pewni. Polska słaba zawadzała tylko Niemcom w ich ambitnych, imperjalistycznych planach.

— Więc jednak imperjalizm?

— Obłudą byłoby nienazywanie rzeczy po imieniu. Eufemizm jest oszustwem. Każde państwo po-

winno być imperjalistyczne. Należy wysuwać swoje żądania, jeżeli okazuje się, że są one niezbędne do życia, do egzystencji i do rozwoju. Słabych życie zmiata z drogi, jak zeschnięte liście. Poto, aby silni mogli iść naprzód. To drugie prawo biologiczne.

— Któż jest Adolf Hitler?

— Dopiero od czasów Piłsudskiego możemy zrozumieć, co znaczy wódz. Dotychczas pojęcie to było trudne dla nas. Nigdy w Polsce nie znano i nie doceniano tego pojęcia. A nawet zawsze pojęcie to było dla nas wrogie. Daremnie walczył z demagogją szlachecką Batory. Próżne też były usiłowania Sobieskiego o wzmocnienie autorytetu królewskiego. Niemcy zaś pojęcie to zawsze wybornie rozumieli. I w tem ich siła. Hitler dla Niemców jest tem, czem dla nas był Piłsudski. Obudził on naród, wlał w ich skrzepnięte żyły nowe, ożywcze prądy. Może to będzie ryzykowne określenie, ale zdaje mi się, jakby Niemcy przechodziły powtórną fazę Renesansu. Hitlera Niemcy cenią także za to, że kanclerz spełnił ich utajone od czasu Nietzschego marzenia o potędze, o wodzu. Nietzsche na ideologję narodowego socjalizmu wywarł wpływ niewątpliwy.

— Ale metody?...

— Gdzie las rąbią, tam lecą drwa. Albo: tonący brzytwy się chwyta. Niemcy tonęły. I Adolf Hitler silną ręką wyciągnął je z topieli. Za to go ubóstwiają. Na przewrocie straszliwie ucierpieli Żydzi niemieccy. Cierpią także mniejszości, z mniejszością polską na czele. Można pewne metody potępiać najsurowiej, ale nie można im się nieraz dziwić. Prima charitas ab ego...

— A współpraca polsko-niemiecka?...

— O tę współpracę właśnie chodzi. Obserwujemy dziś w Europie dwa wyraźne fronty. Front eurazjatycki i front europejski. Pierwszy usiłuje zagar-

nąć Europę. Żeby mu się przeciwstawić, potrzebny jest wspólny wysiłek. Mając wspólnych wrogów, ma się też wspólne interesy. Teraz chodzi tylko o to, żeby kontrahenci okazali się lojalni wobec stypulowanych umów. Chodzi o to, aby jeden nie zawiódł drugiego. Sprawy współpracy poruszałem nieraz w moich niemieckich rozmowach. Przekonasz się, co Niemcy o nas sądzą i czego się od nas spodziewają. Niemcy muszą zrozumieć, że nie mają dziś do czynienia z anarchiczną Polską z końca XVIII-go wieku. My zaś musimy się przekonać, że zamiary ich w stosunku do nas są czyste. Muszą się oni wyrzec jakichkolwiek apetytów terytorjalnych odnośnie do Polski. O zwrocie Pomorza, Śląska, Poznania nie może być mowy. O ile mogłem stwierdzić w podróży, istotnie Niemcy dziś nie myślą już o rewindykacji tych terytorjów. Nie mogli nas strawić w ciągu 150-u lat. Jakże więc mieliby pokusić się o to teraz, kiedy okazało się, że ziemie te są polskie nawskroś. Niemcy są narodem o dużem poczuciu rzeczywistości. Dlatego też nie chcą wojny. Kanclerz Hitler w wywiadzie, udzielonym pani Titayna, znanej dziennikarce francuskiej, oświadczył w styczniu 1936-go r.: „Nie ma ani jednego Niemca, który pragnąłby wojny. Ostatnia zabiła nam dwa miljony mężczyzn, pozostawiła nam 7 i pół miljona kalek i chorych Nawet gdybyśmy zostali zwycięzcami, żadne zwycięstwo nie było warte takiej ceny. Jaki mąż stanu może dążyć do zdobyczy terytorjalnych przy pomocy wojny? Czy trzeba zabić dwa miljony ludzi, aby zdobyć prowincję o dwóch miljonach mieszkańców?... Dla nas więc oznaczałoby to poświęcenie dwóch miljonów czystych Niemców, Niemców w pełni siły, elity niemieckiej — dla zdobycia ludności mieszanej, która pozatem nie byłaby niemiecka. Logika ludzka jest przeciwna wojnie terytorjalnej".

— Ale znane są przecież niemieckie aspiracje. Połączenie wszystkich Niemców zpoza Rzeszy, kolonje...

— To świadczy tylko o ich dynamicznej żywotności. Wells, pisząc swoją słynną „Historję świata", kończy rozdział o okropnościach Wielkiej Wojny, lecz sceptycznie przepowiada następne, które nastaną może za dwadzieścia, może za trzydzieści lat, gdyż „ludzkość — pisze — jest jeszcze w wieku młodzieńczym. Troski jej nie mają cech starczego wyczerpania, lecz są powodowane nadmiarem nieposkromionej tężyzny". Otóż Niemcy są bodaj najbardziej ze wszystkich narodów ogarnięte tym nadmiarem nieposkromionej tężyzny. Czy można się temu dziwić? Są przecież państwem stosunkowo młodem. Należy się z ich tężyzną pogodzić i — strzec się. To wszystko. „Jest nas w Niemczech—powiedział Hitler — 68 miljonów mieszkańców, 68 miljonów istot, które chcą jeść, odziać się, mieszkać, żyć. Żaden traktat na świecie nie może tego zmienić, że dziecko, które przychodzi na świat, płacze, chcąc mleka i ma prawo do mleka. Głowa państwa winna dostarczyć swemu ludowi, czego ten lud potrzebuje".

— A efekty w gospodarstwie państwowem...?

— Imponujące. Nic na to nie poradzę. Przed objęciem władzy przez narodowych socjalistów mieli Niemcy 6 miljonów bezroboczych. Po dojściu do władzy Hitler zatrudnił około 5 miljonów bezroboczych przy robotach państwowych, to znaczy, w ciągu jednego dnia roboczego dał państwu od 30 do 40 miljonów godzin pracy. Jest to praca, stworzona właściwie z nicości. Ci ludzie alboby nic nie robili, alboby jeszcze pobierali zasiłki państwowe za nieróbstwo. W każdem mieście pokazywano mi tereny, na których pracują zatrudnieni dziś bezroboczy. Domy, szosy, kolonje robotnicze, fabryki... Każdy nad-

burmistrz uważa za swój punkt honoru przedstawić władzy najwyższy wysiłek w dziedzinie robót publi=cznych. Prześcigają się. W Berlinie Goering pragnie mieć pałac dla ministerjum lotnictwa. Przy Wil=helmstrasse burzy się w ciągu paru dni zaledwie je=szcze wcale okazały gmach, a już na części zburzo=nej wyrastają fundamenty projektowanego pałacu. W Monachjum Brunatny Dom postanowiono oto=czyć ze wszystkich ston rzędem wspaniałych pała=ców sztuki. Nadburmistrz Fiehler pokazuje mi ru=mowiska i powiada: „W takim to a takim dniu, ści=śle, roboty muszą być wykończone. W dniu tym przypada święto narodowo=socjalistyczne". Termin ustalono za trzy miesiące, a ja widzę dopiero ledwo rysujące się fundamenty. I domy gotowe są w usta=lonym terminie! Trudno nie czuć dla tych spraw podziwu.

To też każdy turysta w Niemczech jest zdumio=ny efektami tego wspólnego wysiłku. Kiedyś woły— w myśl przysłowia — stanęły zdumione na widok wspaniałości Bramy Brandenburskiej. Dzisiaj dłu=żej stałyby w zadumie, pełnej podziwu dla robót, dokonanych na rozkaz Führera.

Stąd właśnie — „...przed bramą brandenbur=ską"...

KUZYN SCHOWAŁ OŁÓWEK.

— Morgen!

— Heil Hitler!

Nie, to nie jest uprzejme. Ja im tak, a oni mi inaczej. Więc jakże należy nam, etranżerom, witać się w Niemczech, żeby nie było nieprzyzwoicie? Po=prostu najlepiej zapytać. Zapytałem.

— Widzi pan — oznajmił mi po chwili milczenia siwy pan w pruskiem ministerstwie propagandy — widzi pan, „Heil Hitler“ to jest pozdrowienie niemieckie, ale skoro pan pyta, to odpowiem. Wydaje mi się, że nicby cudzoziemcom nie szkodziło witać nas w ten sposób. To byłaby poprostu kurtuazja. Powiedzmy — u was, w Polsce, cały naród przyjmuje umówione pozdrowienie na cześć waszego Wodza. Czemużby przybysz-Niemiec, Francuz — nie miał okazać tegoż szacunku dla waszych uczuć? Miałby podkreślać swoją obcość? Może nawet wrogość? To nie byłoby uprzejme... prawda?

Długo nad tem myślałem. I przyznałem mu słuszność. Czemu nie miałbym respektować przyjętych tutaj form? (Przytem — co tu gadać! — moje pochodzenie... cóż to za „Niemiec“, który się nietylko wynarodowił, ale jeszcze obraża uczucia „współrodaków“?!

Było-nie-było: Heil Hitler!

— Heil! Heil!

Jakże się oni cieszą, kiedy ich w ten sposób powitać! Stosunki wzajemne stają się momentalnie bliższe, serdeczniejsze, otwarte.

— Więc pragnie pan objechać Niemcy Wybornie. Zaraz sporządzimy bilety. — Pan radca Meyer-Heydenhagen z ministerstwa okazuje mi więcej życzliwości, niż to zapewne przewiduje pragmatyka służbowa. — Ale lepiejby było, gdyby pan pojechał z przewodnikiem. Ułatwi panu wiele... Tylko skąd go wziąć?

Przewodnik? Już jest. Czeka oto w poczekalni. Mój bliski kuzyn niemiecki, baron von der Epp, jest tak uprzejmy, że gotów mi towarzyszyć w podróży. Emeryt, rentjer, bogacz, więc mu wszystko jedno, czy bąki zbijać na berlińskim bruku, czy powojażo-

wać. Jak każdy Niemiec — urodzony turysta. Niemcy zna jak własną kieszeń. Ba, Europę!

Więc jedziemy we dwóch! Ustalamy jeszcze turę. Przy szklance piwa u Aschingera kreślimy na mapie czerwonym ołówkiem trasę podróży. Hamburg — Altona — Brema — Kolonja — Moguncja — Wiesbaden — Frankfurt n/Menem — Monachjum — Lipsk — Drezno — Berlin — Królewiec — Frankfurt n/Odrą.

— Einverstanden? — kuzyn schował ołówek i podsumował kilometry. 5.000 kilometrów?

— Einverstanden!

Ruszamy jutro z rana. Woźny z ministerstwa ma na dworzec dostarczyć bilety. Żadnych bagaży! Minimalna walizeczka do łapy i — tyle. All right!

W nocy dręczyły mnie sny niespokojne. Czy należało kuzyna narażać na tak uciążliwą podróż? Wszakże siódmy krzyżyk na karku... Czy wytrzyma to mordercze tempo?...

(O, święta naiwności! Nie przewidziałem, że to on mnie zakasuje, że on będzie moim złym duchem w nocnych hulankach, że ten siedmdziesięcioletni człowiek w biegu dopędza tramwaj, a w dancingu do świtu swobodnie będzie tańczyć walca na trzy pas, podczas kiedy ja...)

PAN FRANKE Z KROTOSZYNA ROBI WYNALAZKI.

Solidny jadalny pokój, meble z jesionu, kilka obrazów w złoconych ramach — to wszystko jest spuścizną starych, dobrych czasów.

— Miało się wtedy siedem pokoi przy Kurfürstenstrasse — wzdycha pan Franke. Poprawia na ły-

sinie okrągłą, jedwabną czapeczkę. Taką samą nosił Anatol France. — Najlepsza klijentela. Zagraniczniki z dyplomacji. Mundury. Pan Franke był wtedy znanym krawcem. Pierwszorzędnym. A teraz...

Pan Franke rozłożył nogawice, jedną ułożył starannie na stole, poślinił palec i dotknął nim żelazka. Zasyczało. Więc dalej prasował i mówił:

— Widzi pan: reparacje, odświeżanie, prasowanie. I tyle. Inne czasy.

I pan Franke z rezygnacją opowiada, jak to po śmierci żony zdeklasował się. Mieszkanie przy Kurfürstenstrasse trzeba było opuścić. Sam z córką przeniósł się na jedną z mniejszych uliczek, opodal ambasady polskiej. Czemu akurat w sąsiedztwo polskiej ambasady? Niewiadomo...

Pan Franke, chociaż od czterdziestu lat mieszka w Berlinie, pochodzi z Krotoszyna. W Poznańskiem. Och, jeszcze teraz mówimy ze sobą po polsku. Dla wprawy. Pan Franke rozkoszuje się polską mową. Przypomina sobie ojczyste strony. Ma tam jeszcze do dziś dnia rodzinę. Zrzadka koresponduje. Do Krotoszyna idą na nowy rok kolorowe pocztówki z widoczkiem Berlina i „Grüsse und Küsse“ od pana Franke i od Irmchen.

Pana Franke pożera potrosze nostalgja. Możeby się nawet i przeniósł — spowrotem w Poznańskie.

— Chciałbym, wie pan, mieć na starość taki niewielki domek z czerwoną dachówką. I naokoło — zielony ogródek. I byłaby cisza i spokój.

Przez okna słychać huk berlińskiej ulicy. Przewalają się ciężkie cielska autobusów. Dudnią co chwila torpedy podziemnej kolejki. Dzwonią bez przerwy tramwaje. Wciąż, dniem i nocą, wściekły ruch, zgiełk, tupot, ryk klaksonów...

Pan Franke jest już stary i bardzo zmęczony. Powrócić... Ba, to się tak tylko majaczy w zmęczo-

nej, utrudzonej głowie. Bo po pierwsze: jakże to zro=bić? Wywieźć z Niemiec waluty nie wolno. Pan wie, conajwyżej 10 reichsmarek. — Pan Franke chicho=cze i zaraz sobie potem pokaszluje. — A powtóre — Irmchen. — Irmchen, moja córka. Ma już więcej, niż dwadzieścia lat. I po polsku ani słowa nie rozumie. Skądżeby umiała, kiedy w domu zawsze mówiło się po niemiecku.

Irmchen jest płową blondynką. Ma duże, błękit=ne oczy, chociaż nie jest ładna. Jest za to, aczkol=wiek przedwcześnie, zgorzkniała. Miała przez pięć lat narzeczonego. Niemiec, naturalnie. Chodziła z nim do kina, na dancingi. Wtedy jeszcze ojcu le=piej się wiodło i żyła „Muti". A potem wszystko się jakoś zepsuło. Narzeczony wyjechał na posadę do Kolonji. Pisywał. Ale coraz rzadziej, coraz niechęt=niej i bardziej obojętnie. Aż przestał pisać. I wszelki ślad po nim zaginął. A Irmchen jest brzydka i ma dwadzieścia kilka lat. Kto ją teraz weźmie? Bez po=sagu! Więc narzeczony ją oszukał. „Nie kradnij mi=łości dziewczyny, jeśli nie pojmiesz jej za żonę" — powiada chińskie przysłowie.

Ale Irmchen niedarmo jest już Niemką. Ma po=czucie ładu i prawa. A prawo niemieckie surowo ka=rze za złamanie obietnicy małżeństwa. Więc chociaż dziewczyna kocha swojego Kurta, znajomi nama=wiają ją, aby wystąpiła do sądu ze skargą. Może otrzymać ze dwadzieścia tysięcy reichsmarek... Dla=tego właśnie chodzi Irmchen zgorzkniała. Nie wie, co teraz począć?

Co niedziela kupuje pan Franke polską gazetę. Nie tę berlińską, „Dziennik Berliński" i nie „Młody Polak w Niemczech". Nie, pan Franke kupuje gaze=tę warszawską, albo krakowskiego kurjerka. I czyta tę gazetę przez cały dzień. Od deski do deski.

— Ale z błędami drukują — mówi nagle i obra=

ca się do mnie na pięcie. — Co ja tam błędów w tej gazecie znajduję! G d z i e j e n o t y l k o!

Na szafce wśród kilkunastu książek niemieckich stoi gruby słownik Mosbacha. Z przed pewnie jakich sześćdziesięciu laty. Stamtąd czerpie pan Franke wiadomości, jeżeli jakieś słówko, czy wyrażenie umknie mu z pamięci. Gazetę czyta zawsze z czerwonym ołówkiem w dłoni i na marginesie znaczy błędy stylu.

— Irmchen poszła na banhof szapować benzynę — powiada nagle i kładzie na stół drugą nogawicę. — Będę musiał sam sobie usmażyć jajek ze szperką...

Ale czemu się tak zdeklasował? Czemu taka bieda wieje z tych ścian, jeszcze pięknie i starannie utrzymanych?

I oto tajemnica powoli się wyjaśnia. Pan Franke jest fantasta. Romantyk. Pan Franke, chociaż tyle lat już mieszka w samem sercu Niemiec, duszę jeszcze ma wciąż słowiańską.

— W czasie wojny, wie pan, zrobiłem taki wynalazek. (Więc pan Franke w czasie wojny robił wynalazki...) Takie kulki w łożyskach u czołgów... Że jak tylko kula czołg trafiła, zaraz się sam obracał i uciekał. Zameldowałem to u Kruppa. Owszem, bardzo ciekawe, powiedzieli, tylko, że za drogo wypadnie produkcja, a wojna i tak za trzy miesiące się skończy. Był to rok 1915 i Niemcy dotarli już pod Paryż...

— Więc nic z tego wynalazku nie wyszło?

— Nic. Sami sobie winni. Dostali w skórę g d z i e j e n o t y l k o, a gdyby... Ech! Wie pan, cobym teraz chciał wynaleźć? Takie perpetuum mobile, żeby się maszyny same poruszały bez p e t r o l e u m i bez benzyny. Nawet pracuję nad tem... G d z i e j e n o t y l k o mam czas, zaraz siadam i obliczam.

To mi wiele wyjaśnia. Pan Franke o słowiańskiej duszy nie mógł zrobić karjery w Berlinie. Kiedyś miał nawet ładny kapitalik zaoszczędzony. Ale duszę miał niespokojną. Jest żądny odkryć, wynalazków. I jeszcze jeden szczegół odkryła mi w sekrecie Irmchen. Że papa wciąż uporczywie siedział tylko w tych swoich wynalazkach, a klijenci irytowali się, bo nigdy na czas odebrać nie mogli swych spodni...

No, więc cóż dziwnego, że tak właśnie, a nie inaczej musiało się to skończyć! Irmchen jest też trochę na papę rozgoryczona. Kiedyś miała ładny posag przed sobą, a dziś? Dziś zostały tylko meble w stołowym pokoju.

Zdala też trzyma się pan Franke od ruchu politycznego. Przez radjo, owszem, słucha przemówień Führera. Ale niewiele z tego wszystkiego rozumie. Jest już stary i zmęczony. Tam na mieście walczą młodzi. Walczą o lepszą przyszłość. Co mu po tem? On marzy tylko o domku z czerwoną dachówką i ogródkiem. Przed wielu laty widział taki domek w okolicach Krotoszyna.

Ten domek spać mu nie daje po nocach. Czasem także maszyny, któreby nie potrzebowały petroleum. G d z i e j e n o t y l k o...

Zamyślił się na dłużej pan Franke. Potem ocknął się, cmoknął palcem w żelazko. Ostygło.

— Jak się przedstawia stosunek władz niemieckich do mniejszości polskiej? Ile tej mniejszości jest w Trzeciej Rzeszy?

Tego rodzaju pytania nasuwają się w Niemczech same przez się. Czy zdołamy uzyskać na nie objektywną, uczciwą odpowiedź?

— Polacy określają ilość mniejszości polskiej

w Niemczech na półtora miljona. Niemcy cyfrę tę uważają za zbyt wygórową.

— Jakże te mniejszości rozlokowane są w Niemczech?

— 800.000 mieszka na Śląsku Opolskim. 400.000 na Mazurach i na Powiślu (Niemcy oficjalnie ludności tej za polską nie uznają; jest to według ich tezy plemię specjalne, „Masuren"). 20.000 skupia się na pruskich Kaszubach oraz na pograniczu. 100.000 zamieszkuje Niemcy środkowe. 150.000 wreszcie zamieszkuje w Westfalji i Nadrenji.

W głośnej swojej korespondencji o „mniejszościach narodowych" w Niemczech stwierdził Kazimierz Smogorzewski, że zarówno władze, jak i pisarze niemieccy zawsze zaprzeczali tym danym. Dr. Helmut Nicolai, doniedawna wybitny członek NSDAP, ostatnio popadły w niełaskę, ilość Polaków w Rzeszy ocenia na 250.000 („Der Staat im nationalsozialistischen Weltbild", Leipzig, 1934).

W Niemczech, oprócz Polaków, zamieszkują Duńczycy, Fryzowie, Litwini, Czesi, Łużyczanie i Żydzi. Lecz oficjalnie za mniejszości narodowe uznani są tylko Polacy i Duńczycy (tych ostatnich jest w Niemczech 15.000).

Reichstag, zwołany do Norymbergi, uchwalił w dniu 15 września 1935 r. doniosłą ustawę, która mieszkańców Rzeszy dzieli odtąd na dwie kategorje: „przynależnych do państwa" (S t a a t s a n g e h ö r i g e) oraz „obywateli" (R e i c h s b ü r g e r). Ostatecznie utracili obywatelstwo Żydzi, natomiast mniejszości narodowe, a więc Polacy i Duńczycy, jako narodowości o „krwi gatunkowo pokrewnej" („a r t v e r w a n d t e n B l u t e s") pozostali w dalszym ciągu pełnowartościowymi obywatelami Rzeszy. Nakłada to jednak na nie poważne obowiązki,

które dla mniejszości polskiej nie zawsze stają się dobroczynne.

I tak np. 29 września 1933 roku ukazała się charakterystyczna dla ideologji narodowo-socjalistycznej ustawa o zagrodach dziedzicznych. Ma ona na celu „zachowanie włościaństwa, jako źródła krwi narodu niemieckiego". Związek Polaków niemieckich złożył wówczas kanclerzowi Rzeszy memorjał, w którym stwierdza, że ustawa powyższa nie może być stosowana do mniejszości polskiej, gdyż Polacy nie mogą być „źródłem krwi narodu niemieckiego". Ministerstwo spraw wewnętrznych jednak orzekło w odpowiedzi, że ustawa nie przewiduje wyjątków, obowiązuje zatem także mniejszość polską.

Ustawa powyższa sprzeczna jest z interesami Polaków. Dlaczego? Mocą jej właściciel gruntu staje się odtąd właściwie tylko posiadaczem, czy dzierżawcą ziemi, należącej do państwa. Ustawa powiada, że ziemia może być chłopu odebrana w dwuch wypadkach: jeśli użytkownik jej przestanie być „źródłem krwi narodu niemieckiego" i jeśli źle gospodarzy. W tym drugim wypadku władze pozbawiają go prawa własności, a ziemię przydzielają komu innemu.

Ustawa o zagrodach dziedzicznych („Erbhof") ma na celu przeciwdziałanie rozdrabnianiu majątków chłopskich. Zagrodę dziedziczy pierworodny syn zagrodnika, a tylko w wyjątkowych wypadkach inny syn. Pozostałe potomstwo obdziela włościanin gotówką. Oczywiście, narazie rozporządzenie to brzmi nieco paradoksalnie z tego względu, że mało który chłop posiada dziś gotówkę. Narazie więc skończy się na tem, że młodsze rodzeństwo dziedzica zagrody udawać się będzie w poszukiwaniu pracy do miasta, względnie pozostanie na zagrodzie w charakterze płatnego parobka, najmity.

Drugi obowiązek, któremu podlegają w Rzeszy uznane mniejszości, to sprawa służby przymusowej w „A r b e i t s d i e n s t". Cóż to za ustawa?

Ukazała się w dniu 26 czerwca 1935 r., jako „R e i c h s a r b e i t s d i e n s t g e s e t z" i brzmi następująco:

1) Służba pracy w Rzeszy jest służbą honorową d l a n a r o d u n i e m i e c k i e g o.

2) Wszyscy młodzi N i e m c y płci obojga są obowiązani służyć s w e m u n a r o d o w i w służbie pracy Rzeszy.

3) Służba pracy Rzeszy ma wychowywać młodzież niemiecką w duchu narodowego socjalizmu dla społeczności narodowej (V o l k s g e m e i n s c h a f t).

Ze względów powyższych, sprecyzowanych w artykułach ustawy, Związek Polaków w Niemczech zwrócił się do ministertwa spraw wewnętrznych z memorjałem, żądającym zwolnienia Polaków od Arbeitsdienstu; jasno bowiem wynika z ustawy, że jest to obowiązkiem tylko rodowitych Niemców. Nadto mniejszości polskiej ta „praca dla narodu niemieckiego" i „wychowywanie młodzieży w duchu narodowo-socjalistycznym" groziłaby poprostu wynarodowieniem.

Nieoczekiwanie odpowiedź brzmiała odmownie. Rząd niemiecki do pracy w Arbeitsdienst powołał także mniejszość polską. Nie ulega zatem wątpliwości, że mamy tutaj do czynienia z rozbieżnością między czynami i słowami władz niemieckich. Praktyka daleko odbiega od głoszonych zasad.

A jakież to były zasady?

W słynnych przemówieniach swoich, które dla narodu niemieckiego niezwłocznie stają się ewangelją, Adolf Hitler jasno i dobitnie postawił sprawę

asymilacji mniejszości (mowy w Reichstagu z d. 17 maja 1933 r. oraz z d. 21 maja 1935 r.):

„Światopogląd narodowo-socjalistyczny — oznajmił kanclerz — dogmatycznie wyłącza wszelką asymilację innych narodów, zbijając tem samem mieszczańską wiarę w możliwość germanizacji. Narodowi socjaliści nie chcą odbierać obcym szczepom ich mowy i kultury. Nie wydajemy rozkazów niemczenia imion nie-niemieckich. Przeciwnie: nie życzymy sobie tego! Nie wierzymy, aby w obecnej Europie, w dobie panowania zasady narodowości, zahartowane w swem poczuciu narodowem ludy mogły być jeszcze wynaradawiane".

Drugie przemówienie zawiera następujące słowa kanclerza:

„Praktyczne doświadczenia ostatnich stuleci wykazały, że naprawdę wartościowych żywiołów albo wcale nie można wynarodowić, albo też można tego dokonać tylko z wielkim trudem i bardzo powoli. Cała korzyść jednak ogranicza się niemal wyłącznie do chwiejnych, a wskutek tego małowartowych ludzi. Zyskanie ich w żadnym wypadku nie może być uznane za korzystne i za stojące w jakimkolwiek stosunku do związanych z tem cierpień i niebezpieczeństw. Dlatego też we wzajemnej ochronie narodowości widzę jeden z najbardziej godnych celów odpowiedzialnej polityki politycznej".

Tak brzmią rozumne słowa kanclerza Rzeszy i Wodza narodu niemieckiego. Słowa, niewątpliwie głęboko przemyślane, oparte na doświadczeniu. Cóż dała Niemcom wściekła, nieprzebierająca w środkach kampanja eksterminacyjna słynnej i pamiętnej Hakaty na ziemiach polskich? Ile ofiar, ile cierpień za sobą pociągnęła! Efekt okazał się znikomy, efekt okazał się żaden, kiedy przyszło do plebiscytów, kie-

dy odezwało się wilsonowskie hasło o samostanowieniu narodów.

Dlatego też właśnie daleko idąca rozbieżność pomiędzy enuncjacjami kanclerza, a praktyką administracyjną Rzeszy nasuwać musi głębokie refleksje. Czyżby enuncjacje powyższe służyć miały tylko na efekt zagraniczny? Czyżby wygłaszane były pro foro externo dla zatuszowania istotnego stanu rzeczy? Trudno przypuścić, żeby tak być mogło. Pragniemy wierzyć w dobrą wolę i szczerość deklaracyj konclerza. Pragniemy wierzyć, że prawom mniejszości polskiej w Niemczech nie uchybią ustawy, sprzeczne z duchem i zasadami narodowych socjalistów.

Obrona tych praw należy z jednej strony do Związku Polaków w Niemczech, a do Światowego Związku Polaków Zagranicą z drugiej.

— Więc niech pan powie, panie von Schummer, jak tam jest teraz w Polsce? — Pan Franke skończył prasowanie spodni. Odłożył je na bok niechętnie. Przysiada się do mnie. — Jak tam teraz jest w Polsce...?

Więc mu opowiadam. O życiu w mieście, o życiu na wsi. O polityce. O kryzysie.

Pan Franke kiwa głową. No, tak, wszędzie jest teraz źle. G d z i e j e n o t y l k o — powtarza swój ulubiony zwrot (może vide słownik Mosbacha). Gładzi się dłonią po szyi. I po chwili milczenia:

— Mój kraglik jest dzisiaj źle sztarkowany, ale Irmchen za długo siedziała w badewannie...

Jego kraglik jest dzisiaj źle sztarkowany, bo Irmchen w badewannie... A papa siedział cały dzień zatopiony w warszawskiej gazecie i na marginesie notował błędy językowe dziennika. Według pisowni słownika Mosbacha z r. pańskiego 1835-go...

Pan Franke nie jest już Polakiem, nie jest też jeszcze Niemcem. Ale Irmchen jest już Niemką. Nigdy na oczy nie widziała żadnego Krotoszyna i nie tęskni za domkiem z czerwoną dachówką. Tęskni za Kurtem, który ukrył się w Kolonji.

Pan Franke w Krotoszynie w dwa lata stałby się zpowrotem panem Frankowskim. Takich, jak pan Franke, mieszka w Niemczech półtora miljona. Nie są to Niemcy i nigdy Niemcami nie zostaną. Ale ich dzieci pod wpływem nauczania, otoczenia, wychowania zpewnością ulegną wynarodowieniu.

Dlatego też spośród najpilniejszych i najistotniejszych postulatów, których rychłego rozstrzygnięcia pragnie Związek Polaków w Niemczech, na plan pierwszy wysuwają się następujące sprawy:

W dziedzinie kulturalno-wychowawczej:

1) sprawa szkół ludowych na Kaszubach,

2) polskie szkolnictwo dokształcające,

3) sprawa gimnazjum w Kwidzyniu i w Raciborzu,

4) sprawa kształcenia dzieci polskich w niemieckim duchu narodowo-socjalistycznym,

5) sprawa podporządkowania prasy polskiej niemieckim instytucjom narodowym.

W dziedzinie gospodarczej:

1) sprawa „Erbhof'u",

2) sprawa oddłużenia spółdzielni polskich,

3) sprawa podporządkowania polskich instytucyj gospodarczych instytucjom niemieckim.

W dziedzinie organizacyjnej:

1) sprawa uczestniczenia młodzieży polskiej w organizacjach „Landjahr". „Landhilfe" i „Arbeitsdienst", wreszcie

w dziedzinie społecznej:

1) sprawa udziału przedstawicieli ludności polskiej w samorządzie terytorjalnym.

Co znaczą te słowa „Landjahr“ — „Landhilfe“ — „Arbeitsdienst“?

Sprawa wychowania młodzieży w każdym kraju nie jest kwestją błahą, ani małą. Naród niemiecki w trosce o swoją młodzież stwarza szereg organizacyj, które mają na celu wychowanie młodzieży niemieckiej w duchu narodowym, w światopoglądzie narodowo-socjalistycznym.

Trzecia Rzesza, która specjalnie wielki nacisk położyła na zagadnienie młodzieżowe, stworzyła dla niej głęboko przemyślaną i precyzyjnie zorganizowaną sieć organizacyj, wzajemnie się dopełniających, tworzących niejako łańcuch wychowawczy, wzdłuż którego kształtuje się przyszły pełnowartościowy obywatel Rzeszy.

Tak więc najmłodszy berbeć już w freblówce wciągnięty zostaje do „Jungvolk'u“, skąd — osiągnąwszy dziesięć lat —przechodzi do „Hitlerjugend“, na której czele stoi popularny polityk i poeta, Baldur von Schirach.

Obie te organizacje początkowe pracują w tym kierunku, aby w duszy młodocianego członka zakorzenić świadomość jego niemieckiego pochodzenia i oświecić go w sprawie obowiązków względem ojczyzny. Chłopiec od najmłodszych lat wyrasta w ten sposób w atmosferze patrjotycznej i w poczuciu karności.

W dalszym ciągu edukacji narodowej młody obywatel przechodzi „Landjahr“, dalej „Landhilfe“, wreszcie „Arbeitsdienst“. Do „Landjahr“ idą dzieci, które opuszczają szkołę. „Dla przyjęcia do „Landjahr“ — głosi rozporządzenie ministerstwa oświaty

z dnia 26.10.1935 r. — w rachubę wchodzą tylko dzieci zdrowe pod względem fizycznym i umysłowym, nieobciążone dziedzicznie, ani biologicznie (erbbiologisch), wartościowe pod względem charakteru, narodowości niemieckiej i pochodzenia aryjskiego". Na skutek interwencji Związku Polaków w Niemczech dzieci mniejszości polskiej od obowiązku uczestniczenia w „Landjahr" zostały zwolnione.

„Landhilfe" i „Arbeitsdienst" skupiają młodzież już dojrzałą. Zarówno te, jak i poprzednio wymienione organizacje wychowują ludzi w duchu narodowo-socjalistycznym.

Ten łańcuch wychowania narodowego przerywa się z chwilą, gdy obywatel przystępuje do odsłużenia wojskowości. Przychodzi rok służby wojskowej, do której powołani zostają wszyscy obywatele kraju. Tam przygotowywano ich do obrony narodu, tutaj uczą się oni bronić państwa. Po przejściu służby wojskowej — jak zapowiedział w Norymberdze kanclerz Hitler — młodzież skierowana będzie do oddziałów szturmowych (S. A.).

Organ oficjalny władz „Arbeitsdienst'u" p. n. „Der Arbeitsmann" w numerze pierwszym z dn. 5 lipca 1935 r., w artykule wstępnym, który zatytułowano „200.000 Mann im Arbeitsdienst", ponownie podkreślił cele i zadania organizacji służby pracy. Czytamy tam m. inn., co następuje:

„Dobrowolna służba pracy — obowiązek służby pracy! Zawsze była i pozostanie ta służba służbą tylko narodowo-socjalistyczną, zawsze będzie w ści-

słej łączności z partją (scilicet — narodowo-socjalistyczną, przyp. aut.), w owej stałej łączności, jaka po wsze czasy pozostanie płodną i błogosławioną. Służba pracy — że przytoczymy jedno zdanie z mowy Reichsarbeitsführera, wygłoszonej na kongresie partyjnym w Norymberdze — jest dzieckiem narodowo-socjalistycznej niemieckiej partji robotniczej. My, mężowie pracy (A r b e i t s m ä n n e r), będziemy dumni z naszej matki (NSDAP) i nasza matka może być z nas dumna!"

Z cytat tych jasno wynika, że organizacja „Arbeitsdienst" jest nawskroś niemiecka i służyć ma narodowi niemieckiemu. Dlatego też słuszne było żądanie mniejszości polskiej, aby zwolniono ją z udziału w tej akcji.

Dziś rano pan Franke poszedł na banhof witać wycieczkę polską Orbisu. Lubi posłuchać sobie mowy polskiej. Drepcze koło rodaków, nadstawia ucha, czasem nawet kogoś zaczepi:

— Czy pan czasem nie z Krotoszyna?

Wraca smutny. Nikogo z Krotoszyna nie było. Ale przynosi ze sobą żywy obraz domku z czerwoną dachówką i kopce w Rozdrażewie, w których każdy kamień zna na pamięć, w jego oczach mienią się świeższemi barwami...

HAMBURG — NIEMIECKI LUFCIK NA ŚWIAT.

— Einsteigen!

Zaraz, zaraz... Zanim sobie usiądziemy w tym cudzie XX-go wieku, trzeba mu się trochę przypa-

trzeć. Nazywa się „Der Fliegende Hamburger“ — Latający Hamburżanin, powiedzmy. Tylko dwa wa- gony o aerodynamicznych kształtach. Pneumatyki. Wewnątrz — komfort, luksus, przepych. Tylko dla miljonerów.

Tylko dzięki grzeczności pana radcy Meyer-Heydenhagen z pruskiego ministerstwa propagandy, który zgóry zamówił nam miejsca, możemy obaj na dwie godziny stać się prawdziwymi miljonerami. T. j. możemy jechać w towarzystwie ludzi, którym się śpieszy, dla których times is money. Przyjemnie.

Miejsc 90, ale wolno zabrać tylko 70 pasażerów. Widocznie, żeby było jeszcze prędzej. Te 300 kilometrów zrobimy w niecałe dwie godziny. Prawie jak w aeroplanie, tylko na szynach.

W torpedzie są Niemcy, Włosi i Francuzi. Businessmani. Walizy od góry do dołu oblepione nalepkami najwytworniejszych hoteli świata. Odczuwa się pewien posmak egzotyzmu w gwarze wielojęzycznej.

Bum-bum-bum! Bum-bum-bum!

Jak torpeda wystrzelona wylatuje Latający Hamburżanin z Berlina. Nigdzie po drodze nie staje. Bezpośrednio Berlin — Hamburg. Już przelecieliśmy przez Spandau ze słynną twierdzą fryderycjańską. Już jesteśmy w Nauen. Już niema Nauen. Śmigają drzewa, w warjackiej galopadzie kręcą się, jak frygi, zawijają słupy telegraficzne, jakby nagłym tknięte paraliżem. Wogóle na krótką metę nie można patrzeć — oczy bolą. Drzewa tworzą jakby splątany żywopłot, który w epileptycznych podskokach ucieka, ucieka...

„Miljonerzy“ nudzą się. Strzałka na zegarze wskazuje, że wciąż jeszcze kropimy z maksymalną

szybkością 160 km. na godzinę, ale miljonerów to nie bawi. Flegmatycznie spijają butelkę po butelce „Pschorra“ i nie widzą ani miast, ani stadek krów meklemburskich, ani umykających wbok zajęcy, saren, bażantów.

Mój kuzyn usiłuje w Ludwigslust (stolica w. ks. meklemburskiego) wyrzucić przez okno torebkę z czekoladkami dla swego znajomego chłopczyka, którego listownie zawiadomił o naszym przejeździe i który ze swoją mamą stał niedaleko toru. Okazuje się jednak, że to jest niewykonalne. Straszliwy pęd powietrza nie pozwala wysunąć dalej dłoni, która momentalnie drętwieje. Zjadamy wobec tego sami czekoladki.

— Uwaga, zaraz będzie Friedrichsruh!

Mój kuzyn czatuje przy oknie, żeby mi pokazać skromny pałac rodziny Bismarcków. Tu, w tym brunatnym zamku, żył i umarł Żelazny Kanclerz. A o parę kilometrów dalej, z za drzew, ukazuje się nam marmurowe mauzoleum, w którem spoczywają szczątki unifikatora Rzeszy. Mauzoleum zbudowane w kształcie średniowiecznej baszty. Monumentalne, ale zarazem proste i zgruba ociosane, takie, aby charakterem swym odpowiadało wielkiemu kanclerzowi.

Stajemy teraz w wielkiej, czarnej, zadymionej hali dworca hamburskiego.

Hamburg. Po Nowym Yorku i po Londynie — trzeci pod względem wielkości port świata. Miljon dwieście tysięcy mieszkańców. Założył to miasto Karol Wielki. Unja z Lubeką w r. 1241 położyła podwaliny pod potężny później — razem z Bremą — związek miast hanzeatyckich. Wyjątkowe położenie — między Elbą i Alsterą, o sto kilometrów od mo-

rza — pozwoliło zająć Hamburgowi miejsce dominujące wśród miast portowych państwa.

„40 tysięcy synów tego miasta straciło życia dla was. 1914 — 1918“. Taki napis figuruje pod pomnikiem poległych hamburczyków, z granitu. Taki pomnik znajduje się prawie w każdem mieście niemieckiem. Jak momento mori, jak groźne widziadło katastrofy. Nie, ten pomnik nie zachęca do wojny! Wojna o nowe terytorja nie opłaca się. Żadna wojna się nie opłaca. Kiedy pytano Bethmanna-Hollwega, jakże to się stało, że Niemcy dopuściły do wojny, kanclerz rozłożył ramiona. Nie wie. Skądżeby miał wiedzieć? Nikt nie wie, w jaki sposób i dlaczego wybuchają wojny. Faktem jest jednak, że wybuchają. A więc trzeba być na nie przygotowanym. Wojna kosztowała ludzkość 8 miljonów trupów i 15 miljonów kalek, chorych, wykolejeńców. Straty materjalne, spowodowane przez wojnę, obliczone zostały pracowicie przez statystykę amerykańską. Wyniosły one 400 miljardów dolarów. Dla uprzytomnienia sobie znaczenia tej astronomicznej cyfry należy dodać, że suma ta wystarczyłaby na to, żeby dla każdej rodziny w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglji, Francji, Austrji, Belgji, Niemczech i w Rosji zbudowano domek za 2.500 dolarów, aby otoczono go 5-ma akrami terenu po 100 dolarów za akr, aby mieszkanie to umeblować za 1.000 dolarów, nadto jeszczeby pozostało tyle tych dolarów, że dla każdego miasta, przewyższającego liczbę 20.000 mieszkańców, możnaby ufundować uniwersytet za 10 miljonów dolarów i bibljotekę za 5 miljonów dolarów.

Wojna sprawiła to, że nietylko podobny plan nie mógłby zostać zrealizowany, ale cały szereg ludzkich

domostw, gmachów publicznych, zabytków sztuki został zniszczony, pożarty, zmiażdżony.

Gdzież więc jest korzyść wojny?

Trwalsze są jeszcze szkody, jakie wojna światowa wyrządziła w stanie jakościowym ludności Europy. Już Darwin stwierdził, że wojny są ośrodkiem przeprowadzenia selekcji au rebours.

Najdzielniejsi i najsprawniejsi młodzi ludzie giną na wojnie. Najsłabsi pozostają w domu i zakładają rodziny. Czy Oswald Spengler nie ma podstaw, aby przepowiadać na tych danych „Der Untergang des Abendlandes", upadek kultury zachodnio-europejskiej i znaczenia Europy w świecie?

„Niema ani jednego Niemca, któryby pragnął wojny — oświadczył kanclerz Hitler. A to, co mówi Adolf Hitler, mówi 68 miljonów Niemców.

Dokoła takie same domy, jak w Gdańsku lub w Królewcu. Stare, zadymione, zczerniałe od dymu okrętów. Ale są także domy nowe. Wciąż rosną nowe. Więc np. słyny Chilehaus, zbudowany w r. 1923, ostatni — wówczas — krzyk mody architektonicznej. Obok niego zaś Albert-Ballin-haus, należący do właścicieli i twórców wielkiej linji transoceanicznej Hamburg — Amerika Line.

Charakterystyczne piętno nadają miastu kanały, któremi pocięto Hamburg nakształt szachownicy, t. zw. „Fleet" (nazwa flamandzka). Przypominają one do złudzenia Wenecję i jej Canale-Grande, a znowu domy i mosty nad temi „fleets" nasuwają obraz ponte dei Sospiri.

Wynajmujemy pokoje tuż opodal dworca. Hotel pod patetyczną nazwą „Graf Waldersee". Inhaber: Otto Stock. Numer kosztuje 5 marek. Można wytrzymać. W pokoju czysto, podłoga lśni, jak lustro, na podłodze dywan. Widać jednak odrazu na oko,

że w hotelu panują pustki. Niemcy mniej dzisiaj podróżują.

— Przed wojną — powiada pan Stock — robiłem dobre interesy. Cesarz przyjeżdżał na regaty, za nim ciągnęło całe berlińskie towarzystwo. Obroty portu były większe, większy też miałem ruch u siebie. Teraz — jak panowie widzą — zastój, kryzys, stagnacja.

I pan Stock z rezygnacją macha ręką.

Meldujemy się popołudniu u naszego konsula generalnego, p. Dr. Emila Kipy. Z zawodu historyk, kiedyś znałem go, jako naczelnika jednego z wydziałów naszego MSZ.

— Świetnie pan trafił — woła pan konsul od progu.

Okazuje się, że ma u siebie akurat rodaka. „Będziecie sobie mogli panowie pogadać".

Świat jest mały, a Polacy są wszędzie. Chwała Bogu, że się potrosze zaczynamy ruszać. Wprawdzie jeszcze w pojedynkę, zrzadka, ale już więcej nas wyjeżdża w poszukiwaniu chleba i ryzyka, a to do Liberji, a to do Parany, a to do Abisynji nawet.

Pan Januszewicz, młody, na bronz opalony mężczyzna, opanowany jak Anglik, od lat kilku zamieszkuje w Liberji.

— Co tam robię? Mam własną faciendę. Hoduję dzikie zwierzęta, plantuję kakao, rycynus, palmy oleiste, kola i owoce. Zgodnie z umową, zawartą między Ligą Morską i Kolonjalną a murzyńskim rządem liberyjskim — powstało w centralnej części Liberji sześć polskich plantacyj. Dają one początek naszemu ruchowi kolonizatorskiemu.

Przełamaliśmy — ciągnie pan J. — początkową nieufność czarnych, zdobyliśmy nawet ich zaufanie. Sprowadzamy dla nich polskie towary i produkty. Polski towar na polskich okrętach do polskich skle-

pów naszego Syndykatu w Monrowji oraz w Wrep=pu Town — oto jak daleko posunęliśmy naszą pene=trację w tym kraju! Miesiąc nie upływa od chwili przycumowania okrętu, a już wszystko zostaje wy=przedane. Murzyni tutejsi od paru lat z dumą para=dują w bielskich beretach na kędzierzawych łbach, a strawę gotują w łódzkich garnkach. Jeżeli tylko uda nam się przełamać konkurencję, murzyni mogą się stać naszymi poważnymi odbiorcami, już na szerszą skalę.

— Co pan tu teraz w Hamburgu porabia? Co pa=na aż tu przygnało?

— Trochę drapieżników — powiada — przy=wiozłem. Może Hagenbeck kupi... — Czekoladowy pan uśmiecha się figlarnie.

Patrzcież państwo! Nasz rodak z murzyńskiej Liberji dostawcą drapieżników dla Hagenbecka. Brawo! Więc kilka smukłoszyich żyraf, pięć małp, jednego nosorożca.

— A oto moja żona z „synkiem". Przed naszą faciendą. — Podaje mi fotografję. Na Jowisza, świat jest mniejszy, niżby się napozór zdawało. Bo oto w pani J. poznaję moją dobrą znajomą. Jeszcze przed pięcioma laty tańczyliśmy sobie w najlepsze shimmy na five=o=clockach warszawskich. A teraz dawną pannę S. odnajduje w pugilaresie plantatora z Afry=ki. „Synek" zasię na ramionach pani okazuje się po=prostu ulubionym małym szympansikiem. Benjami=nek — okazuje się — całej polskiej tamecznej ko=lonji.

Żegnamy się z panem J. Idzie dobijać z Hagen=beckiem targu o swoje żyrafy. Ja dalej gawędzę z konsulem.

— Hamburg, proszę pana, to główne niemieckie wrota wypadowe pod względem gospodarczym. Tę=dy płynęło i płynie złoto do Rzeszy. Tędy kieruje

się głównie niemiecki import i eksport. Tu — mimo kryzysu — nie ustają ruch, praca, inicjatywa... Ogromna szkoda, że w polskiej publicystyce ekonomicznej nie docenia się roli Hamburga. Moglibyśmy stąd wiele wzorów czerpać dla budowania naszej Gdyni. Kiedy pan będzie zwiedzać port, zobaczy pan niezliczoną ilość statków i okrętów z całego świata. Zobaczy pan np., jak żywo prosperuje tutaj handel czechosłowacki (Czechosłowacja, jak wiadomo, na mocy Traktatu Wersalskiego swobodnie korzysta z portu hamburskiego).

Dalej mówimy o Polakach. Czy wielu ich tu jest? Jak im się wiedzie? Okazuje się, że są tutaj polscy robotnicy. Głównie siedzą w Altonie (miasto tuż obok Hamburga), gdzie zamieszkują całe ulice. Wielu jest także polskich Żydów. Przyznać trzeba, że ci stosunkowo mniej ucierpieli od Żydów berlińskich. W tej retorcie, gdzie stapia się tyle różnojęzycznej i różnorasowej ludności z całego świata, odium żydowskie nie miało tej siły, co w sercu Niemiec.

Wychodzę.

Na skrzyżowaniu ulic pytam przechodnia o drogę do miasta.

— Czy pan czasami nie Polak? — odzywa się ten najczystszą polszczyzną. Do licha! Przechodzeń jest także Polakiem. Robotnik z Górnego Śląska. Już od piętnastu lat w Hamburgu.

Jak mu idzie? Nie może narzekać. Robota jest. Płacą dobrze. Lepiej, niż gdzieindziej.

Ale musimy się śpieszyć, bo pan prezydent miasta na tę godzinę wyznaczył mi widzenie.

W starym ratuszu, w stylu niemieckiego renesansu, pełno obrazów, przedstawiających historję i znaczenie miasta. Olbrżymie sale, marmury, rzeźby, boazerje, meble, kryte kosztowną, wytłaczaną skórą, herby, plastyczne mapy portu i miasta.

Pan nadprezydent pełni jednocześnie dwa urzędy: jest prezydentem miasta i głową wolnego państwa hamburskiego (bo Hamburg, jako wolne miasto, wchodzi w skład Rzeszy). Energiczny, fachowiec, przytem mąż zaufania Führera.

— Hamburg obsługuje 2.000 portów całego świata — zaczyna mówić pan nadprezydent i wodzi palcem po mapie globu. — To panu daje wyobrażenie o znaczeniu miasta. Tygodniowo opuszcza port i przybywa do portu 353 okręty. Rocznie zgórą 8.000 okrętów udaje się stąd do najdalszych krańców świata. W r. 1935 wyładowano w Hamburgu 20 miljonów ton różnych towarów wartości około 5 miljardów marek.

Jeżeli chodzi o ruch pasażerski, to w ciągu jednego roku ląduje w porcie oraz wyjeżdża z portu zgórą 100.000 osób. Resztę pokażą panu już na miejscu w porcie.

Teraz ja mówię kilka słów o Gdyni. Że też się rozrasta, że pewnie już niedługo konkurować zacznie z samym Hamburgiem. Śmiejemy się.

— No, nie tak prędko, ale niebawem, kto wie? Kto wie?... Jaki dziś stosunek? Ano taki, że jeżeli obrót roczny Hamburga wynosi 20 miljonów ton, bez węgla zaś 12 miljonów, to Gdyni cały obrót roczny stanowi 6 miljonów ton. Przeważnie jednak węgiel.

Węgiel... węgiel! Przecież my, Polacy, potrzebujemy też tego węgla. Więc pytam poprostu, jak stoi sprawa z węglem. Czy Niemcom brak go?

— Węgiel? Nie, o węgiel nie może być wojny. Straciliśmy Śląsk — to prawda, ale mamy jeszcze olbrzymie pokłady węgla w Zagłębiu Ruhry. Nie tylko nam go wystarcza, ale możemy go w dużej ilości wywozić. Więc pocóż mielibyśmy wyciągać rękę o Śląsk?

Powracamy jednak uparcie do tematu Gdyni. Nadprezydent oznajmia, że był kilka razy, że jest pełen podziwu. W ciągu tych paru lat z biednej wioski rybackiej zrobić takie cudo! Das ist kolossal!

Teraz pan prezydent ujmuje za słuchawkę. „Dam panu przewodnika, który oprowadzi go po mieście i pokaże port“.

Jakoż zjawia się niebawem dr. Werner z głównego urzędu portowego. Udajemy się samochodem do portu. Tam już czeka na nas specjalnie przygotowana motorówka z urzędową chorągiewką.

— Objedziemy sobie port dokładnie i pokażę panom najważniejsze rzeczy. — Sapiąc i dudniąc wtłacza się motorówka w nurt kanałów.

— Oto są biura linji okrętowej Hamburg — Ameryka. Linja ta posiada okręty o łącznej pojemności 1 miljona ton. Tam dalej trochę — linja Hamburg — Południowa Ameryka. Stąd idą okręty do Argentyny, Paragwaju, Chili. A znowu ta linja, tutaj obsługuje Australję, Sumatrę, Jawę, Borneo...

Mijamy teraz olbrzymie śpichrze, ciągnące się w nieskończoność. Tu, w tych oto mieści się tylko tytoń ze Smyrny i z Bałkanu. Dalej — składy produktów mineralnych. Tu, znowu, w tej hali mieszczą się składy owoców: setki tysięcy ton bananów, ananasy, brzoskwinie, winogrona. Pomidory przychodzą głównie z wysp Kanaryjskich. Cebule sprowadza się z Syrji i z Palestyny. Jabłka z Australji. Pomarańcze z Jaffy. Winogrona z Włoch i z Hiszpanji. Ananasy z Grecji.

Ile tu się można nauczyć! Cała geografja podała tu sobie ręce. Wystarczy przejść się nieco wzdłuż tych kilometrowych hal i odczytać napisy. Hale podzielono na wszystkie części świata. Tu jest Europa. Tu się mieści Azja. Tam Afryka. Tam wdole pływa-

ją cysterny, pełne oliwy nicejskiej. A z drugiej strony wznoszą się cysterny z naftą.

Całe podmurowanie portu zbudowano z bazaltu. Jeden metr kwadratowy takiego podmurowania kosztował 3.000 marek. Olbrzymy transoceaniczne — niemieckie, francuskie, angielskie, amerykańskie gwiżdżą basem i, jak słonie, mijają się, wekslują, posuwają wzdłuż brzegów Elby. Pękate „berlinki" na tle tych kolosów wyglądają jak nędzne łupinki orzechów. Dwa, trzy okręty sowieckie: „Krestjanin", „Komsomoł" i jeszcze jakiś, którego nazwa wyleciała mi z głowy.

Wielkie stocznie i doki okrętowe, w których Niemcy budują największe swoje parowce. Jakieś dźwigi potworne, mogące unieść w górę, jak piórko, potężny okręt; setki dźwigów, lewarów, kominów, pomp, wiertnic — setki nazw, instrumentów, przyrządów.

Robotnicy wyładowują worki. Chłopy silne, muskularne, twarze czarne, spalone od wiatru. Wszystko zorganizowane, zmechanizowane, jak w zegarku.

Oglądając ten ogromny, skomplikowany aparat, ilustrujący niemiecką organizację, nabiera się zrozumienia dla słów Führera, który na zjeździe partji w Norymberdze powiedział, że co innego była rewolucja bolszewicka w Rosji, a co innego byłaby rewolucja bolszewicka w Niemczech. Przecież tam mieszka 15 mieszkańców na jednym kilometrze kwadratowym powierzchni, tutaj, w Niemczech zaś, 137 mieszkańców przypada na jeden kilometr kwadratowy. To znaczy, skoro w Rosji, gdzie 80% ludności mieszka na wsi, nie można było wyżywić miast, t. j. pozostałe 20% ludności, to cóż dopiero mówić o Niemczech! W Niemczech rewolucja bolszewicka byłaby nie do pomyślenia. W okamgnieniu zniszczy-

łaby ona wszystkie te skomplikowane aparaciki i w okamgnieniu wygłodziłaby ona cały naród.

Nie, rewolucja w Niemczech byłaby naprawdę zagładą całego narodu niemieckiego. Uszkodzenie jednego z tych kółeczek państwowej i ekonomicznej maszynerji naruszyłoby całe państwo. Państwo zawaliłoby się z trzaskiem i więcej już powstaćby nie mogło.

Motorówka sunie po lśniącej od słońca tafli wody — nasz uprzejmy przewodnik ochrypł formalnie od mówienia, a ja w głowie czuję zamęt i bezwład. Teraz znowu wysiadamy i zwiedzamy jeden z tych olbrzymów-śpichlerzy, do którego robotnicy wyładowują właśnie transport juty egipskiej. I znowu odczytujemy sobie na belkowaniu tabliczki ze wszystkiemi możliwemi nazwami krajów. Tu się znowu krzyżują wszystkie nazwy świata, wszystkie kraje i tu trzeba wiedzieć, gdzie leży Gwadelupa, gdzie są Wyspy Salomona, gdzie Gambia, Azory, Jamaika i Martinika...

A nad tem wszystkiem widać wierzchołek popularnego „Michela“, t. j. kościoła św Michała, symbol miasta. Obok wznosi się przepotężny, granitowy pomnik Bismarcka na Mühlbergu. Postać kanclerza sięga 15 metrów wysokości i wywiera wrażenie imponujące.

I jeszcze jedno z cudów współczesnej techniki. Oto pod Elbą przekopano długi kanał. Obszerna winda, która służy także do zwożenia wozów i samochodów, znosi nas łagodnie na samo dno Elby i tunel długości 450 metrów prowadzi nas na drugi brzeg. Taki spacerek pod rzeką ciągnie się o 23 metry poniżej poziomu wody. Budowa tego tunelu, który w swoim czasie był istnym cudem świata, kosztowała podobno 11 miljonów marek. Bagatela!

W żadnym innym kraju prowincja nie ma tak bogatej prasy, jak w Niemczech. W Hamburgu, w Monachjum, we Frankfurcie, w Kolonji wychodzą pisma o półmiljonowym nakładzie. Można powiedzieć, że niemiecka prasa prowincjonalna wyżej stoi pod niejednym względem od prasy berlińskiej.

Ta prasa prowincjonalna trzyma własnych korespondentów zagranicą, posiada doskonale zorganizowany kolportaż na całym świecie, utrzymuje własne biura ogłoszeń, zatrudnia doskonałych publicystów, feljetonistów, literatów. Słowem — stoi na poziomie europejskim. Kiedy przychodzi na myśl porównanie tej prasy z polską, robi się cierpko. Przeczytaną gazetę pozostawia się tutaj w wagonie na ławce lub wrzuca się ją do kosza ze śmieciami. U nas gazetę chowa się troskliwie do walizki: niech przeczytają jeszcze domownicy, potem użyje się ją jeszcze do pakowania. Zaniesie się w niej buciki do szewca, albo dziecko zawinie w nią śniadanie szkolne.

W „Hamburger Zeitung" czytam obszerny feljeton o otwarciu wystawy obrazów polskich. Feljetonista nawiązuje do tradycji malarstwa polskiego, przypomina nazwiska Brandta, Chełmońskiego i wielu innych, którzy studjowali w Niemczech, w Monachjum. Na innej stronicy znajduję entuzjastyczny artykuł o występie Jana Kiepury w Hamburgu. Śpiewał partję Jontka w „Halce". Współpraca kulturalna rozwija się naogół pomyślnie. Okrężna wystawa obrazów pod kierunkiem dr. Tretera. Bracia Kiepurowie. Pani Turska-Bandrowska. Chór Dana. Tourné baletu Parnella, śpiewaczki Mankiewiczówny, współpraca w dziedzinie filmu. Najsłabiej niewątpliwie przedstawia się dziedzina literacka. Przekładów polskich książek prawie się nie spotyka. Jeżeli są (Sienkiewicz, Ossendowski, Goetel), to starsze, dawniejsze, sprzed kilkudziesięciu, czy kil-

kunastu lat. Szkoda. Pen=Club ma tu wdzięczne pole do popisu, szkoda, że tak słabo interwenjuje.

Ogłoszenia podobne jak w naszym „IKC“, ale spotyka się także typowo niemieckie. Np. na ostat=niej stronie: „Urszulka i Janeczek doczekali się bra=ciszka. Z serdeczną radością dentysta Dr. Walter Breer i pani Lili, z domu Worthmann. Altona“, albo: „Erhardzie, zjawiła się twoja siostrzyczka! Walde=mar Stawenow i pani Katarzyna, z domu Bohnhoff. Hamburg, 7 styczeń, 1936 r.“. Albo: „Każdy, kto pragnie się poważnie ożenić, znajdzie wielorakie możliwości w „Związku małżeńskim“, Mittelweg 121, tel. 4433396“.

Strach pomyśleć, jakby wyglądał nasz „Kurjer Warszawski“, gdyby weszło w zwyczaj ogłaszanie u nas urodzin dzieci. Przy naszym przyroście lud=ności!

— Co zrobimy z resztą tak pięknie rozpoczętego dnia? — Mój kuzyn operuje zręcznie nożykiem ana=nas, który kupiliśmy w porcie i chytrze spogląda na mnie spod oka.

Wielki Boże, więc on ma jeszcze siły na dalszą wędrówkę!

— Wiesz — powiada — wartoby teraz, pod wie=czór, zwiedzić te słynne spelunki portowe Hambur=ga... Będziesz miał moc materjału do pisania.

Czy mogę mu powiedzieć, że czuję się zmęczo=ny? Czy mogę mu się przyznać, że po całym dniu bieganiny od portu do zwierzyńca Hagenbecka, od zwierzyńca do konsulatu, od konsulatu do magistra=tu — najchętniej położyłbym się do łóżka?! Ten siedemdziesięcioletni starzec jest niezmorzony. Po=każę mu, że potrafię dotrzymać mu kroku.

— Idziemy!

Owym podelbskim tunelem przeprawiamy się na drugą stronę rzeki. Upalna noc czerwcowa otacza nas dokoła, a w górze świecą gwiazdy. Ulice błyszczą i jarzą się setkami reklam neonowych. W każdym domu jest dancing, w każdym domu słychać muzykę i odgłosy zabawy. To dzielnica portowych knajp. Wchodzimy do jednej z nich.

Urządzona na wzór piekła. Groźne szatany i belzebuby o powykrzywianych pyskach przyjmują nas naiwnie i dobrodusznie. We wgłębieniach piekielnych, w których iskrzą się tajemnicze czerwone światełka, są łoże, w których przytulają się do siebie zakochani. Gdzież te wilki morskie, złowrogie, ogorzałe, zuchwałe? Rozglądamy się nadaremnie. Z jakiegoś kąta podnosi się od stolika, na którym stoi kufel piwa, jakiś starszy, niedołężny pan i pomyka do wyjścia.

— Jeden stary piernik ucieka już ze strachu na widok dwóch „wilków morskich" — kuzyn śmieje się z mojej zawiedzionej miny. Zamawiamy piwo.

Naiwność i prymitywny smak urządzenia knajpy przypomina trochę ów słynny kiedyś paryski „Cabaret du Néant", w którym znowu wszystko urządzone było nakształt trupiarni. Truposze wymalowane na obrazach, kelnerzy w strojach grabarzy, stoły w formie trumien. Wychodzimy.

Pewien napotkany przechodzeń poleca nam renomowany zakład, będący równocześnie muzeum zbiorów marynarskich z całego świata.

W „Gospodzie kapitana Haase" istotnie znaleźliśmy poszukiwaną egzotykę. Niewielka salka, od dołu do góry wypełniona fantastycznemi zbiorami. Jakieś rogi przedpotopowego zwierzęcia, jakieś bożki murzyńskie, ryby wypchane u pułapu, modele statków, krokodyl olbrzymi, kołyszący się na haku...

Kelner, który zarazem pełni tu odpowiedzialne

funkcje cicerone, kłania nam się gestem trubadura i oznajmia, że właśnie za chwilę rozpocznie oprowadzać nas po tem przedziwnem muzeum.

Przy stolikach po dwóch, trzech marynarzy spijają grog. Pyszny, słynny hamburski grog, jakiego nigdzieindziej nie dostaniesz. Jakże go się pije? Stawiają przed nami szklankę z wrzątkiem, kieliszek rumu, cukier i szklany patyczek. Obserwuję marynarzy, jak się z tem obchodzą. Ano, zwyczajnie. Wlewa się rum do szklaneczki, słodzi mocno, miesza patyczkiem i wypija się możliwie jednym łykiem. Djabelski trunek odrazu bije do głowy! Do grogu podają tutaj na zakąskę t. zw. „kości Ghandiego", t. j. poprostu długie, suche solanki.

— Bitte, einmal Grog!

I tak cochwila. Wytrawny marynarz takich szklanic wychyla za jednym zamachem po dziesięć, dwanaście sztuk!

— Meine Herren und Damen! — to kelner-cicerone rozpoczyna swój wykład. Cisza. — Tutaj oto widzicie państwo wypchanego nurka. Sławny był nurek. Na głowie ma kubełek, zwany przez fachowców skafandrem. Widzicie oto, jak olbrzymia ryba godzi w niego długim, ostrym dziobem. Ale nurek szybko wyciąga z zanadrza rewolwer i kropi w rybę-potwora. Był to historyczny wypadek, dlatego go też uwieczniono.

Niektórzy wstają z miejsc i podążają za kelnerem, który z humorem opowiada o przedziwnych dziejach zbiorów.

— To jest wizerunek głośnej królowej Sumatry, która jest znana w historji z tego, że dawała 16 litrów mleka dziennie!

Im większy nonsens, tem głośniejsze wybuchy śmiechu. Niektórzy biją brawo.

— A oto jest mumja Napoleona, kiedy miał lat

piętnaście. Dalej nieco widzicie mumję tegoż samego Napoleona w wieku sędziwym... Ten grzebień? To jest, mój panie, słynny grzebień Lorelei... Nie czytał pan Heinego? A to znowu zęby pewnej morskiej ryby. Obok widzicie szczękę tejże samej rybki, kiedy dostawała mleczne ząbki!

Do gości przyłącza się także miejscowy artysta-muzyk. Gra on jednocześnie na kilku instrumentach. Pianino oburącz. Jedną nogą pedałuje ogromny bęben, drugą przytupuje sobie do taktu. Zarazem spiewa skoczne piosenki, które chóralnie podchwytują goście.

Kiedy skończyło się oprowadzanie po muzeum, muzyk zasiadł do swojej orkiestry.

— Co państwu zagrać?

— Alle hübsche Weibchen! Alle hübsche Weibchen! — ryczą marynarze, stare, wypłowiałe już na morzach wilki morskie.

I po chwili cała sala rozbrzmiewa refrenem:

„O Zuzanna!
Wie ist das Leben schön!“

Za bufetem siedzi sama właścicielka ansztaltu. W pewnej chwili podnosi się i zbliża się do nas.

— Smakuje? Dobre?

Więc powiadamy, że owszem, grog jest pyszny.

— Ba, ba, echt hamburger! — śmieje się i przysiada do nas. — Kuzyn szarmancko zamawia dla niej porcję grogu.

— Więc jakże idzie pani ansztalt?

Nie, nie narzeka. Odziedziczyły ten zakład po kapitanie Haase dwie jego siostrzenice. Stare panny nie bardzo nadawały się do prowadzenia interesu, więc go odsprzedały. Ale stary Haase postawił był przed śmiercią dwa warunki: zakład może być odstąpiony tylko w „dobre“ ręce, a także: niewolno zbiorów sprzedać do Ameryki.

— Niedawno pewien Amerykanin dawał mi za te zbiory 5.000 dolarów — powiada z dumą pani Spitzing. — Ale nigdybym tego nie sprzedała. To przecież największa atrakcja mojej budy. No nie!

Pośpiesznie potwierdzamy jej słowa. Kapitalne zbiory!

Teraz jejmość — już po trzecim grogu — rozczula się i wpada na teren zwierzeń osobistych. Utrapienie miała z zięciem. Gagatek cały posag jej córki — 60.000 marek — przebębnił w Monte Carlo. A znowu syn — otarła oczy fartuszkiem — studjował prawo, moi panowie — w wieku lat 20-u utonął w Elbie...

Podnosi się i po chwili przynosi nam dwie fotografje: córeczka z potomstwem na jednej, a na drugiej syn, który się utopił.

— No, ale prosit, liebe Frau Spitzing!

— Prosit! Prosit! — Mamie Spitzing wysychają powoli łzy. Troski swoje topi w grogu.

Kuzyn ją emabluje, jak może. Babina jest tak wzruszona, że wznosi na głos toast na cześć Polski. Wilki morskie — zdumione zrazu — widzą jednak, że cudzoziemcy, więc grzecznie wstają także i stukają się szklaneczkami.

Siedzimy do późnej nocy. Mama Spitzing jest tak wzruszona i podniecona, że wychodzi z nami do najbliższego przystanku tramwajowego i długo jeszcze kiwa nam przyjaźnie ręką na pożegnanie.

W hotelu — siurpryza! Zastajemy uprzejme zaproszenie od dyrekcji zwierzyńca Hagenbecka.

Więc nazajutrz z samego rana — jazda do Hagenbecka! Jedzie się tramwajem, dobre pół godziny, w stronę Altony. Zwierzyniec mieści się w dzielnicy Stalingen i zajmuje kilkanaście hektarów powierzchni. Ba, największy przecież na świecie.

Założył go w połowie zeszłego stulecia papa Ha-

genbeck, który po kuzynie, podróżniku zamorskim, odziedziczył był kilkanaście fok. Co począć z taką schedą? Papa Hagenbeck poszedł do knajpy i pił ze zmartwienia. Foki wyły z głodu i nikt ich nie chciał kupić. Kamrat jakiś, przypadkowo spotkany, poradził: Poślij je na wystawę berlińską. I cóż? Posłał je tam stary Hagenbeck. Foki zrobiły furorę. Zaczęły zarabiać na życie. Więc Hagenbeck wpadł na pomysł urządzenia zwierzyńca. Powoli, powoli skupywał przeróżne okazy drapieżników. Sam niebawem zaczął jeździć i buszować po Australji, Afryce, Amerykach. Skupował, zwoził, gromadził. I oto powstał największy na kontynencie zwierzyniec. Duma Hamburga.

Tuż za bramą widać bardzo piękną rzeźbę, którą papie postawlii synowie, dzisiejsi właściciele zwierzyńca, Heinrich i Lorenz. Papa Hagenbeck, poczciwy pan z rybacką bródką, stoi na skale w tużurku, a do jego nóg tuli się olbrzymi, pyszny lew. Sielanka!

Cały ogród, zbudowany według planów sławnego holenderskiego architekta, imituje do złudzenia naturalne krajobrazy różnych części świata. Więc małpy i kozice mają pobudowane ogromne skały z piaskowca — cud architektoniczny ubiegłego stulecia! — lwy, słonie, hipopotamy znajdują tu takie warunki bytowania, jakie miały u siebie na wolności. Stada ptactwa rozkoszują się w obszernych, sztucznych sadzawkach.

Pół dnia trzeba poświęcić na obejrzenie całego rozległego terenu hagenbeckowego zwierzyńca! Godzinami można stać także przed klatkami z małemi niedźwiadkami, które baraszkują zupełnie jak małe dzieci. Albo — małpy! Jest więc specjalny budynek dla małp „człekokształtnych“. Szympanse i goryle. Ileż ludzkich grymasów, gestów, figlów! Ile inteligencji przebija z oczu szympansa, jak ludzkie są

kształty jego łap i jak zręcznie niemi — po ludzku! — gestykuluje.

Dzieci mają tu inną część parku, w której spędzają najchętniej cały czas. Cała dzielnica, to dzielnica karlików. Malutkie domki, w których mieszkają karłowate kucyki. Ówdzie króliki baraszkują na łące, na której pobudowano śmieszne, ludzkie domki. Wspaniały, minjaturowy kocz, zaprzężony w cztery karłowate lamy, wiezie dzieci na spacer. Krzyk, pisk, śmiech nie ma granic.

Trzeba się jednak już żegnać z Hamburgiem. Czas w dalszą drogę.

PAN HAAS POKAZUJE NAM BREMĘ.

Prastare miasto hanzeatyckie. Dziś „wolne miasto“, jak Hamburg, jak Kolonja. Siedziba odwiecznych rodzin mieszczańskich, patrycjuszowskich. 320.000 mieszkańców. Więc tak mniejwięcej, jak Lwów albo Poznań...

W antycznym Rathauskellerze przysiadamy się pod wieczór do stołu kilku siwobrodych patrjarchów. Dostojni brodacze wyglądają, jakby mieli po sto lat każdy — conajmniej! Mają wygląd emerytowanych profesorów.

— Co za jedni? Wiesz, ten z boku napewno ma już setkę? — powiadam szeptem do kuzyna.

— Spytaj go!

— Ba, a jeżeli się obrazi...

Staruszek jednak nie tylko nie obraził się, ale zaraz wszedł w pogawędkę.

— Cudzoziemiec? Polak! Ba, znam Polskę dobrze. Byłem w czasie wojny w Suwałkach. Jako żołnierz. — Wyciąga ze zrudziałego portfelu starą, wyblakłą fotografję. „To właśnie w Suwałkach“...

Gadu-gadu... Nie, wcale nie jest jeszcze taki stary, jak myślę. 65 lat wszystkiego. Na to ja: „No, no“... Ale się nie obraża.

— Jakże pan myśli — zagaduję go obcesowo. — Będziemy mieli wojnę?

A on na to:

— Ma pan dużo pieniędzy?

Powiadam, że niewiele. Kto ma dzisiaj nieniądze?

— No właśnie. A my, Niemcy, wcale nie mamy pieniędzy. Nędza. Za co mamy wojować!

— Ale zbroicie się! A to kosztuje.

— Tak... Więc mielibyśmy czekać, aż nieprzyjaciel wtargnie do nas?... Musimy się bronić. Dotychczas pokonaliśmy, proszę ja pana, dwie przeszkody, które tamowały nasz rozwój. Skończyliśmy z Żydami. Raz. I dwa: przekreśliliśmy Traktat Wersalski. Teraz kolej na kolonje. Musimy odebrać nasze stare kolonje. Przedewszystkiem — Kamerun! Skoro nikt w Europie nie chce brać od nas towarów, musimy odzyskać kolonje, które gospodarczo uniezależnią nas od naszych kochanych sąsiadów.

Potem zgadało się o Żydach. Ostatnie wydarzenia w Berlinie...

— Żydzi? Nie, Żydów niema w Bremie. Znajdzie ich pan jeszcze w Hamburgu, no, a najwięcej we Frankfurcie nad Menem. Do roku 1848 istniało prawo, zabraniające Żydom osiedlić się w Bremie. Chwała Bogu! Potem ich jednak trochę napłynęło...

Dostojny brodacz w pewnej chwili nachyla mi się do ucha i szepcze: „Jeśli panowie potrzebują tutaj przewodnika, to służę“. Naturalnie, przyjmujemy tę ofertę z największą submisją i dziękczynieniem. Taki solenny profesor uniwersytetu pragnie nas osobiście oprowadzić!

Żegnamy się tedy pośpiesznie z resztą towarzystwa i wyruszamy na miasto. Idę nieco styłu za oby-

dwoma panami i przyznać muszę, że aparycja na=szego dostojnego amfitrjona przedstawia się do=prawdy imponująco. Idąc, opiera się na jakiejś an=tycznej lasce z gałką z kości słoniowej. Głowa do góry. Krok feldmarszałka. Słowem — jakby odżyła przed nami postać starego hanzeatyckiego patry=cjusza.

Mijamy pośpiesznie stary rynek. Na nim jedna z najstarszych na świecie figur Rolanda. Zarazem symbol miasta. Pomnik pochodzi z roku 1404, jeden z najpiękniejszych zabytków antycznej rzeźby nie=mieckiej. W prawej dłoni dzierży miecz, na lewem ramieniu spoczywa tablica z herbem: dwugłowy orzeł. Vis à vis stary ratusz gotycki z renesansową fasadą. Idziemy dalej z dziwnym jakimś atoli pośpie=chem. Gdzież on się tak śpieszy? Okazuje się, że pragnie nam jeszcze pokazać pewną oryginalną knajpkę. Nie wypada odmówić. Zamawiam flaszkę pysznego, wystałego wina mozelskiego. Na chwilę powstajemy, aby obejrzeć na szybie okiennej pod=pis cesarza Wilhelma II=go. Stary pan z respektem spogląda na gryzmoły cesarza, który sobie tu kiedyś podpił i brylantem własnoręcznie...

Stary pan pamięta jeszcze cesarza i na wspom=nienie jego rozrzewnia się do łez. Zastanawiam się przez chwilę, czy to nie wino wypadkiem tak roz=czuliło patrycjusza.

Gospodarz, widząc, że cudzoziemcy, przynosi ogromną księgę pamiątkową. Widzimy tu autentycz=ne podpisy cesarza, księcia pruskiego, dwóch Wit=telsbachów i feldmarszałka Hindenburga. A oto pi=smo z kancelarji prezydenta Hindenburga, zamawia=jące 150 flaszek wina mozelskiego.

Herr Haase, tak bowiem nazywa się nasz amfi=trjon, opowiada nam wiele o Bremie. Trzeba przy=znać, że dobrze zna dzieje miasta.

— Jedno z najstarszych niemieckich miast portowych,, moi panowie... Słynne, jako europejski rynek bawełny. Leży nad Wezerą, którą sobie później oglądniemy; o 70 km. od ujścia rzeki. Nazwa Bremy dawniej brzmiała „Bremun“ i pochodzi od dünn piaszczystych, które jeszcze dziś spotyka się pod miastem obficie. Znaczenie swoje zawdzięcza Brema Karolowi Wielkiemu, który miasto w r. 787 przekazał biskupowi Willehad. W r. 1646 ogłoszono Bremę wolnem miastem. Odtąd razem z Hamburgiem i Lubeką tworzyła ona słynną Hanzę. Rozwój tych miast poszedł szybkim krokiem. Brema wchodzi w stosunki handlowe z całym światem i otwiera własne przedstawicielstwa w Londynie, Stockholmie, w Rydze, Nowogrodzie, Brukselli. Wchodzi też niebawem w bliskie związki ze Stanami Zjednoczonemi i pierwsza spośród państw późniejszej Rzeszy zawiera z niemi w r. 1827 traktat handlowy i traktat przyjaźni.

Niebawem też powstaje w Bremie wielki przemysł. Powstają fabryki maszyn, narzędzia młynarskie, cementownie, browary piwa eksportowego, fabryki tytoniowe, fabryki juty i t. d.

Ciekawe też bardzo zjawisko, że Brema nie ma swojej słodkiej wody. Woda z Wezery nie nadaje się do picia. Budują więc bremeńczycy olbrzymie wodociągi i rurami sprowadzają wodę aż z gór Harzu, z odległości zgórą 200 km.

Miasto par excellence szlacheckie, patrycjuszowskie, żyjące tradycjami. Pod tym względem nieco do naszego Wilna podobne, gdzie też mieszczaństwo przeważnie pochodzi ze szlacheckiego elementu polskiego.

Pan Haase także... Płacę za wino. Wstajemy. Wychodzimy. Pan Haase znowu się gdzieś bardzo śpieszy. Już nie ma on tego dostojnego kroku. Powie-

działbym nawet, że się lekko zatacza. Mruga na mnie porozumiewawczo i powiada, że takiej knajpy, jaką teraz zobaczymy, jeszcześmy nie widzieli. Więc ja skolei trącam mego kuzyna i rozkładam bezradnie ręce. Czyżbyśmy mieli same knajpy tutejsze oglądać?... Ale czy podobna odmówić grzecznemu patrycjuszowi!

Posuwamy się wąskiemi uliczkami, takiemi, jak u nas na Starem Mieście. Zmierzch zapada. Przed domki wyległy bremeńskie kumoszki i opowiadają sobie swoje sensacje.

Z kątów wyłażą olbrzymie czarne koty, nawołują się miłosnem miauczeniem i podążają gdzieś za swojemi kociemi sprawami.

Przy Böttcherstrasse mieści się inna „słynna" restauracja, do której nas papa Haase musiał zaprowadzić. Tym razem zamawiam już tylko piwo. Dosyć, panie Haase! I tak już ledwo się pan trzyma na nogach.

Restauracja „St. Petrus" słynie ze zbiorów starosaskiej porcelany. Dokoła obszernej sali ciągną się półki, a na nich stosy talerzy, dzbanów, kielichów, spodeczków. Sufit z belek, pokrytych pięknemi, staremi ornamentacjami.

Za przyzwoleniem papy Haase'go, który się już lekko zdrzemnął, kupujemy z kuzynem kilka kart i posyłamy „Grüsse und Küsse" bliskim i znajomym. Ale papa już się ocknął. Płacę. Wstajemy. Ruszamy dalej. Papie Haase przypomina się nagle, że nie pokazał nam w piwnicy ratuszowej słynnych fresków Maxa Slevogta, malowanych na tle znanych bajek Wilhelma Hauffa.

Musimy wracać, ale ja już bardzo nieufnie. Freski, istotnie, przecudne. I niesamowite. Jakieś djabelskie pyski, jakieś zwierzaki przy stole, jakieś ba-

by=jędze, w najbardziej koszmarnych snach wyśnio=ne. Jako dzieło sztuki — arcypiękne!

Znowu jedzie na stół wino. I papa Haase już prze=biera miarę. Cała jego „profesorska“ dystynkcja i wyniosłość bierze teraz w łeb. Nawet coś śpiewać zaczyna. Odchodzę na chwilę na bok. Tam łapie mnie kelner. „Panie, powiada, zdaje się, że panowie nie mogą się od papy Haase uwolnić. Więc uważam za swój obowiązek przestrzec. To słynny tutejszy birbant. Nie wypuści was z garści, póki nie przepi=jecie z nim ostatniej marki“.

Trzeba się więc było wziąć na kawał. Mówimy papie Haase, żeśmy tu już zastawili parę kosztow=nych drobiazgów. Ogłaszamy bankructwo. Jakoś w samej rzeczy jego zapał do dalszych wędrówek prze=chodzi. Żegnamy się jak starzy, dobrzy przyjaciele.

Wracam do kelnera, dziękuję mu i pytam, kto zacz ten dostojny starzec, któremu zawdzięczamy tak dokładne poznanie „życia nocnego“ Bremy. Ja=kiego też to uniwersytetu profesor?

— Professor? Das ist kein Professor. Er ich ein einfacher Zimmermann; poprostu zwyczajny cieśla!

Byłem moralnie przybity. Słynny miejscowy cie=śla i w dodatku birbant niebezpieczny. W ładneśmy wpadli ręce!

Ale to jest właśnie w Bremie typowe, że nawet zwykły cieśla okrętowy pochodzi tu ze starej, miesz=czańskiej rodziny, której nie powstydziłby się u nas niejeden arystokrata.

Schodzimy sobie już sami, nad brzeg Wezery. Wzdłuż brzegów ciągnie się aleja, wysadzana kaszta=nami i magnolją. Klimat tu wyjątkowo łagodny dzię=ki ciepłym prądom Golfströmu, stąd i flora piękniej=sza i bardziej urozmaicona.

Port. A raczej 20 portów okrętowych, połączo=nych kanałami. A na przestrzeni 43 kilometrów cią=

gną się olbrzymie składy, magazyny, doki okrętowe, lewary. Baron Teodor von Drachenfels, prezes urzędu zagranicznego dla handlu, przydziela nam specjalnego urzędnika dla zwiedzenia portu.

Kolosalny rozwój portu datuje się od połowy w. XIX-go. Założony tu w r. 1859 „Norddeutscher Lloyd" połączył Bramę z portami całego świata. Brema w szybkiem tempie stała się głównem miastem kontynentu pod względem importu bawełny. Po Liverpoolu, to drugi w Europie centralny punkt handlu bawełną. Również znane jest miasto, jako punkt środkowy w handlu wełną. Surowiec sprowadza się z Australji, z Hiszpanji, z Południowej Ameryki, a tutejsze przędzalnie przerabiają produkt w setkach odmian. Na trzeciem miejscu stoi jedwab. Sprowadza go się z Chin i z Japonji, stąd zaś wysyła się jedwab do wszystkich prawie krajów europejskich. Dalej znana jest Brema z handlu tytoniem. Surowiec przychodzi tu z Turcji, państw bałkańskich, z państw Ameryki Południowej. Nawet duży kontyngent rynków holenderskich odkupuje rynek bremeński, przerabia go na miejscu we własnych fabrykach i odsprzedaje dalej.

Oczywiście, w ostatnich latach obrót Bremy znacznie się skurczył. Na przeszkodzie jej dalszemu rozwojowi stanęły trudności dewizowe. Brema z trudnością już odsprzedaje swoje produkty i towary innym krajom. Przestaje powoli być łącznikiem, zaopatrującym obce rynki w produkty kolonjalne. Do tego upadku Bremy, zarówno jak i innych portów niemieckich, w pierwszej linji przyczyniło się pozbawienie Rzeszy własnych kolonij. Kto nie widział Hamburga, Bremy lub Lubeki, temu trudno pojąć, czem dla tych miast był Kamerun, czem były własne linje okrętowe, mające powszędy na globie ziemskim własne agentury, wyspy, porty, dostarczające

najtaniej surowca. Dlatego też te odwieczne, bogate miasta hanzeatyckie na odjęciu im kolonij ucierpiały najdotkliwiej.

Nie ulega wątpliwości, że kolonje są Niemcom potrzebne i niezbędne. W ostatnich czasach za odzyskaniem utraconych kolonij prowadzi się w Niemczech i zagranicą gorączkową propagandę. Nie ulega kwestji, że podział mandatów kolonjalnych powinien ulec zmianie. Nie jest rzeczą słuszną, żeby tak słabe państwa, jak Portugalja np., niedołężnie gospodarowały obfitemi kolonjami, a Niemcy, albo Polska, kraje, dla których rozwoju kolonje są niezbędne, miały ich być pozbawione. Zarówno Niemcy, jak i Polska mogą i powinny domagać się przydziału mandatów kolonjalnych. Przemawia za tem ich prawo do życia, prawo do egzystencji ich obywateli.

Mimo kryzysu, mimo spraw, omówionych wyżej, nie widać tu w porcie bezroboczych, nie widać wałęsających się próżniaków. Wydaje się, że ten moloch, zorganizowany od tysiąca lat, potrafi jeszcze pochłonąć każdą jednostkę, obdarzoną mięśniami i odrobiną energji. Te mięśnie i ta energja przetworzona znajdą tu jeszcze zastosowanie w dokach okrętowych, gdzie od niedawna panuje gorączkowy ruch. Tu buduje się nowa niemiecka flota. Tu zbudowany został do niedawna jeszcze największy transatlantyk „Brehmen", tu zamawiają okręty mniejsze państwa.

Miasto, do życia powołane przez Karola Wielkiego, nie daje się pochłonąć kryzysowi. Idzie swoim własnym rozpędem. Nagromadzone w ciągu wieków bogactwa wciąż jeszcze nie są wyczerpane. Ale Brema nie chce zginąć. Chce się rozwijać dalej. Dlatego też tutaj głównie, w portach dawnej Hanzy, odbywa się najbardziej intensywna, najbardziej zacietrze-

wiona walka o zwrot, czy też przydział nowych kolonij.

A możeby i papa Haase wtedy wziął się do uczciwej roboty w dokach, a przestał naciągać naiwnych zagranicznych korespondentów?

„ŻELAZNY KANCLERZ"—OLBRZYM Z MÓZGIEM NEURASTENIKA.

Żeby należycie zrozumieć światopogląd narodowo-socjalistyczny, światopogląd o którym twórca jego i teoretyk, Adolf Hitler, powiada, że nie jest on towarem na eksport, a że jest natomiast wynikiem psychiki narodu niemieckiego — trzeba wprzód poznać niemiecką filozofję, która na światopogląd ten wywiera wpływ niemały.

Nie znaczy to bynajmniej, że ten właśnie światopogląd zawdzięczają Niemcy swojej filozofji. Jak się okaże, np. filozofja Nietzschego nic albo bardzo niewiele wspólnego ma z niemieckością (jako afirmacja elity, arystokracji ducha, „nadczłowieka" jest ona raczej przeznaczona dla narodu indywidualistów i bardziej pasuje do polskiego szlachcica, niż do „zglaichszaltowanego" junkra). Chodzi tu jednak o coś całkiem innego. Chodzi, mianowicie, o szkołę, o metodę, jaką przeszedł każdy Niemiec, zanim wstępuje na arenę życia społecznego.

Żaden inny naród nie byłby zdolny do podporządkowania się rygorom obecnego niemieckiego światopoglądu, gdyby nie wpływ Kanta, który stworzył Niemcom odrębny systemat filozoficzny ze swoim „imperatywem kategorycznym" na czele, gdyby nie wpływ Nietzschego z jego „wolą mocy", „wolą siły". Kant podwakroć pozwolił się zjednoczyć Niemcom: raz w Pierwszej Rzeszy pod egidą

Bismarcka, po raz drugi w Trzeciej Rzeszy pod przewodem Adolfa Hitlera.

Schopenhauer natomiast ze swoim systematem, nawskroś pesymistycznym, mniejszy już wywarł wpływ na kształtowanie się nowego ruchu politycznego. Jest to filozof dla indywidualistów, intelektualistów, a więc mniej już nadający się dla Niemców, mniej odpowiadający ich temperamentowi.

Niemcy nie są krajem indywidualistów. Przeszli oni twardą szkołę Fryderyka Wielkiego, później Żelaznego Kanclerza. Obaj ci mężowie wytrzebili ze łbów junkrów wszelkie ludzkie marzycielstwo, wszelki arcyludzki sentyment („Cóż to, draby, wiecznie chcecie żyć?“ — słowa Fryderyka Wielkiego), wszelki arcyludzki egotyzm.

Nie znaczy to jednak, aby udało im się stworzyć jakichś nadludzi z żelazną wolą, z żelaznemi nerwami. Dali zato rodakom znakomitą szkołę, zbiorową dyscyplinę, nieporównaną karność ludzkiej gromady. Transpozycją filozoficzną tej fryderycjańskiej szkoły stała się dopiero niebawem filozofja Nietzschego, która jednak, jak to zobaczymy, okazała się dla Niemców źle skrajana. Jak marynarka, okazała się na wyrost.

Dlatego też nasza nieznajomość psychiki niemieckiej staje się czasami rozbrajająca. Sąsiadujemy z nimi o miedzę, a znamy ich tyle, co Abisyńczyków. Podziwiając niemiecką wolę, energję, zdolności organizacyjne, karność, ład — mimowoli nabieramy dla nich respektu i w duchu zazdrościmy im tych talentów, jak czegoś nieosiągalnego. Otóż to jest niedorzeczne, iż wydaje nam się, że Niemcy niejako od urodzenia do tych cech swego charakteru są predestynowani, że posiadają coś, czego my, Słowianie, w żaden sposób osiągnąć nie możemy.

Tymczasem tak nie jest. Cechy te nie są cechami

wrodzonemi u Niemców. Są to cechy, nabyte właśnie w mozolnej, ciężkiej szkole, w pracy nad kształce= niem własnych charakterów. A wiadomo z biologji, że cechy nabyte nie dziedziczą się. Żydom od tysięcy lat obcina się napletek, a mimo to niemowlęta ży= dowskie zawsze rodzą się z napletkiem. Powie ktoś — rasa germańska, rasa nordyczna. Później dowie= dziemy, że jesteśmy w niemniejszym stopniu nordy= kami, jak Niemcy.

Tylko umiejętności szkolenia charakterów za= wdzięczają Niemcy wspaniałe efekty, jakie osiągają zbiorowym wysiłkiem.

Weźmy typowy przykład. Bismarck, „Żelazny Kanclerz", symbol germańskiej siły, potęgi, grozy. Kimże był w istocie ten tytan, którego granitowy, przeogromny pomnik w Hamburgu przedstawia nam jakiegoś groźnego germańskiego Wotana? Czy istot= nie był tak „żelazny", jak to nam przekazała histo= rja i tradycja? Jakąż odmienną od tej, jakiej spodzie= waliśmy się, sylwetkę przedstawia nam świeżo Er= nest Kretschmer w słynnem dziele „Ludzie Genjalni" (przekład P. Hulki=Laskowskiego, „Dzwon", War= szawa).

W świadomości ogółu Bismarck był i jest dotąd jakąś siłaczą postacią starogermańskiego bohatera, prostym, odważnym rębajłą, kowalem, który wykuł Rzeszę swemi atletycznemi mięśniami i żelazną wo= lą, człowiekiem z krwi i żelaza, bojącym się tylko Boga, a pozatem niczego na świecie, jednem słowem uosobieniem niezłomnego zdrowia i niemieckiej za= cności.

Naprawdę wyglądał Bismarck zgoła inaczej. An= gielski malarz Richmond powiada o nim: „Jest po= prostu czarujący, uprzejmy, nerwowy, jednem sło= wem subtelny człowiek. Zapytałem go, czy jest na= prawdę żelaznym Bismarckiem. Nie, odpowiedział

mi, moja bezwzględność jest przyswojona. Cały składam się z nerwów i to do tego stopnia, że opanowanie się jest jedynem zadaniem mego życia". Że to nie były frazesy, tego dowodzi fakt, iż Bismarck był wnukiem chorobliwie przesubtelnionego dziadka i synem matki, która stałą swoją chorowitością, ciągłym nerwowym niepokojem, brakiem czułości i nadmiarem bezwzględnego egoizmu całkowicie odpowiadała histerji degeneratywnej.

Już młodość Bismarcka, osobliwie jego lata dojrzewania, wymownie charakteryzuje stałe niezadowolenie z siebie i ze świata, brak równowagi i stałości. Od lat studenckich, aż do chwili zaręczyn życie jego było hałaśliwe i awanturnicze; składały się na nie jakieś siłackie pijatyki, wyprawy konne i sprawy pojedynkowe, a wszystko to pochodziło nie z nadmiaru młodzieńczej radości, lecz miało podłoże w ponurem usposobieniu człowieka, który rozpadł się z Bogiem i ze światem. Do tego dodać trzeba jakąś zygzakowatą linję przy poszukiwaniu i wyborze powołania; linja ta przebiega w podskokach, od gospodarstwa rolnego ku urzędowi, urywa się tu i owdzie, wykazuje brak decyzji i mnóstwo czynów afektywnych, jak np. wyjazd bez urlopu pod wpływem jakiejś chwilowej miłostki. Jego usposobienie waha się bezustannie między krańcowemi przeciwieństwami: marzycielska, głęboka tkliwość idzie tu w parze z chłodną elegancją interesującego światowca, a bezwzględny, sceptyczny ateizm kojarzy się w nieoczekiwany sposób z pietystyczną prawowiernością. Jego wybuchową i impulsywną drażliwość, która nie krępowała się nawet wtedy, gdy chodziło o rzeczy bardzo ważne, najlepiej charakteryzuje ładna anegdotka o tem, jak nadprezydent von Meding kazał młodemu Bismarckowi czekać na siebie w przedpokoju. Bismarck, zniecierpliwiony, nie czekał, a na odchodnem

rzekł do starego odźwiernego: „Powiedz panu nadprezydentowi odemnie, że poszedłem, ale że już więcej nie przyjdę“.

Tak samo w dojrzałych latach męskich nie wyróżniał się Bismarck nigdy równowagą, spokojem i skupioną siłą. Jego nerwowa drażliwość była dla współpracowników takim samym postrachem, jak jego ekscentryczny tryb życia, w którym noc stawała się dniem, a dzień nocą: w ciągu kilku nocy zrzędu potrafił trzymać współpracowników w biurze, dyktując im swoje dyspozycje, a potem sypiał do samego południa. W porównaniu z popularnem wyobrażeniem go sobie na podobieństwo starogermańskiego bohatera dość pociesznie wygląda „biedny, chory robaczek“, jak nazywała go jego żona. Istotnie, człowiek ten cierpiał przy każdej wyjątkowej sposobności na przemęczenie nerwowe, na reumatyzmy, zaziębienia i najdokuczliwsze nerwobóle; na wyżynach historji, jak np. po bitwie pod Hradcem Królewskim, potrafił dostać psychogennych spazmów, a nieraz całemi tygodniami leżał w łóżku i wymiotował żółcią, gdy się mocno rozgniewał.

Czy Bismarck był prostackim rębajłą? Zapewne, ale czyż jednocześnie nie był raczej chytrym lisem w podstępnej grze intryg zwyrodniałej europejskiej dyplomacji? Czyż nie był imperjalistycznym egoistą, pozbawionym wszelkich skrupułów, graczem, który hazardownemi swemi stawkami nieraz narażał na niebezpieczeństwo tron królewski i istnienie państwa, któremu służył? Czyż nie był wszędzie i zawsze chytrym rachmistrzem? Popierał np. rewolucję na Węgrzech, podczas gdy w kraju własnym był najzacieklejszym reakcjonistą; posługiwał się Napoleonem, aby go następnie wyprowadzić w pole; z głębokiego przekonania i z potrzeby uczuciowej był jed-

nego dnia zachowawcą, aby dnia następnego, dla ja=kichś względów taktycznych, stać się liberałem.

A teraz przyjrzyjmy się Bismarckowi, jako po=słowi zagranicznemu, czyli zblazowanemu, preten=sjonalnemu salonowcowi, któremu nawet obyczaj francuski wydawał się zbyt prostacki i który dobrze czuł się jedynie wśród najwyższych przedstawicieli arystokracji rosyjskiej. Był to aż do schyłkowości przecywilizowany dworak, wytworny causeur, przy=jaciel cesarzowej=matki, miłośnik muzyki, marzący z wielkiemi księżnemi rosyjskiemi przy księżycu i przy sonatach Beethovenowskich, wzruszający się muzyką aż do łez, rozmiłowany w naturze i w samot=nych dumaniach, a zarazem troskliwy, subtelny mał=żonek, dowcipny stylista, autor politycznych bon=motów i dobrze wyostrzonych point.

Im głębiej wnikamy w osobowość Bismarcka, tem wyraźniej widzimy, że był to człowiek skompliko=wany, nawskroś współczesny, nerwowy i zmieniają=cy się z dnia na dzień.

Oczywiście, był Bismarck także człowiekiem pro=stym, wiernym i dzielnym, i to dzielnym w stopniu najwyższym, ale jednocześnie i czemś zgoła innem jeszcze. Był on powikłanem i konsekwentnem ostat=niem ogniwem dziedziczności, w której mieszały się ze sobą takie skłócone pierwiastki, jak prosta, nie=złomna siła ojcowskiej rodziny junkierskiej i żołnier=skiej i początkowe objawy zwyrodnienia wysoce uta=lentowanej matczynej rodziny uczonych.

Bez tych nerwowych napięć i skłóceń wewnętrz=nych, które dawały mu rysy zgoła dziwaczne, był=by się stał dzielnym, poczciwym junkrem wiej=skim, takim samym, jakimi byli od szeregu stuleci jego ojcowie. Dopiero nerwowość i psychopatyczna chwiejność równowagi w rodzinie jego matki wnio=sła twórcze bodźce do rodu junkrów, pobudzając go

do wielkich czynów, bo takie bodźce nie powstają nigdy na tle spokoju, zadowolenia i zdrowia, lecz rodzą się jedynie z gorączkowego, wewnętrznego niepokoju.

Bismarck zdawał sobie sprawę zamłodu z tych swoich cech charakteru. Będąc jeszcze studentem, powiedział o sobie: „Albo będę największym nicponiem, albo pierwszym obywatelem Prus".

Genjuszem — pisze o nim Kretschmer — staje się tylko ten, kto stać się nim musi, kto przez wewnętrzne napięcie zmuszony jest do dokonywania coraz większych czynów. Dziedzictwo ojców, szorstka i krzepka siła pierwotna nadawała się do zadań współczesnych akurat tak, jak do współczesnych walk orężnych nadawałby się dawny, olbrzymi miecz. Ale skomplikowany intelekt i niemal dekadenckie przesubtelnienie życia uczuciowego, jakiem obdarzyła go jego mieszczańska matka, pozwoliły wykorzystać należycie junkierską siłę pierwotną w labiryncie intryg i powikłań.

Możemy rzec, że tylko jego nerwowość i jego psychopatyczny niepokój zmusiły go wogóle do wzięcia udziału w walkach politycznych.

Taki jest tedy w analizie Kretschmera Bismarck rzeczywisty: postać olbrzyma z mózgiem neurastenika, zatwardziały junkier wiejski i oświecony kosmopolita w jednej osobie, niepojęta mieszanina elegancji i grubijaństwa, cywilizacji i głębi uczuciowej, dobre siłackie samopoczucie i niespokojna drażliwość, zblazowany pięknoduch o niezłomnych instynktach chłopskich, genjusz, którego siłę woli podnieca jego słabość nerwowa.

Szkoda, że historycy nie są zarazem psychologami! Przekazują nam oto wizerunki mężów stanu, które czcimy i podziwiamy jako cudowne twory, z jednego kawałka spiżu wykute. To symplicystyczne uj=

mowanie postaci historycznych nie ma dziś już żadnego znaczenia. Tak, jak powieść współczesna psychologiczna musi liczyć się z wielorakością natury ludzkiej i nie może ludzi dzielić tylko na białe i czarne charaktery, tak samo historji dziś nie wystarczy określić bohatera jednem mianem — genjusz, albo zbrodniarz.

Natura ludzka jest skomplikowana i nie znosi apriorystycznych, szablonowych formułek.

„Der Wille zur Macht“ — Wola Mocy Nietzschego! Wszyscy ludzie mają pragnienia i ambicje, nie wszyscy tylko wiedzą, jak je urzeczywistniać. Charakter i wola nie są cechami pewnej rasy, czy narodowości. Zdobywa się je w mozolnem kształceniu i dyscyplinowaniu własnej natury. „Albo będę największym nicponiem, albo pierwszym obywatelem Prus!“ — podobnie mógł o sobie powiedzieć każdy inny Prusak. Ale jeden Bismarck pojął, jak można osiągnąć jedno, albo drugie. Niewątpliwie, posiadał on przytem pewne predyspozycje, które, jak się okazuje, mają wszelkie pozory cech patologicznych.

Był on mimowoli realizatorem tego, co Nietzsche nazwał „moralnością panów“, „Herrenmoral“. Jego teorja o nadczłowieczeństwie prowadzi do tego, aby zwalczyć w sobie wszystko, co trąci „moralnością niewolników“, aby mieć wolę mocy nietylko w walce o byt, ale aby wywalczyć sobie byt wyższy i silniejszy — przyrost własnej istoty — władzę.

To jest właściwa kwintesencja światopoglądu Nietzschego. Cały świat ma rację bytu tylko o tyle, o ile daje możność, by sam człowiek nad nim panował i nadał mu taki kierunek, któryby go przeistoczył na siedzibę jedynie godnych władców, t. j. panów czyli nadludzi. Bodźcem zaś do osiągnięcia tego

panowania nad światem jest „wola mocy", czyli „moralność panów" (B. Szarlitt, „Polskość Nietzschego i jego filozofji", 1930, J. Mortkowicz, Warszawa).

Autor polski, który w rozprawce swojej odkrywa niewątpliwie polskie pochodzenie jednego z największych niemieckich filozofów, stawia interesującą hipotezę, że nietzscheański pogląd na świat jest niczem innem, jak wykwitem atawistycznych instynktów rasowych filozofa, odziedziczonych po polsko-szlacheckich przodkach. Według ogłoszonych przez archiwarjusza Reicky'ego „Kantiana", już wielki myśliciel królewiecki bowiem wypowiedział o Polsce następujące słowa: „Polska jest krainą panów, w której żaden obywatel nie chce być poddanym".

Zdaniem Szarlitta, Nietzsche pierwowzór dla swojego „Nadczłowieka" czerpał nie z pruskiego junkerstwa, lecz wśród polskiej szlachetczyzny. „Tylko u szlachcica polskiego mógł też Nietzsche znaleźć to, co stanowi podłoże „moralności panów": posuniętą do ostatnich granic wolę mocy, bo liberum veto wyposażało szlachcica polskiego w najdoskonalszy środek zaspokojenia tej „woli".

Gdy bowiem o „kategorycznym imperatywie" Kanta słusznie powiedziano, że jest transpozycją filozoficzną pruskiego militaryzmu, tak o „woli mocy" Nietzschego twierdzić można, iż stanowi taką transpozycję szlachecko-polskiego indywidualizmu.

A więc z jednej strony antropologja stwierdza, że dominującą rasą wśród Polaków jest nordyczna, z drugiej strony zaś naukowe badania nad istotą filozofji, którąśmy zwykli uważać za wykwit ducha niemieckiego, przekonywują nas, że jest ona duchową sublimacją atawistycznych skłonności polsko-szlacheckich przodków Nietschego, Nickich.

Tak, nauka lubi czasem płatać ludziom niespo=
dzianki!

NORDYCZNI NIEMCY I NORDYCZNI POLACY.

Narodu niemieckiego nie można nazwać narodem indywidualistów. Niepodobna sobie wyobrazić gdzie=indziej tego bezprzykładnego entuzjazmu dla idei na=rodowo=socjalistycznych, jaki ogarnął Niemcy. To, co dziś obserwuje się w Trzeciej Rzeszy, można chy=ba przyrównać do zapału, jaki ogarnął kraje w okre=sie Wojen Krzyżowych. Nie będzie też przesady, je=śli powiemy, że okres dzisiejszy w Niemczech na=zwaćby można renesansem narodowym.

Podobne stany przechodzi naród po wielkich klę=skach, po latach politycznego upadku. Oczywiście, renesans, o jakim mówimy, niewiele będzie miał wspólnego z odrodzeniem w wiekach średnich, z re=nesansem humanizmu. Przeciwnicy ustroju hitlerow=skiego mają mu do zarzucenia zbyt wiele, ale też nie doceniają jego momentów twórczych dla narodu nie=mieckiego. Humanitaryzm, tak modny dziś po woj=nie, istotnie nie znalazł tam pola do popisu. Ale objektywny badacz dziejów przyznać musi, że inne są kryterja moralne człowieka, inne zaś prawa rządzą narodami. Egoizm jednostki aż nadto często sprzeciwia się egoizmom narodowym. To, co nazy=wamy racją stanu, aż nazbyt często dotkliwie uderza w przyrodzone prawa człowieka, daleko odbiega od wzniosłych zasad Ewangelji.

Ustalmy stany faktyczne. Do przewrotu hitle=rowskiego Niemcy pogrążone były w upadku poli=tycznym i moralnym. Traktat wersalski każe Niem=com przyznać, że one to są przyczyną barbarzyńskiej

wojny. Niemcy podpisują ten wyrok moralny na siebie. W ciągu piętnastu lat naród dźwiga upokarzające brzemię napastnika i barbarzyńcy. Przychodzą niezmierne ciężary finansowe, reparacja, odszkodowania. Konferencja paryska zażądała od Niemców 56 miljardów dolarów reparacji, to znaczy trochę więcej, niż to wynosiła suma, na jaką wówczas szacowano Rzeszę. Naskutek konferencji londyńskiej, zajęcia Ruhry i planu Dawes'a, suma ta uległa wprawdzie znacznej redukcji i dzięki planowi Young'a doszła do 10 miljardów dolarów. Lozanna dopiero zmniejszyła i tę fantastyczną cyfrę do 750 miljonów dolarów. Te ustępstwa uzyskały Niemcy po mozolnej, uciążliwej walce, ale w ciągu całego szeregu lat musiały się czuć tak, jak bankrut, który nie widzi wyjścia z sytuacji.

„Musimy się pozbyć uczucia niższości moralnej!", wołały Niemcy. Naród, tak jak człowiek, nie jest w stanie żyć i rozwijać się, jeśli się w niego wmawia, że jest barbarzyńcą i bankrutem. Upokorzenie nie może sprzyjać rozwojowi ducha. Niemcy toczyły się ku ruinie i zagładzie. Komunizm szalał. Przyszedł światowy kryzys gospodarczy. Miljony bezrobocych błądziły bezradnie, ale i groźnie w poszukiwaniu pracy. Niemcy błądziły dokoła przepaści, jak człowiek, skazany wyrokiem sądowym za napad rabunkowy, wypuszczony wprawdzie na wolność, ale tonący w długach.

I oto zjawia się człowiek, który oznajmia, że narodowi niemieckiemu stała się krzywda. Naród nie może ponosić win swoich występnych przywódców, którzy wtrącili go w nieszczęście. Zjawia się, jak apostoł, głoszący nową ewangelję. Budzi narodowego ducha. Naród, który nic już nie miał do stracenia, słyszy teraz hasło o wyższości swej rasy. Traktat wersalski —ogłasza — był zbrodnią na ży-

wym organiźmie narodu. Trzeba było stworzyć, a raczej reaktywować starą teorję Gobineau i H. Chamberlaine'a, aby pokrzepić desperata i otrząsnąć go ze stanu apatji. Podobnie nasz mesjanizm krzepić miał polskiego ducha na emigracji i kazał nam wierzyć w wielkość polskiego posłannictwa.

Adolf Hitler rzucił więc narodowi niemieckiemu hasło o wyższości rasy nordyckiej. Wiele bowiem zjawisk społecznych daje się przez ten determinujący czynnik rasowy wyjaśnić. Przyjęto więc istnienie ras, t. j. zwartych grup społecznych, posiadających swoistą strukturę biopsychiczną, zdecydowanie określone możliwości rozwojowe, kulturalne, polityczne, ustrojowe i t. d. (Prof. W. Kryński).

Teorja o wyższości rasy nordyckiej bynajmniej nie jest wynalazkiem Adolfa Hitlera. Potrafił on tylko genjalnie dostosować ją do aktualnych swych zamierzeń politycznych. Pierwszym autorem teorji o rasach wybranych jest hr. de Gobineau. W obszernej swej pracy p. t. „Essai sur l'inégalité des races humaines" (wyd. 1853 — 1855 w Paryżu), zastanawiając się nad życiem poszczególnych ludów i narodów, ich kulturą i znaczeniem politycznem, doszedł do wniosku, że podstawowym czynnikiem, tworzącym tę różnorodność, jest właśnie działanie elementu rasowego. Mamy trzy podstawowe rasy — stwierdza Gobineau za swym poprzedniikem, Cuvier'em — białą, żółtą i czarną. U szczytu rozwoju stali Arjowie, ale skutkiem licznych kontaktów i związków zatracili swe zdolności ekspansywne i jedność duchową. Jedynie czystą rasą pozostali tylko Germanowie, którzy też mają wszelkie szanse, aby przodować wszystkim rasom pozostałym.

Jak widzimy, teorja Gobineau wychodziła także z założeń imperjalistycznych. Uzasadniała prawa Germanów do ekspansji. Z punktu widzenia nauko-

wego teorja Gobineau nie ma dziś żadnego znaczenia, jako środek polityczny jednak mogła, jak się okazało, odegrać jeszcze niemałą rolę.

Koncepcja Gobineau wywarła pewien wpływ na socjologa polskiego, Żyda z pochodzenia, piszącego przeważnie po niemiecku, Ludwika Gumplowicza (1838 — 1909). W dziele p. t. „Der Rassenkampf" uważa Gumplowicz „wiekuistą walkę ras i zawieranie pokojów" za „klucz do rozwiązania zagadnień procesu naturalnego historji ludzkiej".

Niemałą także popularność o wpływie rasy na kształtowanie się życia społecznego zdobyły publikacje innego uczonego, Anglika z pochodzenia, H. Chamberlaine'a. Według niego najbardziej wartościową była dawniej rasa Rzymian. Od XIII-go wieku wyróżniać się zaczęła rasa Germanów. Cała kultura od tej pory, cała cywilizacja, wszelkie nowe wartości i zdobycze zawdzięcza ludzkość Germanom. Rasie Germanów, według Chamberlaine'a, ostro przeciwstawia się rasa żydowska, powstała ze skrzyżowania Semitów, Hetytów i Amorytów. Rasa ta wywierać ma rzekomo wpływy destrukcyjne i niszczycielskie, antyreligijne i materjalistyczne.

Teorje powyższe, do których przyłączyły się później publikacje takich antropologów, jak Ammon, Woltmann i Wilser, pozostających pod wpływem poglądów Gobineau i Chamberlaine'a, stały się podstawą ideologiczną niemieckiej partji narodowo-socjalistycznej i stanowią nową dyscyplinę wiedzy p. n. antropologji politycznej. Namiętnie zwalczająca tych autorów oficjalna dawniej antropologja niemiecka, z liberalnym Rudolfem Virchowem na czele, nie zdawała sobie wówczas jeszcze sprawy z istoty i znaczenia antropologji społecznej (Prof. Dr. J. Czekanowski).

Jeżeli mamy dać tutaj zarys teorji ras, żeby wy-

tłumaczyć zjawiska polityczne dzisiejszych Niemiec, nie możemy, rzecz prosta, opierać się na teorjach, których naukowa wartość została oddawna pogrzebana. Objektywne metody badawcze, pozwalające na kontrolowanie intuicyjnych ujęć syntetycznych, ustaliła w ostatnich dopiero latach współczesna antropologja polska z rektorem uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, prof. dr. Janem Czekanowskim, na czele. Z jego też znakomitego dzieła p. t. „Człowiek w czasie i przestrzeni" (Trzaska, Evert i Michalski, Warszawa) czerpać będziemy fundamentalne tezy z teorji ras.

Podstawowy podział ras ludzkich zawdzięcza ludzkość G. Cuvier'owi, który pierwszy stanął na morfologicznym punkcie widzenia. Cuvier rozróżnia, mianowicie, trzy rasy zasadnicze: białą, żółtą i czarną. Tej jego trójdzielczości morfologicznej odpowiada też i trójdzielczość fizjologiczna, badania bowiem nad właściwościami krwi stwierdziły także, że u człowieka mamy trzy odmiany krwi, dziedziczące się prawidłowo przy krzyżowaniu.

Jeśli chodzi teraz o podział antropologiczny, to w Europie mamy do czynienia z czterema rasami i z ich sześciu mieszańcami. Owe cztery rasy europejskie są to: nordyczna, śródziemnomorska, armenoidalna i laponoidalna. Typy mieszane są to: subnordyczny, sublaponoidalny, alpejski, dynarski, litoralny oraz północno-zachodni.

Odsyłając czytelników do źródłowych prac, jeśli chodzi o wyjaśnienie antropologicznych ras, ograniczymy się do bliższego scharakteryzowania interesującej nas tutaj rasy nordycznej. Osobniki tej rasy wyróżniają się wysokim wzrostem, smukłą budową ciała, krótkim tułowiem, długiemi kończynami. Pozatem charakteryzują ich wąskie dłonie i stopy, biała skóra o różowawym odcieniu, jasne, popielatawe

włosy, niebieskie oczy, wąski nos prosty, wąska podłużna twarz i wydłużona głowa.

Rasa nordyczna zamieszkuje przedewszystkiem kraje, okalające morza Północne i Bałtyckie, oraz znaczną część dorzecza górnego Dniepru i sąsiednie, bardziej północne terytorja, leżące w strefie kolonizacji Wielkiego Nowogrodu. Stanowi ona atoli poważny składnik ludności również innych części Europy, a nawet innych kontynentów, gdyż stwierdzono, że ekspansja ludów europejskich odbywała się głównie przy udziale elementu nordycznego.

Antropologja polska stanowczo przeciwstawia się nauce niemieckiej (O. Reche), która często nordyczne terytorjum Polski uważa za konsekwencję oddziaływań germańskich.

Przekonanie to bowiem jest wynikiem błędnego z gruntu identyfikowania Germanów z rasą nordyczną. Aby raz na zawsze usunąć te bałamuctwa, stwierdzić wypadnie, że nordyczny charakter posiadały wszystkie bodaj ekspansje ludów indoeuropejskich.

Stąd też na ziemiach polskich element nordyczny jest równie silnie reprezentowany, jak i na terytorjum Rzeszy. Różnica, pozwalająca na antropologiczne rozróżnienie między rasą polską i niemiecką, polega na tem, że u Germanów, obok rasy nordycznej, najliczniejszym składnikiem jest rasa śródziemnomorska, podczas gdy u Słowian, obok najliczniej także reprezentowanej rasy nordycznej, drugie miejsce co do swojej siły liczebnej zajmuje element laponoidalny. Ponieważ nie stwierdzono na naszem terytorjum większego składnika śródziemnomorskiego, przemawia to za tem, że w ukształtowaniu stosunków rasowych naszego terytorjum Germanowie nie odegrali poważniejszej roli.

W związku z tem niezmiernie interesująco przedstawia się hipoteza Karola Potkańskiego, który pod-

niósł myśl gockiej genezy pierwotnego państwa polskiego. Za hipotezą tą przemawia ta okoliczność, że niepodobna, aby wszyscy Gotowie opuścili kraje w dorzeczach Wisły i Odry, porwani ruchem wędrówki, która doprowadziła ich do wybrzeży morza Czarnego. Dla koncepcji tej dużo do myślenia daje bowiem napis na pomniku Bolesława Chrobrego w Poznaniu, określający go jako „Rex Sclavorum, Gothorum sive Polonorum“. W świetle tych badań wynikałoby, że tylko Goci, osiedleni na pierwotnem terytorjum Słowian wschodnich, łącznie z tymi Słowianami zostali objęci ekspansją ku stępom czarnomorskim, gdy grupa, panująca na wielkopolskim obszarze, pozostała na miejscu i stanowiła zarodek pierwotnego państwa polskiego. W ten sposób można by też tłumaczyć sobie podanie o dynastjach Piastów i Popielidów, którzy, być może, byli sezlawizowanymi epigonami dynastów gockich i ulegli słowiańskim Piastom. Świadczyłoby to, według Czekanowskiego, o ciągłości tradycji państwowej, mimo przewrotu dynastycznego.

Rozważania te były niezbędne, żeby stwierdzić poważną i przeważającą ilość elementu nordycznego na ziemiach polskich. Rewelacyjnie brzmią też wyniki badań prof. Czekanowskiego, który twierdzi, że co do swojej struktury rasowej Niemcy stanowią dalszy ciąg Polski. Między innemi przemawia za tą tezą stwierdzenie na znacznej części dawnego terytorjum kultury łużyckiej poważnego składnika laponoidalnego —nieomylny znak pozostałości rasy słowiańskiej, w której, jak wiadomo, obok elementu nordycznego, dominującego, następnym jest element laponoidalny.

W świetle tych badań antropologicznych zrozumiałem się staje, dlaczego Niemcy dzisiejsze ele-

ment polski na swojem terytorjum uznają za czynnik równowartościowy pod względem rasowym narówni z rodowitymi Germanami. Nauka potwierdziła tutaj ich tezę, że Słowianie posiadają ten sam składnik nordyczny, który w ostatnich latach tak bardzo gloryfikują politycy spod znaku swastyki.

Stwierdzenie tego samego pochodzenia rasowego daje nam jednak do rąk i tę także broń obosieczną, stwierdzającą, że nie jesteśmy czemś od Niemców gorsi, a przeciwnie, substratem dla kongenjalnego rozwoju Niemiec wschodnich było plemię — słowiańskich łużyczan.

MIASTO KTÓRE PACHNIE WODĄ KOLOŃSKĄ.

Pod halą dworca kolońskiego stanęliśmy o świcie.

Powiecie mi może, że to była sugestja — to, com poczuł. Ale to nie była sugestja. Ledwo stąpnęło się na peronie dworca — nozdrza poruszyła delikatna woń wody polońskiej. Prawdę mówiąc, każde miasto ma swoją woń odrębną. Inaczej przecież pachnie miasto portowe, nadmorskie, inaczej — miasto, pełne fabrycznych kominów, jeszcze inaczej — miasto starożytne, pełne antycznych domków o fasadach ostrołukowych i attykach, subtelnych, jak brabanckie koronki...

Myślę czasem, że dałbym się zawieźć w daleką podróż z zawiązanemi oczyma; gdyby mnie wprowadzono do miasta (w którem już raz kiedyś byłem), poznałbym je i odgadł po zapachu. Taki już jestem.

Stajemy w Baseler Hof'ie—hotelu, utrzymywanym przez stowarzyszenie katolickie, mające filje w każdem prawie większem mieście Rzeszy. W hallu święty obrazek, takież obrazki w pokojach. Na nocnym stoliku — biblja. Czysto, schludnie — pościel pach-

nie lawendą, jak w sypialni starej angielskiej lady... Przyjemnie. Bierzemy kąpiel, połykamy śniadanie — słodkie jamy owocowe i chrupiące bułeczki wyborinie smakują z kawą po całonocnej podróży.

Na ulicach, wąskich, asfaltowanych przepięknie — rowery, rowery, rowery. Jak w Monachjum, albo w Kopenhadze. Pedałują urzędnicy do biur, ekspedjentki do sklepów, uczniowie do szkół. Stop! Policjant daje znak i kolarze zgrabnie zeskakują, stają jeden obok drugiego, trzymając rower przy nodze. Już znowu siedzą i znowu gnają bez opamiętania, spoglądając co chwila na zegary uliczne.

W urzędzie pocztowym, w hallu — mozaika-płaskorzeźba wyobraża nieznanego żołnierza. Wszyscy przechodzący zdejmują kapelusze. Odbieramy pocztę i już nas tu niema. Śpieszymy się. Pełni wzruszenia idziemy oglądać jeden z tych niewielu cudów architektury. Katedra... Wierzchołek jej widać już zoddali, kiedy się do tego miasta przybywa. W mieście widać go wszędzie.

Stoi katedra na placu niewielkim, tak, że aby dojrzeć ją całą, potrzeba głowę odchylać do tyłu. Stoimy tak z wyprężonemi grdykami i patrzymy. Dziwne uczucia ogarniają człowieka, gdy tak patrzy na ten wspaniały majstersztyk gotyku, gdy tak, oko w oko różycy, stoi wobec tego arcydzieła, pełnego rzeźb, sztukaterji, ostrołuków, maswerków, kolumn, różyc — spiętych razem w całość strzelistą, harmonijną, wyniosłą.

Nasuwają się też zaraz na myśl minione wieki — jakich zmian, jakich ludzi, jakich wydarzeń była świadkiem ta kamienna katedra, tkwiąca tutaj, na tym placyku, w ciągu setek, setek lat! Ile tajemnic ludzkich serc — ilu pokoleń! — kryją w sobie drewniane kratki tych konfesjonałów, zczerniałych od

starości, wytartych od dotknięć ludzkich głów i dłoni...

Kartka, przybita do bramy, oznajmia, że zwiedzać wolno katedrę tylko w pewne dnie i godziny. Ale wejść przecie można zawsze. Wchodzimy. Olbrzymie kolumny strzelają w górę, podtrzymując strop, pełen gotyckich, charakterystycznych ostrołuków. Półmrok, Tylko zgóry, przez wąskie szyby witrażowe miecze słonecznych promieni krają, jak masło, półmrok.

Zakrystjan w stosowanym płaszczu purpurowym, sięgającym mu do kostek, wygląda majestatycznie i z miny i ze stroju kroi conajmniej na kardynała. W ręku piastuje coś w rodzaju buławy, czy buzdyganu. Właśnie odprawia się nabożeństwo. „Kardynał“ groźnie zbliża się do nas i oznajmia, że teraz nie pora spacerować po nawie. Siadać w ławki i czekać. Siadamy.

Mamy czas na rozmyślania...

Więc jedna z najstarszych. Może nawet najstarsza na świecie... Budowę jej przecież rozpoczął architekt Henryk Sunere w roku pańskim 1248. Za arcybiskupa Konrada von Hichstaden. Ale budowano ją, przerabiano i przyozdobiano w ciągu wielu stuleci. I tak w roku 1509 umieszczono arcypiękne witraże. W r. 1814 — po odparciu Napoleona — znowu kontynuowano budowę. Zdawało się, że nigdy się jej nie skończy... Architekci: Frank, Ahlert, a po ich śmierci słynny Zwirner wykończyli fronton i podciągnęli wieżyce. Koszty tej budowy obliczyć się nie dadzą. Na to pracowały całe pokolenia, a statystyki, ani budżetu wtedy nie znano. Łożyli na budowę królowie, cesarze i książęta, szły na ten cel datki wiernych parafian i współrodaków z całej Nadrenji, aż wreszcie w r. 1842 zawiązano specjalne towarzystwo „Budowy Katedry Kolońskiej“.

Czy jest wogóle sens mówić o tem, co odczuwa się na widok tego dzieła? To trzeba tylko zobaczyć. Opisać się to nie da...

Stańcie sobie tak przed katedrą (głowę, niestety, wciąż trzeba trzymać zadartą, bo perspektywa zbyt szczupła) i patrzcie. Tysiące i tysiące pionowych linij biegnie wgórę, splata się i znowu wgórę, jak łodygi powoju. Niekiedy te linje załamią się raptem, zamkną nagle we dwa boki równoramiennego trójkąta. I tak już pozostaną, tworząc typowe dla gotyku wimpergi. Inne mają cel odmienny: biegną, biegną ku górze, wtem zaplotą się w górnem polu okna w koronkowe maswerki, jak lukier na cukierniczym torcie. Te także już tak zawsze pozostaną... Czasem znowu pośrodku frontonu zawiśnie wielkie, koliste oko, pełne koronek, ząbków, gipiur, czy walansjenek...

Tu i ówdzie wśród bogato profilowanych załomów portali, albo i ponad niemi, ustawi się wgórze sztywnie w zdobnych niszach, przykrytych wspaniałemi baldakinami, długi szereg wysmukłych postaci świętych. Święci ci stoją nieruchomo i jak minjaturowe karjatydy zdają się dźwigać na wątłych barkach całą tę misterną robotę. Te postacie świętych — to moment statyczny w całej konstrukcji. Bo całość ma wyraźny charakter dynamiczny — pędu, pełzania, ruchu.

Herr Stadtdirektor, dr. Schneider, w zastępstwie pana nadburmistrza, zajeżdża po nas pięknym, reprezentacyjnym Benzem, aby nam pokazać miasto. Sehr liebenswürdig, Herr Stadtdirektor!

Czy nie przyjemnie przebiec ogromne sale ratusza, których ściany wybite są antycznemi gobelinami, a fotele, kryte wytłaczaną skórą, obejmowały już tyle wybitnych i zmarłych postaci? Przyjemnie także usiąść bez ceremonji na fotelu, w którym siedział

— chciałoby się rzec: własnoręcznie! — sam cesarz Wilhelm II-gi. Freski bogate przedstawiają malownicze sceny z historji Rzeszy i prowincji. Sala balowa. Sala portretowa. Sala posiedzeń. Wszystkie ogromne, ciągnące się bez końca, pięknie przystrojone antycznemi pająkami, bezcennymi sztychami, obrazami, z których każdy wart parę ładnych folwarków...

Wybrzeże Renu... Niezliczona ilość statków weksluje tutaj, przybija i odbija od brzegu, ładuje, wyładowuje... Tuż przy wylocie mostu — pomnik granitowy cesarza Wilhelma Ostatniego w pikielhaubie. Herr Stadtdirektor uśmiecha się zlekka ironicznie. Czy mi się zdaje, czy wyraźnie zignorował ten pomnik?... To jest Trzecia Rzesza: Rzesza pracy, uporu, wysiłku. Więc Herr Stadtdirektor chichocze dyskretnie przy pomniku ostatniego cesarza.

Zmęczeni, zgrzani, zatrzymujemy się przed oberżą, aby wychylić szklankę słynnego piwa kolońskiego, „Echt kölnisch". To piwo pije się tylko w Kolonji. Wyborne! Te rozkosze mogą Państwo i u nas poznać — tylko za większą cenę.

Pan Ferdynand Mühlens, miljonowy właściciel na cały świat słynnej fabryki wody kolońskiej „Nr. 4711" (numer pochodzi od liczby domu przy Glockengasse), znany i w Warszawie z pięknej kolekcji koni wyścigowych — wtajemnicza nas w zawiłe arkana produkcji wody kolońskiej. Więc dowiadujemy się przedewszystkiem, że najcenniejsza substancja w tej produkcji to kwiat pomarańczowy, „Nerolioel" — sprowadzany z krajów zamorskich. Wobec odjęcia Niemcom własnych kolonij fabrykacja wody napotyka na duże trudności: uzależniła się obecnie od posiadłości inych państw. Grają tu też poważną rolę trudności dewizowe.

Przebiegamy dziesiątki bajecznie pachnących sal,

w których produkuje się pachnące wody i olejki, które później pachnąć będą na skroniach kosookiej Japonki, ognistej Maoryski, czy wybrednej Amerykanki. Tysiąc robotników pracuje tutaj przy wyrobie różnych gatunków tych pachnideł. Drugi tysiąc zatrudnia niedaleko konkurencyjna firma „Johann Maria Farina". Reklamy na całym świecie. Pokazują nam wycinki z prasy chińskiej, arabskiej, australijskiej: obie firmy znane są na całym świecie.

— Żadne inne miasto — mwi nam radca handlowy Kolonji, dr. Zwick — nie ma w sobie owej idealnej harmonji między przemysłem i handlem, co Kolonja. Rozmaitość przytem wszelkiej tutejszej produkcji sprawia, że i kryzys mniej się w Kolonji daje we znaki, niż w innych miastach Rzeszy.

Miasto, ze swoją dwutysiącletnią historją, po wojnie stało się pod względem wielkości i znaczenia trzeciem miastem Niemiec. Idealne położenie Kolonji już od 12-go wieku sprawiło, że stała się ona łącznikiem między Wschodem i Zachodem, między Północą i Południem. Tędy szły drogi przez Alpy i Italję na Wschód, z Francji i Anglji do Polski oraz do Rosji.

Bogactwa naturalne tej części Rzeszy przyczyniły się do powstania w Kolonji i w najbliższej jej okolicy ogromnego kompleksu fabryk, kopalni, hut, znanych na całym ziemskim globie. Jest to najpotężniejszy ośrodek przemysłowy całego kontynentu. Na zachód ciągnie się ogromna przestrzeń pokładów węgla brunatnego z kopalniami w Akwizgranie i w Wormacji. Od Akwizgranu ciągnie się, nieco zbaczając w kierunku północnym, obszar ciężkiego przemysłu nad Renem, Ruhra, dalej kieruje się w stronę Westfalji. Kolonja jest przytem łącznikiem przemysłowym pomiędzy okręgiem Ruhry i Saary. Zasięg go-

spodarczy Kolonji obejmuje około 15 miljonów ludności. Stanowi to, jak wiadomo, prawie czwartą część całej niemieckiej ludności.

Port koloński obejmuje 351 własnych parostatków, z czego 11 statków morskich. Idealne połączenie miasta z wszystkiemi większemi ośrodkami krajowemi i zagranicznemi powoduje nader ożywiony ruch towarowy i pasażerski. Kolej kolońska sprzedaje rocznie okrągłe 11 miljonów biletów.

Niezmiernie bogate miasto może sobie pozwolić na skuteczną walkę z bezrobociem i głodem mieszkaniowym. W chwili objęcia przez narodowych socjalistów miała Kolonja 90.000 zarejestrowanych bezroboczych. Dziś, w r. 1936, cyfra ta spadła do 25.000.

Bezroboczych zatrudniono przy robotach państwowych i samorządowych. Buduje się dla nich całe dzielnice za miastem. Prześliczne domki, otoczone ogródkiem owocowym i wąskimi zagonikami jarzyn.

Wybraliśmy się w towarzystwie pana nadburmistrza na zwiedzenie takiej kolonji robotniczej. Wyborną asfaltowaną drogą dojeżdżamy do alei, wysadzonej świeżo po obu stronach połyskującemi białą farbą domkami. Stajemy. Z domu wychodzi właściciel. Jest stropiony nieoczekiwaną wizytą. Przeprasza, że w domu trochę nieporządku. Ale żona mu umarła przed dwoma tygodniami. Troje małych dzieci.

Gdzie mieszkał przedtem? W mieście podnajmował izdebkę na strychu. Była wilgoć i tam właśnie nabawiła się żona choroby. Teraz jest szczęśliwy ponad wszelką miarę. Ma swój własny domek z ogródkiem. Dzieciaki cały dzień na świeżem powietrzu. Izby przestronne, widne. Dwie na dole, jedna na piętrze. Zakamarki, schowki gospodarskie, ubi-

kacja. Czy płaci coś za ten domek? Oczywiście, 15 marek miesięcznie. Ale w mieście za ruderę na strychu płacił 25 marek. Jeżeli uda mu się dostać lepiej płatną pracę, domek ten postara się spłacić całkowicie. Stanie się wówczas jego właścicielem. Komuż to wszystko zawdzięcza? Ach, niema słów dla narodowych socjalistów! Obiecali zająć się robotnikami i zajęli się nimi.

Naturalnie, nie każdy robotnik dostaje taki wspaniały domek. Musi odpowiadać.

Musi być narodowym socjalistą. Musi być żonatym. Musi mieć dzieci. To oczywiste. Trudno wymagać, żeby tak mieszkali wrogowie reżimu. Albo kawalerowie, których los nie jest w Niemczech do pozazdroszczenia. Żonaci i dzietni zwalniani są z całego szeregu podatków, otrzymują szereg ulg w spłatach nieruchomości. Można powiedzieć, że w Niemczech zaprowadzono ochronę mężczyzn żonatych i mających dzieci. Sekretarz pana nadburmistrza, chłopak może dwudziestopięcioletni, fanatyczny narodowy socjalista, ze swastyką na ramieniu, chwali się przedemną, że od czterech lat jest żonaty. Ma troje dzieci. Tak chce Führer. I tak jest dobrze.

Dla zubożałych mieszkańców Kolonji zbudowano osiedla-baraki z dawnych, przedwojennych koszar. W długim bloku mieszczą się jednopokojowe mieszkanka po cenach, na jakie może sobie pozwolić każdy.

Naturalnie, nie będę tu przytaczał skomplikowanych cyfr, z ktrych wynika, w jakim stosunku partycypuje w tych inwestycyjach państwo, a w jakim miasto. Jedno pewne, że na budowle te i roboty poszły kolosalne sumy, których dziś już czerpać się nadal nie da. Genjalny pan Hjalmar Schacht cudem utrzymuje markę na poziomie, ale faktem jest, że oszczędności niemieckie zostały już wyczerpane. Za

co dalej będzie się inwestowało, za co dalej odbywać się będą budowy mostów, dróg, domów — za co, słowem, w dalszym ciągu zatrudniać się będzie bezroboczych, tego już przewidzieć żadną miarą nie można. Rozpęd wzięli narodowi socjaliści ogromny. Zrobili niewątpliwie wiele. Obawiać się jednak należy, że fundusze wyczerpały się i roboty mogą stanąć.

Ale o to już głowa niech boli pana Schachta i innych finansistów Rzeszy...

Mile pachnie miasto wodą kolońską. W ustach wywozimy jeszcze smak wina reńskiego. Ruszamy dalej. Wzdłuż Renu, pełnego romantycznych legend, klechd, baśni. Wspaniałe, odwieczne zamczyska sterczą tu nad rzeką od wielu, wielu stuleci — Stolzenfels, Rheinfels, Schönburg, Lorelei — opiewana w baśni. A potem już będzie Bonn, Moguncja, przed niemi znowu stara Koblencja — miasta patrycjuszowskie, uniwersyteckie... Gdzieniegdzie jeszcze ślady pobytu Rzymian, tu most, który zbudował sam Cezar, tam miasto, w którem jego legjony biwakowały na leżach zimowych, hiberna... W cieniu skał leżą cicho winnice, kołysane wiatrem i głaskane słońcem.

Pod Koblencją wpada do Renu Mozela. Most łukiem spina oba brzegi, pędzimy dalej i dalej. Stajemy wreszcie pod kopułą dworca w Moguncji.

Wysiadamy.

CANIS „UNIVERSUM"!

Frankfurt nad Menem.

Wystawy, wystawy, wystawy...

W Berlinie olbrzymim nakładem pracy pokazano „Wunder des Lebens', czy „Dziwy życia". W Essen, słyszę, wystawa pod tytułem „Ulica" — historja dróg i ulic niemieckich w perspektywie dwuch ty-

sięcy lat. W Karlsruhe trafiam na ogromne plakaty, zapowiadające wystawę pod nazwą „Rodzina w historji, w herbach i w obrazach“. W Düsseldorfie — wszystko w tym samym prawie czasie! — „Kobieta i naród“ — rola kobiety w rodzinie, w narodzie, w państwie. W Dreźnie na ratuszu gorączka. Panowie prezydenci miasta co chwila wyruszają na miasto samochodami. Przygotowuje się bowiem lada dzień wystawę p. t. „Czerwony kur“. Na plakacie wyobrażony kogut na tle ognistych płomieni — pożary i walka z niemi. Na tem nie koniec, bowiem we Frankfurcie nad Menem dowiaduję się o świeżo otwartej wszechświatowej wystawie rasowych psów!

Niemcy lubią zawsze coś nowego tworzyć, organizować i to przeważnie odrazu w skali gigantycznej, z rozmachem, z zapałem, gruntownie, konstruktywnie, z pasją, z wehemencją, z tupetem.

To ich metoda nauczania. Nie każdemu chce się wziąć do ręki książkę i studjować. Tu, na tych wystawach każdy znajdzie przejrzyste wykresy, cyfry, dane, nazwy, wskazówki, uwagi.

Wszędzie, w każdem mieście coś nowego. Prospekty kolejowe zachęcają do podróży. Ruch, inicjatywa, tempo, zmiana wrażeń, ściąganie cudzoziemców z tak cennemi dziś wszędzie dewizami — wciąż, byleby coś robić, coś organizować, coś propagować. To są Niemcy.

We Frankfurcie tedy, jak się rzekło, trafiam na wszechświatową wystawę psów.

Lubią psy. Nigdzie indziej nie widuje się tyle prześlicznych piesków, co w Niemczech. Wszystkie o krwi błękitnej, wszystkie muszą być jak stuprocentowy aryjczyk. Wszystkie pięknie utrzymane, czyste, ostrzyżone, osmyczone, oskubane — jak to teraz w modzie.

Żeby nie być gołosłownym: w samym Berlinie

w r. 1935 naliczyła skrupulatna niemiecka statystyka 138.524 psów. Znając niemiecką pedanterję, można przysiąc, że i o jednego nie omylili się szczeniaka. Chociaż z drugiej strony utrzymanie tych przyjaciół człowieka nie jest znowu takie bardzo tanie: opłata roczna za jednego psa wynosi 60 marek (ca 100 zł.).

Na pięknym, renesansowym dworcu frankfurckim wciąż wysiadają z wagonów psie eksponaty z całego świata. Pierwsza wystawa światowa wszystkich możliwych odmian. Przygotowano do niej zawczasu 25.000 metrów kw. powierzchni. Wybudowano racjonalne kojce, boksy, budy.

Przyjeżdżają ministrowie Rzeszy. Minister spraw wewnętrznych, dr. Frick, wyznaczył poważną nagrodę. Także minister obrony krajowej. Dla psa użytkowego. Dr. Goebbels wygłosił mowę. Pies, jako czynnik zbliżenia międzynarodowego, czy coś w tym rodzaju.

Uzupełniają wystawę: kynologiczny przegląd przemysłowy; wystawa sztuki, przedstawiająca psa w malarstwie i rzeźbie. Osobne miejsce zajmuje światowa literatura kynologiczna. Niemieckie kliniki uniwersyteckie przedstawiają w dziale naukowym szkielety psie, z których hodowcy mogą się wiele nauczyć.

Daremnie szukam stoisk i boksów polskich. Z przyczyn paszportowych, czy innych, z wyjątkiem jednego prywatnego hodowcy, Polska nie jest na wystawie reprezentowana. Czyżby pies u nas nie mógł być czynnikiem międzynarodowego zbliżenia? A szkoda, bo jest Anglja, Francja, Hiszpanja, Włochy, Szwecja, Finlandja. A Polski niema. Szkoda. Nasze owczarki góralskie mogłyby tu śmiało paradować. Ujmy-by nam pewnie nie przyniosły.

Można dobrze mówić po niemiecku, a w Lipsku — nie dogadać się. Djalekt saski jest odrębny od innych. „B“ wymawiają jak „p“, „g“ jak „k“, „d“ jak „t“... Bądź tu mądry, kiedy zamiast „*Taube*“ wymawiają „*Daube*“*!*... Naturalnie, djalektem tym mówi tylko lud, ale i szefa wydziału prasowego przy Prezydjum miasta, p. D=ra Klingemanna, przyłapałem na jakimś regjonalnym zwrocie.

Zmieszał się i pokraśniał, ale, że ma człowiek poczucie humoru, więc też zaraz roześmiał się. Poszliśmy sobie najpierw pogadać przy kuflu piwa. Lipsk ma także swoje piwo specjalne. Gdzie je pić? Naturalnie, w specjalnej knajpie.

— Jest taka. Zaraz pana tam zawiozę.

Oddanym nam przez pana prezydenta Goerdelera do dyspozycji „Mercedesem“ suniemy sobie powoli na jedno z przedmieść miasta i stajemy przed „Gosenschänke“. Jeżeli lipszczanie nie koloryzują, to w szynku tym pijał piwo sam ks. Józef Poniatowski. Możliwe, bo knajpa liczy sobie ni mniej, ni więcej, tylko zgórą... 300 lat.

Stara trochę już, zębem czasu draśnięta rudera, pełna romantycznego czaru, stoi sobie w ogródku, który już pokrył się zielenią i kwiatem.

Piwo nazywa się właśnie „G o s e n“ i jest spécialité Lipska. Wyrabiane z pszenicy, na drożdżach, smakuje trochę jak nasz kwas chlebowy. Podaje go się w osobliwego kształtu flaszkach, o szyjkach długich, jak u żyrafy. Jest mętne i na spodzie butelki widać ślady drożdży. Pyszny trunek!

Szofer — zasłużony działacz hitlerowski, wszedł z nami i na zaproszenie doktora przysiadł się do naszego stolika.

Kiedyśmy już wysączyli kilka butelczyn, ruszyliśmy na objazd pasterski miasta.

— Stop! Tu jest kamień pamiątkowy, który pana, jako Polaka, zainteresuje. Elstera!...

W kącie, na uboczu, otoczony sztachetkami, wznosi się pomnik na cześć Poniatowskiego. „*Xięciu Józefowi Poniatowskiemu — woysko polskie*". Z drugiej strony popiersie wodza, hełm, dwa białe orły. Pomnik — co tu taić — zaniedbany, obłupany, zniszczony!

— Widzi pan, chcieliśmy to przenieść gdzieindziej, do miejsca, w którem istotnie zginął wasz bohater, ale władze oparły się temu. Niech już tu pozostanie....

Ale zająć się nim, zaopiekować nagwałt potrzeba! Niemcy mają tak piękne pomniki, z taką pieczołowitością utrzymane, że ten — doprawdy — nie przynosi nam zaszczytu. Teraz, z okazji niedawnej wizyty armji polskiej w Lipsku, nadarzała się wyborna okazja, żeby pomnik odremontować.

Jedziemy dalej... Dowiaduję się, że Lipsk posiada największy na kontynencie dworzec. 32 tory, jak strzelił! Potwor, nie dworzec.

— Tutaj — ten oto gmach — to targi lipskie. Słynne targi futrzarskie, na które zjeżdżają kupcy z całego świata. Lipsk leży na skrzyżowaniu dwuch wielkich dróg handlowych — z północy na południe i ze wschodu na zachód. To położenie lipszczanie spożytkowali. Tutaj odbywa się oczyszczenie i wykonanie cennych futer, idących z Rosji, z Polski, z dalekiego wschodu. Przychodzi cuchnący conieco surowiec, a wychodzi najczarowniejsze marzenie eleganckiej pani — wspaniała etola, sortie, czy poprostu kołnierz.

— Szkoda — powiada mi teraz pan Thorer, właściciel największej firmy futrzarskiej w Lipsku —

szkoda, że nie mamy z Polską normalnych stosunków handlowych...

Wzdycha, więc ze współczuciem pytam go — dlaczego?

— Ach, panie, Warszawianki i Paryżanki to odbiorczynie najkosztowniejszych futer. Najpiękniejszych i najdroższych. Niemki? Niemki nie znają wartości kosztownego futra. Dla nich to luksus, „senne marzenie“ i — koniec. To też teraz siłą rzeczy musimy ograniczyć się z produkcją soboli, gronostajów, brajtszwanców... Tylko taniutkie, nędzne źrebaki, karakuły, króliki — oto, w co ubierają się Niemki.

Teraz mamy po drodze — przed sobą — Deutsche Bücherei. Gmaszysko, olbrzymie w swojej wielkości, jak stary zamek warowny, czy fortalicja... Lipsk — centrala książek niemieckich. Mózg Rzeszy. Stolica drukarni i maszyn drukarskich. Więc też i — „Deutsche Bücherei“.

— Każdy egzemplarz niemieckiej książki, drukowany na całym świecie, musi się znaleźć u nas — tłumaczy mi dyrektor „Książnicy“, który na wojnie stracił nos i oko. Potworna woskowa proteza, przyklejona nad jamą ustną, a przytrzymuje ją czarna, jedwabna opaska.—Dwa miljony egzemplarzy książek spoczywa w tym gmachu według spisu z 1-go maja b. r., 31 tysięcy map, 18.000 druków artystycznych. W podręcznej bibljotece, w czytelni, zawsze stoi do dyspozycji 20.000 tomów, a w sali czasopism gość znajdzie 4.200 egzemplarzy tygodników, miesięczników—perjodyków. W roku 1934/35 odwiedziło „Książnicę“ 336.000 czytelników.

Zwiedzamy jeszcze na gorąco olbrzymie zakłady wydawnicze Brockhausa — ojciec wszystkich światowych encyklopedyj, leksykonów, słowników... Maszyny rotacyjne o najnowszych modelach bez

przerwy pracują, huczą, dudnią, wypluwają całe arkusze, zadrukowane pięknie i bez błędu.

Zbliża się godzina, wynaczona mi przez prezydenta miasta Lipska, p. d-ra Goerdelera. Jedna z najwybitniejszych postaci politycznych obecnego reżimu. Człowiek, którego już nieraz wysuwano na stanowisko premjera prowincji. Jeśli dotąd nie był jeszcze ministrem — to będzie nim w niedalekiej przyszłości.

Twarz energiczna, skupiona, mocna, o żywej mimice. Przejście od uśmiechu do brutalnego grymasu błyskawiczne. Fiksuje mnie długo oczyma, prosi siadać. Asystuje nam dr. Klingemann — szef prasy zagranicznej.

— Wywiad?... Naogół nie udzielam wywiadów. Poco mamy opowiadać? Kto ciekaw, sam może zobaczyć, co robimy, nad czem pracujemy.. Dr. Klinggemann, mój pomocnik, mówi mi jednak, że pan tylko w przejeździe. Więc służę. Za wiele błędnego materjału czerpią polskie pisma o Niemczech nie od... Niemców, a to niedobrze. Niedobrze, bo nieprawdziwe.

Więc przystępuję do pytań, dziś najistotniejszych, nad rozwiązaniem których głowią się rząd i władze samorządowe Rzeszy.

Walka z bezrobociem?
Sytuacja gospodarcza?
Plany na najbliższą przyszłość?

ROZMOWA Z NADPREZYDENTEM LIPSKA, D-REM GOERDELEREM.

— Jak możnaby, Panie Prezydencie, określić sytuację gospodarczą miasta przed objęciem władzy przez obecny reżim, i obecnie?

— Sytuację najlepiej panu zobrazują dane w dziedzinie bezrobocia. W styczniu 1933 r. mieliśmy w Lipsku na 700.000 mieszkańców zgórą 100.000 bezrobotnych. Tę olbrzymią rzeszę mogły zatrudnić tylko forsowne roboty, które rząd na wielką skalę podjął na terenie całej Rzeszy. Statystyka z kwietnia b. r. podaje już tylko 50.000 bezrobotnych, a więc w ciągu półtora roku zatrudniliśmy połowę bezrobotnych. Redukcja ta sprawiła, że równocześnie zmniejszyły się wydatnie ciężary, jakie miasto ponosiło, żeby tę olbrzymią ilość bezrobotnych utrzymać. Dziś te świadczenia społeczne idą na inny cel: na podejmowanie całego szeregu robót samorządowych. Oczywiście, poprawiło to kolosalnie stan gospodarczy miasta.

— Jakież to roboty podejmują panowie dla zwalczania bezrobocia?

— Nie potrafię panu wymienić tych wszystkich prac, których program przygotowywany był zawczasu i który realizuje się planowo i konsekwentnie. W pierwszym rzędzie jednak muszę podkreślić te prace, które idą w kierunku zaspokojenia głodu mieszkaniowego. Lipsk dotychczas głód ten odczuwał dotkliwie. Od dnia 1 stycznia 1933 r. podjęto budowę 8.300 mieszkań, z których ukończono już 6.434. Reszta — 1.657 mieszkań jest albo w budowie, albo na ukończeniu. Finansuje te budowy w pierwszym rzędzie kapitał prywatny, który wyzyskaliśmy, dając mu dobre oprocentowanie.

Pozatem jednak budujemy szereg gmachów o charakterze użyteczności publicznej, jak szkoły, rzeźnie, szpitale i t. p. Szereg imprez, jak np. budowa pomnika narodowego na cześć Ryszarda Wagnera, odbywa się kosztem mieszkańców Lipska. Obok gmachów użyteczności publicznej budujemy nowe autostrady, drogi asfaltowe, mosty i t. p. Regulacja

rzek, która dla handlu posiada ogromne znaczenie, ale także dla podniesienia warunków higjenicznych, odbywa się w poważnem tempie. Obecnie kończymy także budowę nowej, długiej szosy, łączącej bezpośrednio Lipsk z Berlinem.

Na budowę nowych szkół przeznaczyło miasto w tym roku 150.000 marek. Tyleż na budowę nowych mieszkań. Jak już oznajmiłem, niepodobna wymieniać wszystkich robót, w każdym razie, jak pan sam widzi, tempo prac u nas jest ogromne.

— Na zakończenie, Panie Prezydencie, chciałbym usłyszeć coś o stosunkach Lipska z Polską...

— Naturalnie, że stosunki takie istnieją i istniały zawsze. Mało jest państw, z któremiby Lipsk nie pozostawał w stosunkach bezpośrednich. Dzieje się to przedewszystkiem dzięki targom lipskim, które odbywają się tutaj dwa razy do roku. Znany jest więc panu Lipsk, jako miasto futer. Surowce futrzane sprowadzamy w dużej ilości z Rosji i z Polski. Dalej z Polski sprowadza Lipsk drewno oraz pierze. Gotowe wyroby wysyłamy spowrotem do Polski. Przedewszystkiem idą do Polski lipskie maszyny — do papierni, do druku książek i gazet, graficzne, rolnicze i t. p.

Jeśli chodzi o stosunki historyczne, to także Lipsk blisko związany jest z Polską. Przypominam więc panu, że w r. 1813 właśnie w Lipsku zginął wasz polski bohater, książę Poniatowski, którego pomnik do dziś dnia znajduje się nad brzegiem Elstery. Najbardziej ożywione stosunki łączyły jednak Lipsk w epoce Augusta Mocnego, który, jak pan wie, był jednocześnie królem Polski i Saksonji.

— Obecne zbliżenie polsko-niemieckie powinno się przyczynić do zacieśnienia tych węzłów, które za-

równo kulturalnie, jak intelektualnie i gospodarczo łączyły Polskę z Lipskiem. — Temi słowami kończy swój uprzejmy wywiad pan prezydent Goerdeler.

MONACHJUM — MIASTO CYGANERJI.

Na placu Odeon, w t. zw. Feldherren-Halle (Hala Wodzów), wiszą rzeźbione wieńce, wyobrażające utracone przez Niemcy prowincje i kolonje. Przystaję i czytam: Oberschlesien... Posen, Elsass... Lothringen... Kamerun...

Dosyć. Pytający wzrok kieruję na mojego przewodnika. Co mi na to odpowie? Przecież Niemcy w oficjalnych nawet enuncjacjach wyrzekają się niektórych utraconych terytorjów. A tu tymczasem...

— To nie myśmy stawiali — powiada. — To pamiątka po rządach socjalistów. My się do tego nie przyznajemy. Pan myśli pewnie — odwet? Nie myślimy o tem. Ani nam to w głowie. Kiedy pan zobaczy, ile budujemy, ile pracujemy — sam pan przyzna, że myśl o wojnie dla nas byłaby nonsensem i — zgubą. Nie poto się buduje i tworzy, żeby niszczyć! Nie mamy do wojny ochoty, nie mamy do wojny pieniędzy. Zbroimy się? Tak, to prawda. Zbroimy się, ale nie dla odwetu. Zbroimy się, bo w ten sposób żądać będziemy dla siebie szacunku. Nie chcemy — my, 100-miljonowy naród (liczę także Niemców poza granicami Rzeszy) — żeby nas traktowano, jak księstwo Luksenburg, Estonję, czy inny minjaturowy kraik...

Więc mam mu wierzyć na słowo?... Powiedzmy. Wszystko się z czasem zaciera—i pragnienie odwetu i uczucia nienawiści... Spoglądam raz jeszcze na wieniec z napisem „Posen“ i widzę gołębicę, która w za-

kamarkach stiuku wije sobie gniazdo. Gołębica — symbol pokoju.

Wszystko się może odmienić. Ten plac w Monachjum najlepszym tego przykładem. Tutaj — w r. 1923 — po raz pierwszy porwał się do walki oddział narodowych socjalistów. Prowadził ich do buntu Ritter von Epp. Przegrali. 40 hitlerowców poległo na tym placu w walce bratobójczej — tuż pod wieńcami utraconych prowincyj. Ale w 10 lat później — zwyciężyli. Wmurowano im pamiątkową tablicę z marmuru, a na niej położono napis: „*Und ihr habt doch gesiegt*“ (A jednak zwyciężyliście...).

Co dwie godziny zmienia się straż przy pomniku poległych bohaterów nazi. Żołnierze S. A. stoją wyprężeni, jak struny, a przechodnie pozdrawiają pomnik wyciągniętą ręką. Stado gołębi krąży nad placem Odeon, oznajmiając teraz pokój zwycięzcom i zwyciężonym.

— — — — — — — — — — — — —

Na każdym kroku jest „Kindel“. Co to jest „Kindel“? Malutki zakonnik w habicie z aureolą nad głową — w prawej dłoni trzyma olbrzymi kufel, a w lewej wiązkę rzodkwi. Dziwny osobnik! To herb Monachjum. Spotkacie go na wieży ratuszowej, w motywach dekoracyjnych knajp, domów — jest wymalowany na kieliszkach, na wazonach, kuflach, witrażach. Wszędzie jest „Kindel“. Już ten pogodny, beztroski zakonnik z kuflem piwa w dłoni uosabia najlepiej charakter miasta, które jest rozśpiewane, radosne, słoneczne...

Już na parę minut przed pierwszą tłumy zalegają plac ratuszowy. Zaraz się zacznie. Zabawny jest ten widok głów, zadartych wgórę, szyi wyciągniętych — oczekiwania, pełnego emocji i ciekawości. Zaraz się zacznie... Najpierw z uderzeniem zegara rozpocznie koncert kukułka. Wyleci ze szkatułki, zatrzepo-

cze skrzydłami i będzie kukać. Po niej trębacze oznajmią, że coś się w mieście stało. Ano, stało się...

Na pamiątkę straszliwej epidemji cholery, któ- ra nawiedziła miasto przed paruset laty, dzień w dzień na wieży ratuszowej odbywa się spektakl ku- kiełek, które przypominają o tem wielkiem zdarze- niu. Epidemja była tak straszna, że ludzie marli set- kami. Zdawało się, że nikt nie ocaleje. Ci, których jeszcze oszczędziła cholera, porwali w dłonie kufle z piwem i przy muzyce — skocznej, bawarskiej pio- sence — puszczą się w pląsy. *Vogue la galère*, czy też może *après nous le déluge...!* Kuranty grają, ku- kiełki, konne i piesze, poruszają się w takt muzyki, aż nagle wyskakuje z ukrycia kościotrup i kosą kosi życie rozbawionych monachijczyków.

Przedstawienie trwa dziesięć minut — podzi- wiają je, jako regjonalną osobliwość, cudzoziemcy, których tu nigdy nie brak. Ale i miejscowy naród chętnie słucha muzyki kurantów ratuszowych.

— — — — — — — — — — — — —

Być w Monachjum i nie zejść wgłąb Ratusza, gdzie się mieści największa piwiarnia — to jakby w Wenecji nie wsiąść do gondoli.

„Królewska piwiarnia", bo zaglądały do niej gło- wy ukoronowane. U wejścia bronzowy pomnik wy- obraża leżącego osła z nieporównanie pocieszną mi- ną, którego dosiada tryumfujący Bachus. Żart, ale jakże rozkoszny! Żart ten oznajmia:

„Człowieku, skoro schodzisz do przybytku Ba- chusa, pamiętaj zachować w piciu umiar. Nie bądź, jako ten osioł, strąbiony w pestkę i ogłupiały, ale smakuj trunek miarowo, abyś czuł miłą podnietę..." Każdy, kto wchodzi do piwiarni, w zwyczaju ma do- tknąć wystającego wielkiego palca u nogi Bachusa — takie odstukanie pecha! (Stąd, od tego dotykania, pa- lec ten wciąż błyszczy się i wyciera).

Z głębi już biją w nozdrza opary piwa. Ileż gatunków, rodzajów, smaków!... „Hackerbräu... Löwenbräu... Augustiner... i sławny na cały świat, ciężki, ciemny Pschorr. Dokoła ścian tej rozległej izby ciągną się rzędem półki z litrowemi kuflami. Wystarczy ująć jeden z nich za ucho, wrzucić, gdzie trzeba, monetę i litr pieniącego się piwa czeka wypicia. Do tego należy sobie zafundować porcję kiełbasy bawarskiej z kapustą — przysmak narodowy. Niektórzy odwijają papierki i wyjmują stamtąd gorący boczek, przyniesiony ze sobą.

Ale ubrania! Ubrania są przepyszne. Panowie, wszyscy, bez wyjątku, w narodowym stroju bawarskim. Krótkie, przed kolana, portki ze skóry, wełniane, grube, najczęściej białe pończochy, a na piersiach — istna uprząż końska! — szelki skórzane, rzeźbione, najczęściej z motywem alpejskiej szarotki. Marynarka do tego zwykła, z zieloną wypustką u kołnierza i z rogowemi guzami. Koszula odwinięta, spięta czerwonym lub niebieskim krawatem, ozdobionym pierścieniem z roku jeleniego. Panie w spódnicach luźnych, o kaftanikach z trzech pasów: zielony, czarny i czerwony. Do tego noszą kołnierzyk, skombinowany z kolorów zielonego i czerwonego. A na głowie — zawadjacki kapelusik z piórkiem. Strój ten dziewczęcy nazywa się tutaj „Dirndelkleider“.

Renesans strojów ludowych zaprowadził Führer. Mieszkał tu przecież przez szereg lat pod Monachjum, w Berchteshagen. i oto na jego cześć przyszła teraz moda w Monachjum na strój ludowy.

Babina o twarzy, do złudzenia przypominającej pysk orangutanga, widziany w Stallingen u Hagenbecka, przynosi zamówioną porcję bawarskiej kiełbasy. U wejścia widać teraz osobnika o pijackim, czerwonym nosie. Widać, że nie śmie wejść. Babina

na jego widok rozchmurza facjatę, podbiega i wtyka mu w łapę talerz jakichś klopsów.

— Masz, August, jedz na zdrowie, ale zato pomyjesz talerze.

August jest bezrobotny od pięciu lat. Jego żona pracuje na cały ich dom. August czasem coś zarobi, ale cóż, kiedy zaraz przepije. Więc w drodze łaski wolno mu przyjść do „Rathauskeller", gdzie dostanie swoją porcję klopsów. Ale nic niema na tym świecie zadarmo, więc August bierze się teraz do zmywania naczyń.

Przy sąsiednim stoliku siwy pan z bródką à la Mefisto szybkiemi rzutami kredki rysuje podobiznę swego sąsiada. „A może pan życzyłby sobie portret?" — Odmawiam mu uprzejmie. Malarz kłania się i idzie dalej.

Ale czas się wynosić z „królewskiej piwiarni", bo na ratuszu dobiega godzina, umówiona z panem prezydentem miasta. Mijamy słynną „Studnię Wittelsbachów" — majstersztyk rzeźbiarski! — świadczącą o wciąż jeszcze panującej w narodzie sympatji dla byłej tej dynastji. Ileż im Monachjum zawdzięcza — tym urodzonym mecenasom sztuki, tym protektorom artystów, którzy i sami wydali spośród siebie niemałoważnych ludzi sztuki!

Na ulicach ruch całkiem osobliwy. Przeważają rowery. Setki i tysiące rowerów. Urzędnicy, gońce, panienki sklepowe, ekspedjenci — wszystko to bractwo nagminnie używa jako środka lokomocji rowerów. Drugie miasto w Europie — po Kopenhadze — pod względem ilości rowerów. „Stanowi to dla nas cały problemat ruchu ulicznego — powiedział mi prezydent miasta — tramwajami u nas mało się jeździ, więc też nie dają miastu wielkiego dochodu".

Pan referent prasowy, dr. Stöger, prowadzi mnie uprzejmie do poczekalni i oznajmia, że prezydent

przyjmie mnie za chwilę. Pyszny salon, wysłany dywanami, na ścianach boazerje, karła wspaniałe, kryte wytłaczaną skórą (znowu „Kindel!“), nad niemi portrety działaczy NS.: „Führer“, Goebbels, Goering, Hess, nieboszczyk-bohater Horst Wessel (miła, młoda twarz studenta); w rogu kominek gotycki, a nad nim wyrzeźbiony złoty bawarski lew.

— Prezydent prosi pana.

Prezydent Monachjum, p. Fiehler, jest jednym z najbliższych przyjaciół Hitlera. Swego czasu razem w jednej celi siedzieli z Wodzem w więzieniu w ciągu 3 i pół miesięcy. Człowiek prosty, człowiek czynu. Kiedy mówimy o jego karjerze, z całą prostotą odwraca klapę marynarki, żeby mi pokazaé numer kolejny członkostwa partji — Nr. 37. A partja liczy dziś 100.000 członków — więcej się nie przyjmuje.

— Pokażemy panu to i owo z tego, co się u nas robi — mówi prezydent. Wy w Polsce macie o nas opaczne wyobrażenie. Wiemy, kto rozsiewa te uchybiające nam plotki... Niech pan dokończy cygaro i jedziemy.

Jedziemy. Nadprezydent Fiehler, prezydent dr. Tempel nie zawahali się poświęcić trzech godzin, żeby mi osobiście pokazać roboty państwowe i miejskie. Zająłem obok nich miejsce w pakownym Mercedesie i ruszyliśmy. Szofer gna, jak szalony, ale wprawną ręką trzyma kierownicę. Dr. Tempel co chwila zwraca się z czemś do niego i widać, że stosunek wzajemny prezydenta miasta i szofera jest więcej niż poufały. Widocznie obaj panowie musieli wyczytać w moich oczach pytanie, bo p. Fiehler powiedział głośno: „To też jeden z pierwszych... też siedział z nami za kratkami“...

Na Izarze staje nowy most betonowy. Szofer zatrzymuje wóz. Wysiadamy. Prezydent idzie naprzód, pokazuje, wyjaśnia, tłumaczy, zagaduje do robotni-

ków, klepie ich po ramieniu. „Taka przejażdżka, to nawet z pożytkiem dla mnie — powiada ze śmiechem — mam sposobność dojrzeć robót“. Widać, że ich dogląda często, bo orjentuje się wybornie w przebiegu prac.

— Budujemy mosty, autostrady, stawiamy całe kolonje dla bezrobotnych, wzięliśmy rozpęd pracy, jakiego Niemcy dawno już nie pamiętają. Najważniejsze jednak — to drogi. Hitler powiedział: „Nonsens, że będą u nas bezrobotni, jeżeli tylko będziemy mieli dobre drogi!“ W ciągu ostatnich czterech miesięcy wystawiliśmy całą kolonję robotniczą: 2.000 domków! Pracowało przy budowie 3.000 robotników. Wychodzimy z założenia, że tylko praca stwarza kapitał, a — nie odwrotnie! To jest ewangelja Führera.

Więc teraz jedziemy oglądać te robotnicze kolonje. Tuż za miastem ciągnie się nieskończony rząd analogicznych domków, każdy z ogródkiem, każdy prześlicznie utrzymany, zagospodarowany. „Przeciętnie po 4 izby w każdym — wyjaśnia dr. Tempel — koszt takiego domku waha się od 7.500 marek do 9.000 marek. Lokujemy w nich bezrobotnych. Cena domku wypada taniej, jeżeli bezrobotny sam brał udział w budowie. Czynsz miesięczny domku z ogródkiem i z niewielkim zagonem roli wynosi wszystkiego 20 marek!

Ta wściekła, warjacka praca zajęła moc bezrobotnych. „Przed trzema laty mieliśmy w samem Monachjum do 90.000 bezrobotnych, dziś ich mamy już tylko 20.000“ — tryumf i zadowolenie malują się na twarzy prezydenta.

A oto zestawienie ilości bezroboczych przed i po objęciu władzy przez narodowych socjalistów. Zestawienie to otrzymałem w monachijskim urzędzie statystycznym (Statistisches Amt der Stadt München):

LICZBA BEZROBOTNYCH W MONACHJUM

przed objęciem władzy przez NSDAP		po objęciu władzy przez NSDAP	
w d. 1/1 1932	— 74.727	w d. 1/2 1933	— 86.703
w d. 1/7 1932	— 72.493	w d 1/7 1933	— 74.149
w d. 1/1 1932	— 83.577	w d. 1/1 1934	— 63.536
		w d. 1/7 1934	— 35.516
		w d. 1/1 1935	— 31.611
		w d. 1/5 1935	— 26.302
		w d. 1/6 1935	— 20.436

Dodać należy przytem, że według mniemiania narodowych socjalistów statystyka poprzedniego reżimu nie była zupełnie ścisła. Zdaniem dzisiejszych władców, ilość bezroboczych przed objęciem władzy przez narodowych socjalistów przedstawiała się o wiele znaczniej, niż wskazują na to statystyki.

W każdym bądź razie przyznać trzeba objektywnie, że, jeżeli nawet nie miałoby się zaufania do urzędowej statystyki niemieckiej, to rozpęd i rozmach pracy, obserwowany dziś w całem państwie, każe wierzyć, że zatrudnia się maksimum robotników — wedle możności finansowych rządu i samorządu.

Samochód robi łuk. Wracamy w stronę miasta. Oto Brunatny Dom — kolebka hitleryzmu. W obszernym hallu rząd przy rzędzie stoją flagi i chorągwie narodowych socjalistów. Niektóre w strzępy podarte, niektóre krwią splamione — stare, pierwsze flagi „NS“ sprzed 10 lat!

Przed domem rumowisko, dokoła wre praca, powstają nowe, jakieś olbrzymie, wspaniałe budowle o frontonach, wspartych na marmurowych kolumnach.

— Dom Brunatny postanowiliśmy ozdobić. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Dokoła pierścieniem otoczy ten Dom rząd wielkich, reprezentacyjnych pałaców. Będą to nasze muzea.

Z gruzów powstają pałace, ale końca jeszcze nie widać. A tymczasem prezydent powiada: „W sierp-

niu wszystko to będzie gotowe. Musi być gotowe. W sierpniu mamy rocznicę uroczystą i w tym miesiącu nastąpi otwarcie"...

Wytrzeszczam oczy. Ależ u nas toby się robiło 2 lata!

— Widzi pan, Führer bardzo się interesuje budownictwem. Sam — jak pan wie, jest Hitler architektem (istotnie, Adolf Hitler uczęszczał do wiedeńskiej szkoły architektonicznej). Ilekroć jest w Monachjum, zaraz telefonuje do mnie, wzywa mnie, albo sam wpada i pierwsza rzecz — trzeba mu pokazywać plany robót. Na ten widok cieszy się bardzo... Sam robi swoje uwagi, sam doradza, że to ma być tak a tak, a tamto znowu inaczej.

Wracamy do samochodu.

— Więc teraz widzi pan, że pracujemy. Musimy dużo pracować i potrafimy dużo pracować. W tem cały rachunek Trzeciej Rzeszy. Nasze hasło: „Praca dla pokoju!" Precz z partjami, które tę pracę dla pokoju burzyły!... Musimy dać młodzieży pracę, gdyż bez pracy młodzież ta łatwo by się wykoleiła. A kto ma za sobą młodzież, ten ma także przyszłość. I odwrotnie — ten tylko ma za sobą młodzież, kto ma przyszłość...

Skręcamy jeszcze, żeby zobaczyć przed gmachem Muzeum Wojennego grobowiec poległych w Wielkiej Wojnie bawarczyków. Na granitowych, wpuszczonych w dół tablicach ciągnią się tysiące nazwisk poległych bohaterów, a w podziemiach spoczywa rzeźba leżącego żołnierza. Jakaś stara kobiecina cierpliwie obchodzi dokoła tablicę, jakby szukała nazwiska syna albo męża. Znalazła je. Stoi przed niem długo i sękatym palcem wodzi powoli po wklęsłych literach. „Otto Schmidt, geb. in München 1902, gest. 1919"... Więc syn.

— To jest przeszłość — powiada cicho prezy꞊

dent Fiehler. — My, hitlerowcy, chcemy stworzyć Niemcom przyszłość...

Wracamy. Prezydent wyciąga rękę i wyjaśnia: — „To jest nowy szpital. To gmach szkoły. Tu stanie rząd nowych domków robotniczych...“

— Jakże wy to robicie? Za co?

— Wie pan, że ja sam czasami dziwię się temu! Sam to uważam za cud, że my tyle potrafimy pracować, tyle tworzyć — w tak ciężkich, jak dzisiejsze, warunkach...!

Tak dziwił się przedemną prezydent miasta Monachjum, bliski przyjaciel Adolfa Hitlera... „Uważam to za cud“...

Niewątpliwie ekonomiści potrafią dać na to odpowiedź.

(c. d. n.) *Eugenjusz M. Schummer.*

HONOROWE ODOSOBNIENIE.

(Z ostatniej chwili).

Z ostatniej chwili oczywiście przed oddaniem reszty materjału niniejszego tomu do druku. Gdy artykuł ten dostanie się do rąk czytelnika może sprawa, którą poruszam, zrobi znaczne dalsze postępy, może zmieni swój wygląd na szerokiej arenie dyplomatycznej, gdzie wypadki dzisiaj gonią jedne za drugimi w błyskawicznem nieraz tempie.

Ale sądzę, że żadna dyplomatyczna, a więc bądź co bądź przemijająca zmiana sytuacji od chwili oddania tych słów do druku do chwili ekspedycji niniejszego tomu, nie wpłynie zasadniczo na zmianę tego, na co chcemy tu zwrócić baczną uwagę naszych czytelników. Zadaniem bowiem naszego miesięcznika nie jest i z natury rzeczy nie może być zajmowanie się doraźnemi perypetjami na politycznej arenie wewnętrzno-krajowej lub zagranicznej. Do tego służą przecież dzienniki. Nas natomiast interesują głównie sprawy i zagadnienia o głębszem znaczeniu, leżące na dnie powierzchownych, zmiennych z dnia na dzień aktualjów. A takie sprawy nie podlegają wcale szybkiej ewolucji, przeciwnie, potrzebują nieraz całych lat do dojrzenia i na całe lata wywierają swe skutki.

Z początkiem marca b. r. nastąpiły cztery ważne z naszego punktu widzenia wypadki w Europie:

1) zawarcie przymierza sowiecko-francuskiego,

2) reokupacja wojskowa przez Niemcy zdemilitaryzowanej traktatem wersalskim strefy nadreńskiej,

3) mowa kanclerza Hitlera w Karlsruhe,

4) komunikat oficjalny Niemieckiego Biura Informacyjnego.

Zdaniem naszem związek między pociągnięciem francusko-sowieckiem a pociągnięciem i enuncjacjami niemieckiemi jest tylko pozorny. Francja bowiem odawna zabiegała o odnowienie aljansu franko-rosyjskiego, a Hitler również oddawna prowadzi celową akcję wyzwolenia Niemiec z pod najbardziej upokarzających, ograniczających ich suwerenność klauzul traktatu wersalskiego. Jedno zbiegło się więc z drugiem przypadkiem w tym samym czasie, a akcja Niemiec została przez akcję Francji, czy może naodwrót, conajwięcej o dnie tylko przyśpieszona. Ale jedno i drugie wisiało oddawna w atmosferze europejskiej i doprzewało. Dlatego nie może stanowić dla nikogo zbyt wielkiej niespodzianki.

Dostatecznie wiadomo, że różne pociągnięcia, a zwłaszcza przemówienia polityczno-dyplomatyczne służą bardzo często do zamaskowania istotnej prawdy, istotnych tendencji. Ale w przemowie kanclerza Hitlera w Karlsruhe wypowiedziane zostały jednak pewne rzeczy o niewątpliwie szczerszej i trwalszej wartości, których hitlerowskie Niemcy, nie chcąc zupełnie przekreślić swej racji stanu, nie będą mogły zmienić z dnia na dzień i odrzucić nabok, jak podartą rękawiczkę. Inaczej bowiem wszelka wiara w honor hitlerowskiego reżimu i narodu niemieckiego byłaby raz na zawsze przekreślona i nie pozostałoby wszystkim narodom świata w stosunku do Niemców nic innego, jak tylko zbroić się gwałtownie, otoczyć Niemcy żelaznym pierścieniem i dążyć już bez żadnych zastrzeżeń do ostatecznego ich zgniecenia, jako oczywistego już wroga pokoju na świecie. Wolno niestety kłamać w wielkiej polityce, ale zawsze jednak tylko do pewnego stopnia. Prawdziwa racja stanu zakazuje kłamać zanadto. I dlatego nie mamy

powodu my, Polacy, nie wierzyć szczerości słów kanclerza w Karlsruhe, bo gdyby ich on i Niemcy nie dotrzymali, to stanowiłyby one początek końca jego i mocarstwowych Niemiec.

Otóż kanclerz Hitler, w obecności około 60 tysięcy słuchaczy, stwierdził przedewszystkiem swą szczerą chęć doprowadzena do rzeczywistego pokoju w Europie, opartego na zasadzie wolności i równości narodów. Europa jest zbyt małym obszarem, aby dzisiaj wojna między narodami europejskimi mogła przynieść któremukolwiek z nich rzeczywiste korzyści. Stąd niedorzeczną jest polityka państw, mająca na celu eksterminację innych narodów, bo dzisiaj mogą wprawdzie zmieniać się granice państw, ale już nie granice narodów.

A pod adresem Polski wypowiedział kanclerz następujące słowa, mówiąc wogóle o swych staraniach unormowania stosunków z sąsiadami na podstawie wzajemnego zaufania: „Wysiłki moje niezawsze były daremne. Przy pomocy Wielkiego Człowieka i Wodza udało się nam doprowadzić do zbliżenia polsko-niemieckiego. Stosunki między obu naszymi narodami opierają się na wzajemnym szacunku. Jestem przekonany, że zapewne już po paru latach będziemy sami ździwieni, jak mogliśmy patrzeć na siebie jako na wrogów dziedzicznych. Odkażenie i normalizacja stosunków polsko-niemieckich wyszły na pożytek obu stronom. Śmieszne byłyby nasze zamiary, zmierzające do zniszczenia Polski. Śmieszne byłyby podobne zamiary ze strony naszego wschodniego sąsiada. Oba nasze narody muszą współżyć obok siebie. Co więcej — zdaniem mojem — powinny ze sobą współpracować“.

Ustęp ten potwierdzony został grzmotem oklasków tysięcy zgromadzonych słuchaczy.

Następnie przeszedł kanclerz do omówienia stosunków z Francją. Jego zdaniem niepojętą jest dla niego polityka w pewnym kierunku mężów stanu tej republiki. Wszak posiada ona i potężne własne siły i olbrzymie fortyfikacje nadgraniczne i sojusze z Polską, Belgją i Czechosłowacją, uznane przez Niemcy w układach z Anglją i Włochami. Ale to wszystko nie wystarcza widocznie jeszcze politykom francuskim dla zabezpieczenia Farncji. Uważali, że trzeba zawrzeć jeszcze sojusz z Rosją Sowiecką.

„Niemcy... świadome swoich obowiązków wobec europejskiej zbiorowości, wysunęły wspaniałomyślnie ofertę, mogącą stworzyć zabezpieczenie pokoju europejskiego na ćwierć wieku. Niech nikt nie podejrzewa uczciwych moich propozycji! Niech nikt nie wątpi w moje słowa! D a n e g o s ł o w a z a w s z e d o t r z y m u j ę!“

A powiedział to wszystko kanclerz Hitler oficjalnie, więc niezawodnie w odpowiedniem porozumieniu z różnemi miarodajnemi sferami Niemiec.

W związku z tem przemówieniem ukazał się obszerny komunikat oficjalny Niemieckiego Biura Informacyjnego, potwierdzający i komentujący powyższe słowa. A kończy się komunikat ten oświadczeniem, że gdyby inne rządy odmówiły rokowań z Niemcami, gdyby propozycje kanclerza nie zostały zagranicą przychylnie potraktowane, to wówczas rząd niemiecki, opierając się na zaufaniu, wierności i ofiarności narodu niemieckiego, wybierze raczej h o n o r o w e o d o s o b n i e n i e, niż dalsze bytowanie upośledzonego narodu w zespole innych narodów.

Mniej obchodzi nas stosunkowo, co się dzieje nad Renem, a daleko więcej oczywiście to, co się

dzieje u naszych sąsiadów. Ze strony niemieckiej mamy nietylko jasną i wyraźną ofertę, ale, co więcej, oficjalne stwierdzenie istnienia przyjaznego z Polską stosunku i mocno wypowiedziane postanowienie dalszego kontynuowania tego stosunku oraz stanowcze przekreślenie wszelkich zamiarów agresywnych, jako wprost „śmiesznych". W innem zaś niemieckiem przemówieniu oficjalnem, które padło również w tych dniach, stwierdzono niemniej wyraźnie uznanie przez Niemców konieczności dla Polski dostępu do morza, a więc niejako przekreślenie niemieckich pretensji korytarzowych. Francja zaś zawarła równocześnie sojusz z bolszewikami — nie z Rosją, której narazie niema, ale z rzeczywistością bolszewicką.

Popełniła tem samem ciężki błąd polityczny, zagrażający niewątpliwie nietylko całej Europie, ale i jej samej i całej zachodniej cywilizacji. Kapitalna bowiem omyłka miarodajnych polityków francuskich leży w tem, że związali Francję z czemś, co nie jest państwem w europejskiem tego słowa znaczeniu, ale przedewszystkiem zbrojnym ośrodkiem cywilizycyjnego wywrotu, tworem, zbudowanym zasadniczo na przekreśleniu wszelkiej etyki, na którego więc podpis i lojalność nigdy nie można liczyć. Dla Francuza Rosja dzisiejsza jest ciągle jeszcze Rosją, która na francuskiego posiadacza carskich wierzytelności miljardowych wywiera wciąż jeszcze niesłychany urok. Niedawno pewien speaker w paryskiem radjo opowiadał całemu słuchającemu społeczeństwu francuskiemu w entuzjastycznych słowach o przebogatym raju rosyjskim. A tymczasem tej wymarzonej w mózgach rentjerów francuskich Rosji, mlekiem, miodem i pieniędzmi płynącej, dawno już niema, a na jej miejscu są Sowiety, w których rzeczywistość i istotną wartość sojuszniczą widocznie

nawet wybitni politycy francuscy nie mogą, czy nie chcą wierzyć. Jakże bowiem zawierać można na serjo sojusze z ustrojem, którego podstawą jest „rewolucyjne sumienie“, a więc coś, na czem cywilizowany człowiek zachodu absolutnie niczego budować nie może!

Słyszeliśmy niedawno w pewnych politykujących sferach naszej stolicy złośliwe wyrażenie, skierowane pod adresem rzekomo germanofilskiej polityki, jaką Polska niby w ostatnich czasach uprawia, że doprowadzi nas ona, w braku poparcia (t. j. protektoratu — przyp. autora) Francji, nie do tak dumnej splendid isolation, na jaką stać tylko potężną Anglję, ale na „kiepską isolation“, która zmusi nas do bezwolnego i nieokreślonego marszu za niemieckim rydwanem. To nieprawda, bo jest jeszcze trzecie wyjście, które wskazuje nam mimowoli wyżej wspomniany urzędowy komunikat niemiecki: izolacja honorowa. Istotnie, gdyby „kompleks strachu“, na który dziś Francja, mimo swych fortyfikacji i floty i rozlicznych sojuszów choruje, miał rzucić naród francuski — z jego nadmiernie dziś rozwiniętą, komunizującą lub wprost komunistyczną lewicą — bezkrytycznie w objęcia czerwonego sowieckiego antychrysta, działającego przedewszystkiem rozkładowo na wszelki inny organizm, państwowy i społeczny, a więc i militarny, który z nim w bliski kontakt wejdzie, to co wówczas Polska ma robić? Czy oprzeć się naiwnie na pozostałej klice francuskich parlamentarzystów, którzy poza swem hasłem „być ponownie wybranym!“ ani o świat cały, ani tem mniej o Polskę nie dbają? Czy może na tamtejszej garstce hrabiów i margrabiów, przeważnie spekulantów giełdowo-przemysłowych, pozbawionej oddawna wszelkiego znaczenia, a traktującej Polaków stanowczo niżej od Murzynów senegalskich, których nietylko paryżanie,

ale przedewszystkiem paryżanki tak bardzo uwielbiają!?

Chyba nie! Byłoby to z naszej strony kompletnie bezmyślną, z dawnych czasów niewoli kontynuowaną orjentacją „napoleońsko-emigrancką“, która już dzisiaj przeszła dawno do historji. Byłoby orjentacją tem głupszą, że ta Francja, przeżerana coraz bardziej przez komunizm, wszelkie doktryny wywrotowe i nieustanny ciąg stawiskjad i podobnych skandali, będących symptomem głęboko jednak posuniętego zepsucia ogólnego, zawarła sojusz właśnie z temi dwoma państwami, które są nam najbardziej niebezpieczne otwartą wrogością i czynnikiem bolszewickiego rozkładu, t. j. z Czechami i Rosją.

Militarnie obu tych państw wcale się nie obawiamy. Rosja przekonała się, że odrodzona Polska umie się gruntownie bronić (a tylko niezdarne pod wodzą endeków zawierać traktaty), a od r. 1920 armja polska nie straciła czasu. Dlatego nie imponują nam i nie straszą nas uroczyste defilady przed Kremlem „zmotoryzowanej armji sowieckiej“. Czesi zaś, znani ze swej odwagi wobec bezbronnych chwilowo Węgrów i Słowaków, gdyby jednym palcem ruszyli przeciw Polsce, to zanim „nieprzezwyciężone“ armje moskiewskie przyjdą im na pomoc, dostaną tak w skórę, że bitwa pod Białą Górą w porównaniu z tem cukierkiem by im się wydawała. Byłaby to dzisiaj w Polsce najpopularniejsza wojna, na którą każdyby ruszyłby z prawdziwą ochotą!

My więc, chociaż daleko więcej eksponowani, nie podlegamy takiemu „kompleksowi strachu“, jak Francuzi, drżący widocznie w swych niezdobytych fortach i wzywający dlatego samobójczo na pomoc tych, którzy właśnie w wysokiej kulturze burżuazyjnej francuskiej widzą największego swego wroga w Europie. Bo każdy wie — oczywiście za wy-

jątkiem rentjera francuskiego — że ostatecznym, głównym celem „rewolucji światowej", propagowanej przez bolszewików, jest nie Warszawa i nawet nie Berlin, ale Paryż. Tam się dostać i zgasić cywilizację de la Ville Lumière — oto szczyt marzeń bojowego komunizmu!

Jedynym naszym, na serjo groźnym przeciwnikiem militarnym mogą być tylko Niemcy. Ale te Niemcy dzisiejsze otoczone są dokoła pierścieniem wielkich i małych, mniej lub więcej kordjalnych porozumień francuskich ze wszystkiemi państwami, a wobec Polski złożyły oficjalne, słowem honoru i sankcją „śmieszności" poręczone oświadczenie, że nie mają wobec nas żadnych zamiarów agresywnych. Zresztą, gdyby nawet, łamiąc to oświadczenie, porwały się na nieprawdopodobne szaleństwo rzucenia się na Polskę dla udebrania jej paru kilometrów kwadratowych, to żadnej nie ulega wątpliwości, że wówczas Francja rzuci się na nie ztyłu, a inni sojusznicy francuscy także, bo nikt w Europie nie zniósłby — we własnym interesie — powiększenia się Niemiec kosztem zaborów w Polsce. Napad Niemiec na Polskę byłby uważany powszechnie jako powtórzenie roku 1914, czyli wypowiedzenie przez Niemców wojny na dwa fronty.

Dlatego, trzeźwo rzeczy biorąc, nie sądzimy z tego wszystkiego, abyśmy mieli na serjo powody Niemców się obawiać. Przeciwnie, mamy wszelkie poważne dane, aby sądzić, że w Niemczech zrozumienie ich własnego interesu odgrodzenia się od Rosji silną polską zaporą, której właśnie brakło w r. 1914, zaczyna na serjo się gruntować.

Możemy więc w danym razie, gdyby Francja szła w dalszym ciągu na politykę „czerwoną", pozwolić sobie całkiem spokojnie na podobne „honorowe odosobnienie", o jakiem dla Niemiec wspomniał kan-

clerz Hitler. Nie znaczy to wcale — jak twierdzą z uporem różne u nas przeżytki niewolniczych orjentacji z czasów zaborczych—żebyśmy musieli wprząc się w jakąś politykę rydwanu niemieckiego. Bo dla Niemców, gdyby żywili istotnie jakieś agresywne zamiary w którymbądź kierunku, przedstawia się Polska na ten wypadek z natury rzeczy jako jeden z wielu sojuszników Francji i to nie najsłabszy. Rzecz jasna i oczywista. Ale z drugiej strony, jeżeli ta Francja zawiera sojusz z Rosją, która sojuszu tego w danym razie inaczej wykonać nie może, jak wpędzeniem swoich hord czerwonych wraz z komunizmem na terytojum Polski, to musimy przedewszystkiem myśleć o grożącem nam bardzo realnem niebezpieczeństwie, wzmożonem przez wrogie czeskie zamiary, niż o jakichś tam strachach francuskich za ich potężnymi fortami nad granicą niemiecką. Wiemy już, jakie znaczenie mają dla nas „pełne wzajemnego podziwu" traktaty przyjaźni francusko-rosyjskiej od czasów Tylży, gdzie Napoleon z carem serdecznie się uściskali i zatopili sprawę polską — w Niemnie. A potem sławiona we Francji „aliance franco-russe" wykreśliła ostatecznie wszelką sprawę polską z dziejów Europy. Trzeci raz nie damy się wziąć na kawał. Jeżeli Francji milszy jest bolszewizm, to i owszem — niech zakosztuje Francja tego osobliwego sojuszu!

A my tymczasem, prowadząc własną politykę — na co nas stać w obecnych, wyżej skreślonych warunkach — winiśmy skorzystać z okazji, jaką daje nam ustrój i duch hitlerowski w Niemczech. Winniśmy dopomóc kanclerzowi Hitlerowi, biorąc bezwzględnie za dobrą monetę jego słowa, o ile w dalszym ciągu sprawdzimy, że miarodajne czynniki niemieckie też lojalnie w ich myśl postępują. Trzeba tylko po naszej i niemieckiej stronie

nałożyć odpowiednie wędzidło wzajemnym krzykaczom, szkodliwym propagatorom imperjalistycznego nacjonalizmu. A więc u nas zażartym słowianofilom, a ściślej mówiąc czechofilom i rusofilom, których ideologja najniebezpieczniejsza jest dla Polski, bo tumani prostaczków, że „pobratymcze" armje słowiańskie ruszą kiedyś pod wodzą polskich endeków na zdobycie Berlina, czy może nawet i Hamburga, jako przecież „prastarych siedlisk słowiańskich". Najgorliwiej będą nam w tem pomagać oczywiście bracia z nad Wełtawy, a nawet Serbowie ruszą tłumnie ze swych bałkańskich siedzib „na Niemca". Wcale tu nie ironizujemy. Takie brednie słowiańskie są w istocie najgłębszą podstawą naszego krajowego, ultra-nacjonalistycznego światopoglądu. Zwolennicy jego, wpatrzeni pod wpływem swoistego „kompleksu strachu" w niebezpieczeństwo, mogące ewentualnie grozić z Berlina, nie widzą stokroć gorszego niebezpieczeństwa, które już bezpośrednio grozi Polsce ze wschodu i południa.

Z drugiej strony jednak winni Niemcy, skoro się ich Wódz i Kanclerz słowem zaangażował, a tysiące rdzennie niemieckich słuchaczy w Karlsruhe słowo to żywo oklaskiwali, zlikwidować i u siebie prowokatorskie, antypolskie wypady różnych agitatorów, bojówek, a nieraz nawet i wybitniejszych ludzi. Narazie bowiem konstatujemy nieraz, że oficjalny Berlin prawi co innego, a na prowincji coś innego się dzieje. Robi to na polskiej opinji publicznej wrażenie, że albo oficjalne enuncjacje niemieckie są nieszczere, albo, że kanclerz Hitler nie ma istotnej władzy w swym narodzie! Ustawiczne wyczyny hitlerowskich bojówek nie przyczyniają się do ugruntowania w oczach Polaków faktu, że odwieczna nieprzyjaźń polsko-niemiecka ma być pogrzebana. Podobnie wojownicze występy takiego np. ministra,

p. Schachta, który bawi się w demagogicznego agitatora na kresach, są oczywiście zupełnie niedopuszczalne, jeżeli mamy przyjąć z dobrą wiarą — jakbyśmy tego pragnęli — oświadczenie niemieckiego kanclerza.

Mówiąc wyraźnie: duch wszechniemiecki i wszechpolski muszą zniknąć — jeżeli współpraca polsko-niemiecka ma ze słów zejść do czynu. A z nimi razem zniknąć musi także faktyczna zaborczość różnych sfer w łonie organizacji narodowo-społecznej Niemiec, która jest dotąd często tylko formalnie głoszona.

Dlaczego nie mogłoby to nastąpić, dlaczego nie miałoby porozumienie polsko-niemieckie „zejść ze słów do czynu"? Przecież jesteśmy niepodległem, suwerennem państwem, dość uzbrojonem, a warunki dzisiejsze winny też zmienić psychikę naszą na punkcie realizmu ujmowania politycznych problemów. Niema już dzisiaj mowy o żadnym „germanofiliźmie", gdyż była to pewna orjentacja rozpaczy w okresie wojny światowej, podobnie, jak był nią wówczas „rusofilizm". Dziś o tem wszystkiem mowy być nie powinno. Grozi nam zbrojny bolszewizm, który wprzęgnął w swój rydwan Francję. Grozi największe niebezpieczeństwo naszej i wogóle europejskiej cywilizacji. A jeżeli Niemiec — i to Niemiec hitlerowski — wyciąga do nas rękę, to dlaczego nie mamy z tego skorzystać? Dlaczego mamy popadać małodusznie w psychiczne poczucie „kompleksu niższości" i uważać się za tak nędznych i słabych, że dobre stosunki i pewne współdziałanie z Niemcami, o ile zechcą słowa dotrzymać, mielibyśmy zgóry uważać za „wprzągnięcie się w rydwan polityki niemieckiej"?

Przestańmy się raz bać tej skłóconej, zawsze niezdecydowanej Europy, która, uzbrojona od stóp do

głów, tak panicznie mimo to boi się Niemca i tak do żadnej zgody między sobą dojść nie może i tak wzajemnie ciągle się oszukuje, że aż bolszewika musi wzywać na pomoc i błagać go, aby raczył zająć miejsce w Lidze Narodów, zawierać z nimi sojusze i bronić zachodniej „zgniłej cywilizacji“ przed niby grożącą inwazją niemiecką.

Daleko mądrzej zrobiłyby mocarstwa zachodnie, gdyby zechciały w ciszy swych gabinetów ministerjalnych zastanowić się nad rzeczywistą rzeczywistością, że podobnie, jak duszące się nadmiarem swej ludności Włochy muszą dążyć do zdobycia sobie obszerniejszych terenów kolonjalnych, tak i niemniej duszącemu się w swych granicach, a jeszcze liczniejszemu i gospodarczo wyżej stojącemu narodowi niemieckiemu również kolonje się należą. Odebranie ich Niemcom było najcięższym błędem traktatu wersalskiego. To też nieuwzględnienie w rychłym czasie tego organicznego postulatu zwiększać musi naprawdę niebezpieczeństwo wojny.

Nie bójmy się więc „opinji“ Europy, ale róbmy to, co uważamy za realne i wskazane. Nieprawdą jest, że Francja, czy inny jaki kraj zachodni, gniewać się i obrażać na nas będą z powodu prowadzenia przez nas polityki zdrowego egoizmu. Wprost przeciwnie, im silniejsze będziemy mieli sojusze, przy dobrem oczywiście uzbrojeniu własnem, tem bardziej wzrośniemy na Zachodzie w cenie.

* * *

DZIAŁ BELETRYSTYCZNY

DACHY PŁONĄ

Powieść ziemiańska z ostatniej doby.

SIERPIEŃ.

Sierpień, to miesiąc największego nasilenia pracy dla rolnika. Jeszcze żniwa nieukończone, trzeba więc pośpiesznie żąć to, co jeszcze na pniu zostało: owsy, bobiki, mieszanki. Trzeba zwozić i w sterty układać to, co w lipcu było zżęte, a równocześnie i młócić, bo brak gotówki doskwiera coraz bardziej, a żydki czekają już z terminatkami na zboże. Trzeba także przygotowywać nasienie i już pokładać, orać i bronować rolę pod wczesne zasiewy ozimin. Ludzie pracują jak szaleni, zapominając o śnie i spoczynku. A cóż dopiero, gdy pogoda nie sprzyjała przez dłuższy czas!

Po suchym, upalnym bardzo lipcu nastąpił tego roku chłodny i dżdżysty sierpień. Zboże gniło w półkopkach na polu, owies na pokosach zrastał, a strugi deszczu lały bez przerwy z nieba, zasłaniając cały widnokrąg jednym mglistym welonem. Ludzie, gryząc palce w nudzie i rozpaczy, wystawali w oknach lub wybiegali na podwórze i rozglądali się po niebie, starając się odgadnąć z rodzaju i wyglądu chmur, z kierunku wiatru, czy nie zajdzie na końcu upragniona zmiana pogody.

Codziennie wieczorem po folwarkach dawano dwojakiego rodzaju dyspozycje: na wypadek deszczu i pogody. Lecz codziennie rano budzono się pzy monotonnym brzęku kropel o szyby. Humory psuły się i ludzie klęli. I tak już dość ciężki jest los

rolnika w ostatnich latach, jeśli więc jeszcze Pan Bóg odejmie od niego Swą dłoń litościwą i praca jego pójdzie na marne, co wówczas się stanie?

Pan Karol miał teraz wiele wolnego czasu do gorzkich rozmyślań. Ból nagły, ostry, przeszywający, który odczuł po raptownym wyjeździe Juli bez pożegnania, przemienił się teraz w wielkie cierpienie, obejmujące go całego. Jula dobrze wiedziała, że wyjazdem nie zerwie nici, wiążących go do niej, była pewna swego wpływu z daleka. Tęsknił do niej tak bardzo, że czuł się w stanie popełnić teraz każde szaleństwo, aby ją odzyskać. Sprawa rozwodu nie była nigdy między nimi poruszana, ale domyślał się. że to byłby może jedyny sposób pozyskania jej, gdyż wszelkie jego delikatne i okrężne próby zdobycia jej tajemnie odtrącała stanowczo i mimo, iż widział, jak silnie odczuwała jego obecność, nie straciła nigdy przytomności i władzy panowania nad sobą i odtrąciła go zawsze w porę. Ilekroć przypominał sobie to, przyciskał rozpaczliwie dłonie do czoła lub przykładał je do chłodnej szyby, szukając uspokojenia dla rozstrojonych nerwów. Gdyby był wiedział, dokąd wyjechała, gdzie jej szukać, porzuciłby wszystko bez wahania, leciałby do niej i czołgałby się u jej nóg. Przyjąłby wówczas wszystkie jej warunki. Lecz ona przez dwa tygodnie nie dała znaku życia o sobie, aż wreszcie przyszedł upragniony list. Pan Karol nosił go zawsze przy sobie. Pisała z majątku wuja, donosiła, że pracuje tam przy żniwach, że mnóstwo ma roboty, lecz że praca idzie jej dobrze.

„Kochany — pisała — wśród największej pracy myśl moja i serce jest nasiąknięte zawsze Tobą, mam cię wciąż przed oczyma, jestem twoją duszą i sercem. Przybądź we wrześniu do Lwowa, pojadę tam także już za swoje zapracowane pieniądze i ułożymy się, zbudujemy plan naszego życia...“

Odczytywał po sto razy te słowa i całował je. Tęsknił przemożnie do owej chwili upragnionej, naznaczonej przez nią, w której ją zobaczy, zawrze w uścisku... A tymczasem było mu bardzo ciężko znosić obecność pani Aliny. Choć Jula ani słowem nie wspominała o zajściu, jakie z nią miała, a wyjazd swój nagły tłumaczyła niemożnością znoszenia dłużej dwuznacznego położenia, domyślał się, że żona przyczyniła się w pewnym stopniu do jej wyjazdu. Patrzała na niego tak lękliwie, nieśmiało, obchodziła go z daleka, nie narzucała mu się nigdy, nie wchodziła swobodnie do jego pokoju, jak to zwykła czynić dawniej o każdej porze. Prawie nie mówiła do niego, choć zawsze starała się zachować uśmiech i pogodę na twarzy. Gdy patrzał na nią, tak pokorną i biedną, czuł w sobie przypływ litości, a równocześnie wyrzut sumienia, że za jej dobroć niezrównaną i miłość wierną odpłaca się jej innym chlebem. Lecz zaraz potem, skądeś, z najgłębszych tajników natury ludzkiej wypływała jakaś złość i rozdrażnienie, jakaś odraza do pokonanej i odtrąconej już kobiety. Dusza zamierała w nim wówczas, a budziło się zwierzę. Uciekał wtedy jak najdalej, aby nie wybuchnąć i nie dać wyrazu tym strasznym, nienawistnym uczuciom.

Blisko dziesięć dni trwała słota rozpaczliwa, a cały ten czas prawie spędził pan Karol zamknięty w swojej kancelarji, unikając otoczenia rodziny, na bezowocnem i bezcelowem krążeniu po pokoju. Słota ciążyła mu bardziej może, niż komukolwiek, zmuszając go do bezczynności, której zawsze obawiał się najwięcej. Rachunki robił zwykle w zimie, prócz więc kilku zapisków i paru listów dziennie, nie miał żadnego zajęcia przy biurku, a ponieważ każdej godziny wyczekiwano zmiany pogody, nie mógł się zabrać do żadnej, na dłuższą metę zakrojonej pracy. Przystawał więc w oknie i patrzał na ociekający de=

szczem ogród, pukał w barometr, próbując, czy nie okazuje bodaj najsłabszej skłonności do podnoszenia się i znowu zaczynał wędrówkę bez końca wśród czterech ścian. Gdyby choć mógł wyjść z inwentarzem w pole, chwycić się pracy czynnej, walki, borykania, byłoby mu lżej, a tak... marnieje wszystko w polu, gdy on może tylko bezczynnie patrzeć na to, a serce jego łamie się w tęsknocie i biernem oczekiwaniu, podczas gdy Jula tam, gdzieś, hen, żyje i rozkwita w pełni swoich czarów!

— — — — — — — — — — — — —

— Psiakrew! — klął siarczyście pan Kazimierz Ładoś i, jak chmura gradowa, przebiegał niecierpliwy i zły folwark i pokoje. — Marnieje wszystko, marnieje, widzisz! Djabli biorą żniwa. Moja najlepsza pszenica za Garbem już kiełkuje, a owies na Przewłoce ma zielone całkiem czapki. No, pomyśl sobie, jeśli tak dalej pójdzie, to zgnije wszystko — skarżył się żonie.

— Nieznośny jesteś, Kaziu. Miejże trochę cierpliwości. Wszyscy cierpią tak samo. Ja temu nie jestem winna, że deszcz leje, ja ci nic nie pomogę...

I sprzykrzywszy sobie jego lamenty, wyjechała pani Tola na dni parę do Gaszyńców — na bridge'a i spokój, jak mówiła, póki się nie wypogodzi i Kaziowi humor nie wróci.

Urlop pana Piotra przeciągnął się nadspodziewanie długo, ale z końcem sierpnia miał już jednak stanowczo wyjechać. Ponieważ deszcze nie pozwalały na spotykanie się w lesie i na stawie, bridże w zacisznej, ciepłej i pachnącej skórą bibljotece hrabiego Gaszyńca były świetną rozrywką, polem do gry słów, flirtu i miłem intermezzem zażylszych stosunków. Ale z przykrością i ledwie tajonem upokorzeniem skonstatowała pani Ida jakąś zmianę tonu i zachowania się wobec niej ze strony pana Piotra. Mi-

mo świetnych manier światowca, miarkować zaczęła, że bawi się nie z nią, ale nią, że odnosi się do niej z jakimś subtelnym gestem wyższości po odniesionem zwycięstwie i jakgdyby pogardy. Uczuła stopniowo, że, mimo zachowywania wszelkich pozorów światowych, nie jest już dla niego damą, ale — zdawkowo zdobytą i pokonaną kobietą. Jedną z wielu. I wówczas ogarnęło ją nagle poczucie winy — nieodwołalnej winy...

Pan Kazimierz zły, huczał sam w Wiszence, a synowie wymykali się do leśniczówki.

— — — — — — — — — — — — —

Aż raz, przed wieczorem, wyszedł łaskawie św. Piotr paść baranki na wielkiej, lazurowej łące nieba, jak to powiadają na wsi i nadzieja wstąpiła w serca osmucone. Ludzie wybiegali tłumnie na drogi i ogrody, witając radośnie litościwego Pasterza. Wiatr powiał wschodni, zrobiło się jakoś świeżo i rzeźwo, a westchnienie ulgi wyrwało się z tysiąca piersi.

Nazajutrz świeciło już jasno słońce, a ludzie wypadali z domów i biegli do roboty. Śpieszyły w pole dziewki z widłami, bosemi nogami ślizgając się w błocie, do pokosów, które przerzucać trzeba było na gwałt, do snopów, które trzeba było rozwiązywać i suszyć. Śpieszyli parobcy z pługami na ciernie szerokie. Huczała robota, jak w ulu, przelewała się, pieniła. Furja pracy opadła ludzi: póki czas, póki słonko świeci, rwijcie, co się da, chwytajcie, bo jutro może być zapóźno. Jedni drugich zagrzewali do wytrwania. Chłopi biegli najpierw na swoje pola, do własnego dobytku, folwarki nie mogły dostać robotnika za zwykłą cenę, a więc przepłacano go, wyrywano go sobie. W takich wypadkach niema ceny, płaci się, ile żądają, bo tu każda chwila droga dla ratowania dobytku całego roku. Trzeba nadrobić czas stracony, a tu przybyło jeszcze pracy, bo musi się suszyć to,

co przemokło, a pora roku nie czeka, wrzesień za pasem, już o siejbie myśleć trzeba!

Pogoda ustaliła się wreszcie jako tako, przepadały jeszcze od czasu do czasu deszcze, ale wkońcu zapanowały dnie chłodne, lecz suche. Wiatry przesuszyły zboże i można je było wozić i młócić. Znikały, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gęsto dotychczas na polu osiadłe, przysadziste półkopki, wysrebrzały się jednostajną płachtą dalekie, smutne ścierniska i pługi zaczynały ciężką, równą pracę; wyciągały się za nimi długie, czarne zagony. Co roku przywraca się tak ziemi jej naturalną barwę, potem stroi się ją w nową szatę, by co roku ją zedrzeć i zdrapać do żywego, a w tę żywą, odkrytą ziemię, jakby świeżą krwią ociekłą, sypie się raz jeszcze nowy posiew.

Pan Karol szedł wolno brózdą naprzód. Przed nim, o parę kroków, głęboko zanurzone ostrze pługa krajało ziemię i odwalało na bok lśniącą, czarną skibę, jak kromki chleba razowego, wonne i soczyste. Od czasu do czasu parobek, idący za pługiem, przystawał, wyciągał lemiesz z ziemi, obijał go dźwięcznie patykiem, oczyszczał z grudek nalepionej ziemi, ustawiał z powrotem i wołał przeciągle na konie: „Wiśta, wio!“ Konie, zaparłszy się i wygiąwszy grzbiety, ruszały wolno przed siebie. Wrony i gawrony spacerowały nadęte i pyszne między brózdami, by od czasu do czasu dzióbnąć zamaszyście pędraka lub dżdżownicę. Pan Karol mierzył laską głębokość brózdy, potem, przykładając zgięty palec do laski, liczył, ile cali wynosi orka, a jeśli wydała mu się za płytka, kazał pogłębiać lemiesze. W pewnej chwili spostrzegł, że siwa klacz ociąga się w robocie, kazał znowu przystanąć, uniósł szleje na karku konia i zobaczył dużą, czerwoną plamę na miejscu, gdzie kończy się grzywa.

— Jeszcze odparzona — mruknął zły. — Dlaczego, Mikołaju, wzięliście ją do roboty? Mówiłem, że musi spoczywać, dopóki się nie zagoi!

Mikołaj zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

— A co było robić? Innego konia niema, orka zaciężka na trzy konie, to i pług miał stać?

— Można było wziąć gniadego, co wodę wozi do maszyny.

— To zdechlak, proszę jaśnie pana, taki stary, że ledwo nogami powłóczy. Ja jej tu trochę szleję poprawię, żeby jej nie doskierało i musi chodzić, a nie, to pług stanie.

— Jak przyjdziecie na południe do domu, to wam dam kawałek flaneli i obłoży się szleję w tem miejscu, a ranę znowu zapuszczę bioktaniną. To prawda, że dziś nikomu spoczywać nie wolno, ludzie się męczą, to i zwierzęta pocierpieć muszą.

Poprawił sam szleję i ściągnął ją sznurkiem, aby nie drażniła miejsca bolesnego, poklepał biedną siwą klacz po szyi i zachęcił do pracy:

— Wio, staruszka, wio, nie lękaj się, już ci będzie lepiej. Wszyscy ciągniemy jeden i ten sam pług naszej doli.

Gdy wyszli na górkę, ukazał się im nagle pan Cerkawski, w starym, zniszczonym kapeluszu panama. Szedł wolno, z założonemi w tył rękoma i pochyloną głową. Pan Karol doznał uczucia pewnej niechęci i już chciał nawrócić, w nadziei, że go sąsiad nie spostrzegł, ale w tej chwili właśnie tenże podniósł głowę.

— Jak się masz, Karolu! — zawołał. — Jak widzę, orki swojej gorliwie pilnujesz. A jest czego pilnować!

— O, sąsiad z za górki! — udał ździwionego pan Karol. — Dzień dobry!

— Z za górki, a nie o miedzę sąsiad, dobrze mó-

wisz, bo moja miedza oddaliła się trochę od twojej — odparł zgryźliwie i sarkastycznie.

— Jak się ma twoja wątroba?

— A jakże się mieć może przy tem podłem życiu i wściekłych czasach? Każą mi jechać do Karlsbadu. Wolne żarty! Kto mi da na to pieniądze? Rodzice żony siedzą na worach złota, ale sami się tem tylko pasą. Ty człowieku zdychaj, nikt się ciebie nawet nie zapyta, czy ci kuracji nie trzeba!

— Chwała Bogu, że wypogodziło się trochę. Jak słonko przygrzeje, to i tobie polepszy się — łagodził pan Karol.

— Polepszy mi się akuratnie! Pogorszyć mi się tylko może. Mnie już nic dobrego w życiu nie spotka. Masz papierosa?

— Służę ci. — Zapalili obydwaj.

— Czy twój sąsiad z drugiej strony, Jan Wyszymirski, skończył żniwa?

— Nie wiem dobrze, być może, że już, bo nie widzę półkopków u niego w polu, ale nie chodzę do niego, bo nie lubimy się. Zawsze gra rolę pana, a wiemy przecie, jak stoją jego interesa, każdej chwili mogą go zlicytować. Nie lubię, jak się ktoś nadyma, niewiadomo dlaczego.

— Ale pracowity jest, trzeba mu to przyznać i już skończył żniwa, a ja przecie dziś jeszcze wożę pszenicę wprost do maszyny, ostatni łan wprawdzie, ale to już bardzo późno. Roboty mamy w bród, muszę cię już pożegnać, Romanie, śpieszno mi.

Pan Cerkawski zawahał się i raptem wypowiedział prędko:

— Zaczekaj jeszcze chwileczkę. Dobrze, że się z tobą widzę, bo mam mały interes do ciebie i mogę go zaraz tu, na miejscu, załatwić bez przeszkadzania wam w domu. Ten świnia, Berger, wciąż mnie molestuje. Czy możesz pożyczyć mi jakich 50 zł.? Chcę

mu gębę zatknąć, bo mi żyć nie daje. Oddam ci za parę dni.

Pan Karol sięgnął do pularesa.

— Mam tylko 10 złotych narazie. Może się z nim jakoś ułożysz. — Podał mu pieniądze i pożegnali się szybko, jakby od siebie uciekali.

— — — — — — — — — — — — —

Antoś wrócił. Maszyna ustawiona była w polu. Dla oszczędności czasu zwożono wprost pszenicę z półkopków na młocarnię. Obok stawiano stertę. Puste wozy uwijały się żwawo w polu, a ciężko naładowane snopami, wysokie, jak domy, podjeżdżały dostojnie pod platformę maszyny. Pracowały wszystkie konie, nawet wierzchowe, zaprzężone do lżejszego wozu, a prowadzone przez Stacha, zwoziły snopy. Śmieszna to była para: skakały, wyrzucając nogami i wyginając szyje, paradowały tańcząc, jak pod siodłem, nie wiedząc, że praca, którą wykonują, jest szara, ale poważna i nie należy z niej żartów stroić. Haneczka pomagała Stachowi nakładać snopy. Zosia i Maryś również woziły dwoma starymi kucami. Dużo tej roboty tam nie było, ale zawsze mała pomoc. Tak więc stanęły zmobilizowane wszystkie siły. Antoś dzierżył batutę. Doglądał wszystkiego. Patrzył bystro w górę to na młocarnię, na której wśród snopów stało kilka dziewcząt do „nadawania“, to na lokomobilę, czy ciśnienie dobre, czy wody nie brak, to do uczepionych u młocarni worków, do których rzeką sypało się ziarno. To znów odchodził do sterty i upominał, aby stawiano równo ściany, wskazywał, które snopy cofnąć trzeba, a które wysunąć, gdzie przyklepać deszczułką. Nawoływał do pośpiechu.

— Jeśli nakryjecie stertę do wieczora, wypijemy trochę wódki na wasze zdrowie — wołał donośnie.

— Na zdrowie paniczowi! — odpowiadano gromko — napijemy się, na zdrowie!

Antoś czuł się w swoim żywiole, pracował zapamiętale, wytężając wszystkie władze ciała i umysłu. Nie chciał spoczywać, bał się swoich własnych myśli i pozostania z niemi sam na sam. Trwało to już tak od czasu wyjazdu Juli. Rad był z tego, że wyjechała, a równocześnie i nierad. Wiedział, że stało się dobrze i koniecznie, a jednak nie był spokojny, z prawdziwym lękiem patrzał na ojca, chmurnego i niedostępnego. Obawiał się, że sprawa jeszcze zakończona nie została, że niebezpieczeństwo grozi nadal, ale ponieważ nie widział przed sobą żadnej możliwości działania, ani też narazie drogi ratunku, z niesłychanym wysiłkiem woli odtrącał od siebie wszelkie jałowe o tem rozmyślania i z zamkniętemi oczyma rzucił się głową naprzód w wir pracy. Nawet w czasie słoty całe dnie spędzał w oborze, w chlewni, przeważał bydło i świnie, pilnował porządków, sam opatrywał konie, pracował fizycznie od wczesnego rana do późnej nocy, a wieczorem, zmożony, padał na łóżko i sen dobroczynny uwalniał go od nękającej zmory ducha.

Maszyna pracowała dobrze, koło kręciło się równo. Dwie kule regulatora tańczyły doskakując do siebie i zlewając się w jeden łuk, ze smukłego komina wychodziło cienkie pasmo dymu, a młocarnia grała donośnie i trzęsła całem swem potężnem, niezgrabnem cielskiem, wypluwając z jednej strony strumienie pszenicy, a z drugiej, jak z rozwartej paszczy, ziejąc zwałami słomy. Dziewczęta wiązały je sznurami i ciągnęły opodal na stertę, ścieląc za sobą złotą drogę. Kurz unosił się wokół i gryzł w oczy. Grupa młodych robotnic na górze, oświetlona mocno, rysowała się malowniczo na tle nieba. Stały raz te szare pracownice w całej glorji zasłużonego majestatu,

z podwyższenia królowały dziś ludziom, sypiąc im z góry pokarm, niestrudzone w swej pracy żywicielskiej, niewyczerpane w swych darach, a nieświadome swej wartości. Zapatrzył się Antoś w tę grupę zbiorową, przypominającą Cererę, która sypie dary na ziemię z rogu obfitości.

Z obydwóch boków młocarni stały wozy ze snopami. Z prawej strony, na opróżnionym do połowy wozie, tkwił rozkraczony, wesoły Iwaś, pierwszy chwat w całej wsi, z płową czupryną i małemi szparami śmiejących się oczu. Widłami podawał snopy w górę, a Warwarka odbierała je i śmiała się za każdym razem, bo tak jej dogadywał, wywołując wybuchy śmiechu u wszystkich dziewcząt.

— Uważaj tam, uważaj! — huknął nagle Antoś z dołu. — Nie stroić głupich żartów! Gdyby która wpadła w tryby, toby jej Iwaś nie pomógł. Odjeżdżaj Iwaś, odjeżdżaj i dziewuch nie bałamuć przy robocie!

Gwizdek parowy maszyny przeraźliwie rozdarł powietrze.

— Aha, znowu ten leń Fedko opóźnia się z wodą — pomyślał Antoś. — Muszę jutro wziąć Marcinka na jego miejsce. Gotowa maszyna stanąć przez takiego trutnia.

Obszedł stertę słomy dokoła, aby wyjrzeć na drogę, czy nie jedzie wkońcu. Tuman kurzu, wydłużający się w dali i rosnący szybko, przekonał go jednak, że oczekiwany Fedko zbliża się na beczce. Uspokojony odwrócił się i szedł z powrotem do maszyny, gdzie nagle wzrok jego padł na rozrzuconą z boku sterty słomę. Wyglądało to tak, jakby ktoś w stercie grzebał i rozmierzwiał ją naokoło. Zaciekawiony pograbił laską słomę i oczom jego ukazał się wnet worek, pękato wypełniony ziarnem. Stanął zdumiony.

— A to ci złodziej! Jakim sposobem mógł ten worek tutaj ukryć? — Obejrzał go. Był dworski. — To nie do wiary, stoję przy maszynie cały czas, liczę worki, które do śpichlerza odsyłam, a tu z pod rąk, w moich oczach, kradną mi zboże!

Gniew zawrzał w nim. Chciał huknąć, przerwać młockę, zrobić piekło, ale opamiętał się. Na nic to się nie zda. Chodzi o odkrycie złodzieja, a tym sposobem nie znajdzie go napewno. Zastanowił się: kto mógł ukraść? Parobek, który zboże wozi do śpichlerza, mógł może zrzucić niepostrzeżenie ten worek za stertę, ale w takim razie będzie go brakować do rachunku w magazynie i kradzież wyszłaby prędko na jaw. Mogła to zrobić dziewczyna, pilnująca worków przy maszynie i zadająca je na wagę, ale wynieść cały worek na plecach, w oczach wszystkich ludzi, to nie tak łatwo, zresztą dziewczęta nie są zwykle tak odważne i przedsiębiorcze. Może była to sprawka jednego z chłopów, którzy snopy do młocarni zwożą? Po rozwadze doszedł do przekonania, że to ostatnie posądzenie jest najprawdopodobniejsze. Rozważał tedy chwilkę, co mu czynić wypada i w końcu nakrył worek z powrotem, poszedł do maszyny i kazał zawołać polowego, który uwijał się na łanie między półkopkami. Odciągnął go na bok i wyłożył mu wszystko dokładnie.

— To nikt inny, proszę panicza, nie zrobił, tylko ten łajdak Iwaś. Ja już dawno mam oko na niego. To drań, nie trza go brać do roboty.

— Więc kiedy pójdziemy na południe, to niech Ołeksa ukryje się gdzieś z boku, w słomie i patrzy dobrze, kto po worek przyjdzie, a jeśli złodziej nie zjawi się w południe, to trzeba stróżować wieczorem.

Ale Ołeksa stróżował w południe, wieczór i całą noc, a złodziej nie zjawił się, widocznie miał się już na baczności.

Wieczorem, przy kolacji, Antoś opowiedział swoją przygodę i okazało się, że nie potrafił dopilnować i dał się tak podejść. Pan Karol zainteresował się tem i przełamał swoje zwykłe milczenie.

— Nie rób sobie wyrzutów, Antosiu — pocieszał go. — Wytrawniejsi od ciebie gospodarze podejść się dają. Przypomina mi się historja jednego szlachcica, sąsiada mojej matki, z którym założył się gumienny, że w jego oczach ukradnie w przeciągu kilku godzin dwa korce zboża i wygrał zakład. Niemal każdy nasz chłop ma żyłkę złodziejską. U ojca mojego bogaty wójt, gospodarz na dwudziestuparu morgach, ukradł dęba w lesie i nawet nie czuł się tem bardzo zawstydzony, kiedy mu winę udowodniono. Niestety „żandarmowanie“ jest jedną z najprzykrzejszych stron naszego zawodu. A mimo największych wysiłków nie można się od szkód ustrzec. Tu bydło i konie pasą na łące, tu wykoszą koniczynę, tu parę półkopków z pola ściągną...

— A w sadzie — żywo wtrącił Stach — z kijami na sadownika idą, aby jabłek narwać. Pamiętasz matuś, jak w zeszłym roku zbili naszego Wawrzka? Nie cierpię chłopów, to sami złodzieje!

— Jak podrośniesz, Stachu, to się przekonasz, że nie tylko na wsi są złodzieje. Jest ich, niestety, wszędzie dosyć i w każdej warstwie. Ale dlatego trzeba oświecać ludzi, wychowywać odpowiednio młodzież, kształcić chłopów, podnosić ich kulturę oraz ich gospodarstwa. Praca jest duża, ale zajmująca i nie beznadziejna.

— Zawsze się boję, że robimy sobie wrogów przez ściąganie kar, zajmowanie bydła i inne represje — mówił Antoś, idąc za biegiem swych myśli.

— Trzeba zachować takt i umiar — pouczał jeszcze pan Karol—nie rozdrażniać, ale być sprawiedli-

wym. Chłop umie ocenić sprawiedliwość i wkońcu zawsze jej hołd odda.

— Ale jak można ukarać złodzieja, skoro się nie wie, kim on jest — mówiła rozważnie Zosia. — Kto odkryje tego, co nam wyłamuje zawsze sztachety w ogrodzie? Co roku łata ojciec dziury i co roku na nowo psują ogrodzenie.

— A potem włażą i zrywają kwiaty w ogrodzie, albo niszczą jarzyny.

— W moim ogródku wyłamał mi dziś w nocy ktoś całą kukurydzę—żaliła się płaczliwym tonem Maryś.

— Chłopi są biedni, dlatego kradną — zadecydowała Haneczka.

— Już ich bronisz, chłopomanko — wołał Stach. — Słyszałaś, co ojciec mówił, że nawet bogaci kradną.

— To wyjątki.

— Oni kradną u nas przez zawiść—mówiła Zosia.

— O, przepraszam, między sobą także! Muszę ich bronić, bo jesteście niesprawiedliwi — zaperzała się Haneczka.

— To tem gorzej, że kradną wśród siebie także, bo to dowodzi, że nie mają żadnej solidarności.

— To prawda — wtrącił znowu Antoś. — Pytałem niedawno Mikołaja, czyby gospodarze nie chcieli z nami w tym roku, w jesieni, sprowadzić trochę drzewek owocowych. W większej ilości wypadłoby to znacznie taniej. Odpowiedział mi po kilku dniach, że chłopi nie chcą sprowadzać i sadzić drzewek, bo wiedzą, że ich nigdy nie dopilnują. Nato sadzić, aby zaraz złodziej zabrał owoce, albo i całe drzewko wyłamał, to nie warto, lepiej już nie zakładać żadnych sadów.

— A co, a co, nie mówiłam? Ale gdyby wszyscy mieli drzewka, toby sobie nawzajem nie kradli, trzeba im pomóc — wołała Haneczka, pełna zapału.

— Pomóc im! Jak im pomożesz? — krzyczał Stach.

— Szkoda czasu i atłasu — dorzuciła Zosia.

— Jak możesz tak mówić...

Dyskusja toczyła się żwawo dalej, zwłaszcza wśród młodzieży. Pani Alina patrzała na rozognione twarze swoich dzieci, które zawsze zapalały się w dyspucie. Trzeba było chłodzić, uspakajać, bo ciskali sobie ostre słowa, a nieraz i do sprzeczek dochodziło. Dziś popierała niezachwianie stronę Haneczki. Rozumiała przecież chłopów i kochała ich. Długie doświadczenie życiowe mówiło jej, że są sposoby, aby z każdym wyjść w zgodzie, wierzyła, że wszystko idzie ku dobremu i ludzie zmieniają się na korzyść, tak, jak wierzyła teraz na nowo, z całą siłą, że prędzej, czy później, serce Karola odzyska.

— Widziałem dziś Cerkawskiego — powiedział jej mąż, gdy żegnali się wieczorem. — Wątroba dokucza mu podobno i bardzo źle wygląda. Poszlij mu znowu twoje ziółka i może dołącz dla żony parę kilogramów masła. Mamy teraz mleka poddostatkiem.

— Ależ najchętniej. Zaraz to jutro zrobię. Nie wiem, jak to się stało, że nie pamiętałam o nich tak długo! Dobranoc ci, Lolu. Czy nie czujesz się dziś zmęczony? Tyle było roboty!

— Ale gdzież tam, nie potrzebujesz się tak troszczyć o mnie. Nie jestem przecie jeszcze stary, aby się zmęczyć zwykłą pracą gospodarską. Dobranoc ci, Linko. — Odwrócił się szybko i poszedł do swego pokoju.

Pani Alina patrzyła za nim smutno.

POŻAR W WISZENCE.

— Pali się!

— Łuna wstaje nad drzewami!

— To Wiszenka się pali!

— Folwark!

— Łuna coraz większa, już pół nieba okryte czerwienią!

— To folwark napewno. Na ratunek, prędko!

Zakotłowało się na cichym ganku w Iwanówce, gdzie cała rodzina państwa Przybyłowskich po wieczerzy zażywała trochę odpoczynku i rodzinnego współżycia. Noce były jeszcze względnie ciepłe, pogoda znowu dopisywała. Po wytężonej pracy tak miło jest odprężyć się trochę w ciszy wieczoru, wśród swoich bliskich. Dziś nawet pan Karol spędzał tę godzinę wypoczynku w gronie rodzinnem; zaszyty w najdalszy kąt ganku, przysłuchiwał się żywej rozmowie dzieci. A teraz zerwał się wraz z innymi i patrzał przerażony na łunę, rosnącą w oczach. Już złociły się wierzchołki drzew. Bezwątpienia pali się Wiszenka. O sabotażach słyszy się teraz tyle wokoło! Codzień na horyzoncie świecą dalekie łuny, ale tu sąsiad najbliższy w niebezpieczeństwie!

— Antosiu, gniade konie do sikawki! Staszek, uderz w dzwon na folwarku! Weźmiemy ludzi, parobków naszych na wozy! — Szybko biegł sam, bo tu tylko pośpiech mógł przynieść ratunek. Rzucono się do stajen, zaprzęgano konie. Dzwon alarmowy jęczał niespokojnie. Ludzie zbiegali się zewsząd.

— Alinko, zostań tu ze stróżem, nie możemy do-

mu zostawić bez opieki! — wołał do żony, gramoląc się na wóz. Popędzili.

— — — — — — — — — — — — —

A w Wiszence rzeczywiście gorzało, ale nie folwark, tylko obok, na gumnie, sterty niezmłóconego zboża, podpalone zbrodniczą ręką sabotażysty.

Sądny to był dzień. Ogień ogarnął w jednej chwili trzy sterty i młocarnię naraz. O ratowaniu tego nie było mowy, chodziło tylko o ocalenie stert, obok stojących, a było ich rzędem z dziesięć. Potworne jęzory ognia strzelały w górę, tańczyły, gięły się, wydymały, trzaskały snopami iskier i hucząc żarły pokarm, na który rzucały się szybko, szybko, by go im ktoś nie wydarł. Pastwiły się, szalały krwawo i groźnie. Tak straszny żar buchał na kilkaset kroków, że trudno było się zbliżyć. Ludzie tańczyli wokoło, jak małe ćmy. Doskakiwali i uciekali. W blasku czerwonym robili wrażenie małych, ciemnych szczypawek, kręcących się bez celu wokoło. Okrakiem siadali ludzie na szczytach stert i zrzucali w dół widłami słomę, która się już jarzyła. Dwie sikawki pluły cienkie strumyki wody, dudniły co chwila nowoprzywożone beczki. Nawoływania rozdzierały powietrze, górował nad niemi wściekły głos pana Ładosia, który klął i krzyczał, jak djabeł, ciskając się na wszystkie strony.

Był chaos, nieład. Woda daleko. Każdy chciał coś robić, ale nie wiedział co. Ludzie biegali z wiaderkami tam i napowrót i wylewając tę kropelkę na ogień, patrzyli ździwieni, że ogień nie zmniejsza się. Gromady dzieci i kobiet darły palcami ziemię i rzucały w płomień.

— Zasypać, zasypać! — wołały do siebie, podtrzymując się w tej bezmyślnej, syzyfowej pracy.

Ogień przyciągał ludzi, tłumy zbiegły się wokoło. Cała Wiszenka wyległa. Wielu nawet nie imało się

pracy, lecz patrzało tylko w ten żar przemożny i blask, który przykuwał wzrok. Było się na co pa⸗trzeć. Kto widział ten szalejący, potężny żywioł, w swej grozie wspaniały, nie zapomni go nigdy. Noc nabierała czerwieni i robiła się krwawa, płomień darł się w górę i rozpływał w kłębach dymu, które snuły się daleko po polach i ogrodach, unosząc na swych grzbietach krwawe odblaski.

Zadudniło mocno, zatrzaskały bicze. Przyszła pomoc z Iwanówki. Pan Przybyłowski zeszkoczył z woza i objął komendę. Jakoś wszyscy nabrali otu⸗chy. Poczuli rękę, kierunek. Każdy poddawał się chętnie rozkazom. Praca szła składniej.

Trzeba było przedewszystkiem zabezpieczyć fol⸗wark. Wiatr szedł w kierunku budynków. Niebezpie⸗czeństwo było groźne, lada chwila mógł się ogień przerzucić na dachy i spłonęłoby wszystko doszczęt⸗nie. Czwarta sterta zaczęła płonąć. Jakiś chłopak spadł ze szczytu i złamał sobie rękę, zaledwo zdoła⸗no go wyciągnąć z ogarniających go już płomieni. W jednej chwili stanęła cała sterta w ogniu i krwa⸗wy słup buchnął wysoko w górę.

Pan Ładoś rwał sobie włosy na głowie.

— Ratujcie, ratujcie! — wołał zrozpaczony. — Iwaś, wody, tu, ośle jeden! Rusz się Karol, Nastka, dawaj widły! — Biegał tam i napowrót czarny, z przypaloną ręką, nie czując bólu i nie wiedząc pra⸗wie, co się dzieje.

Pani Ida stała, jak posąg żywy, oświetlony jasno, na tle ogrodu. Łamała w niemej rozpaczy ręce. Gdy⸗by ją kto widział w tej chwili, byłby uderzony pię⸗knem jej postawy i przyrównałby ją do greckiego po⸗sągu, wykutego w marmurze, ale nikt nie zwracał na nią uwagi i jej także nie w głowie teraz było piękno. Ona czuła i wiedziała, że im się grunt z pod nóg usu⸗

wa. A ogień, który przed nią szalał, palił jej sumie=
nie wzmożonem poczuciem winy....

— — — — — — — — — — — — —

Hrabia Gaszyniec siedział z żoną przy wieczerzy. Stół, jak zwykle, zastawiony był wykwintnie: lśnią=cy, adamaszkowy obrus, kryształy, srebra, dyskret=ne a cenne, kwiaty, umiar i smak wybredny we wszy=stkiem, potrawy wyszukane i podane artystycznie. Jan usługuje cicho i zgrabnie. Białe, długie palce wy=konują nad obrusem ruchy wytworne, posługując się srebrnymi widelcami, odgrywają jakby tajemnicze misterjum, pełne namaszczenia. Rozmowa toczy się półgłosem, o sprawach bieżących, bez ożywienia, aby nie zakłócić uroczystości obrządku, jakim jest ten cielesny posiłek wśród ludzi, wysoce kulturalnych i o wielkiej tradycji estetycznych wymagań.

Ta namaszczenia pełna chwila została nagle prze=rwana. W kredensie obok rozległ się jakiś niezwy=czajny hałas. Jan znikł z pokoju, a po chwili pojawił się z twarzą zaaferowaną, nie zważając na drzwi, które same głośno zatrzasnęły się za nim.

— Proszę jaśnie pana hrabiego — recytował do=nośnie — folwark w Wiszence się pali!

— Jezus Marja! — krzyknęła hrabina i zerwała się od stołu, trzepnąwszy bezradnie rękoma. Wide=lec z brzękiem upadł na ziemię.

— Czy pan inżynier Balke zawiadomiony? — za=pytał hrabia, wstając również pośpiesznie.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana hrabiego, chło=pak przyleciał ze stajni, aby dać znać do dworu. Łu=nę widać już z pałacu.

— Jan podszedł do okna i podniósł storę. Hrabia rzucił okiem w ciemny ogród, nad którym już czer=wieniało niebo.

— Poślij natychmiast na wieś do Maruska, aby zwoływał straż pożarną, każ bić w dzwon w cerkwi!

— dawał rozkazy krótko i władczo, a sam prędko poszedł do bibljoteki, aby zatelefonowoać do pana Balkego, który mieszkał na głównym folwarku, o jakie trzy kilometry od pałacu.

— Hallo, panie inżynierze, czy jest pan powiadomiony, że folwark Wiszenka w ogniu?

— ....

— Straż pożarna już zaalarmowana, proszę objąć komendę i organizować akcję ratunkową jaknajsprężyściej. Proszę wziąć obie sikawki i tyle służby, ile pan będzie uważał za stosowne.

— ....

— Dobrze, byle szybko.

Wyrzuciwszy jednym tchem te wszystkie rozkazy i uczyniwszy, co w jego mocy leżało, aby ratunek zorganizować, odetchnął głęboko i wyszedł na taras. W ręku jeszcze trzymał serwetę, nie uważał w tej chwili, iż nie wyglądało to bardzo wytwornie. Hrabina stała oparta o kamienną balustradę, kurczowo na niej zaciskając dłonie.

— Patrz, Michale, ogień się rozszerza! — Z poza czarnych wierzchołków drzew wypływało coraz więcej czerwieni i rozlewało się morzem na niebie. — Co za nieszczęście, biedni ludzie! Oby tylko pomóc na czas przyszła!

Hrabia Gaszyniec stał milczący i patrzał na łunę.

— „Dachy płoną“ — szepnął po chwili w zamyśleniu — trzeszczą stare wiązania... trzeba uchodzić z siedzib, aby głowy mieć całe. Nie wiedziałem, że ich to jednak pierwszych spotka!

— Czy sądzisz, że ich to majątkowo dobije? Tak już zadłużeni byli...

— Nie chcę być złym prorokiem, ale obawiam się, że — tak.

— Mój Boże, to straszne! Ale co stanie się z two-

imi wekslami? — Hrabina była trzeźwa i rachunkowa.

— A no, trzeba będzie zapłacić, dawno już na to byłem przygotowany.

— Nie mówiłeś mi o tem. Zawsze byłeś altruistą, nie trzeba było tak lekkomyślnie podpisywać.

— Dla sąsiada trzeba czasem coś zrobić. Szkoda tylko, że im to nie pomogło — i hrabia strzepnął serwetą, jakby chciał wyrazić rezygnację.

— — — — — — — — — — — — —

Na dachy folwarczne powłazili chłopi i polewali je systematycznie wodą. Mimo to zaczął tlić niespodziewanie dach nad szopą i zanim zdołano chlusnąć dobrze wodą, buchnął żywy płomień. Z wrzaskiem rzucili się ludzie do bram, aby wyciągać zagrożone narzędzia rolnicze. Nikt o klucze nie pytał, skoble pękły pod naporem w jednej chwili i zaczęło się bezładne wyrzucanie pługów, bron, wyciąganie siewników, żniwiarek, ale wkrótce zaczęły padać płonące krokwie i ludzie uciekali bezładnie, popychając się i przewracając.

Była to chwila największego nasilenia pożaru. Czwarta sterta płonęła ciągle. W tej chwili przy odgłosie trąbki wpadła między rozstępujący się tłum straż pożarna z Czelatyniec — dwie nowe, doskonałe sikawki i pan Balke na spienionym koniu.

Tubalny jego głos rozległ się donośnie po folwarku i zapanował nad gwarem i hukiem wokoło. Akcja ratunkowa poszła teraz jeszcze sprawniej. Straż była trochę wyćwiczona, a pan Balke uosobieniem energji. W jednej chwili porozumieli się z panem Karolem i podzielili między siebie teren działania. Pan Karol objął komendę nad gaszeniem stert, pan Balke ochronę zabudowań folwarcznych. Antoś, jak adjutant, uwijał się i biegał, roznosząc rozkazy.

Nowe siły wystąpiły do walki z żywiołem. Zaata-

kowany ze wszech stron ogień syczał, burzył się. Dach na szopie porąbano i strącono na ziemię. Strugi wody lały się teraz bez przerwy. Wyprowadzono ryczące bydło z obory i gnano je na łąkę. Oszalałe ze strachu konie biegały luzem po dziedzińcu, wywołując popłoch wśród ludzi, kwicząc i rżąc przeraźliwie; trzeba je było batami spędzać na okólnik. Mimo to stajnie wydawały się już uratowane. Żywioł przez energiczne, umiejętne ręce został opanowany. Tyle mrówek przypięło się do olbrzyma, że mu wkrótce dały radę. Na szczęście także wiatr nie był bardzo silny, chwilami ustawał zupełnie. Czwarta sterta dopalała się, piąta zajęła się, ale w jednej chwili zrzucono snopy na ziemię i ugaszono wodą. Ogień, strawiwszy, co mu na pastwę wydano, przygasał, trzeba go było teraz zdusić. Rzucono się też gwałtownie do stłumienia. Powoli noc zaczynała znowu czernieć, zlewała się nad pogorzeliskiem, przemożna, niepokonana niczem i tryumfująca. Niektórzy powoli rozchodzili się, inni grzebali jeszcze w pogorzelisku. Pan Balke wydawał ostatnie rozkazy. Straż pożarna trąbiła po zwycięstwie do odwrotu. Iwanówka odjeżdżała.

Pan Kazimierz, osmolony, niepodobny do siebie, chwiejąc się, szedł do domu. W salonie rzucił się na kanapę, ukrył twarz w rękach i zaszlochał rozdzierająco.

Pani Ida pochyliła się nad nim.

— Kaziu, nie rozpaczaj, przeżyliśmy wiele strat materjalnych, przeżyjemy i tę.

— To nie strata, to ruina — jęczał, szarpiąc się w bezsilnej rozpaczy! — Czemuż się nie ubezpieczyłem? — i tłukł głową o poręcz kanapy.

— Nie było na to pieniędzy, nie wyrzucaj sobie! Któż mógł przypuszczać, że takie nieszczęście na nas spadnie? — pocieszała pani Ida. Mówiła tak ot,

bezmyślnie, aby coś mówić, bo co tu było i mówić? Wiedziała sama doskonale, że strata była niepowetowana: dwie sterty grochu, dwie pszenicy, jedna osmolona i z ziarnem już niezdatnem, młocarnia, szopa na narzędzia i część inwentarza martwego — i to w czasach, kiedy majątek był już i tak poważnie zachwiany.

— Zrujnowani jesteśmy, doszczętnie zrujnowani — jęczał pan Kazimierz na sofie.

Pani Ida stała wyprostowana i patrzała gdzieś, daleko przed siebie. A palące poczucie winy, lekkomyślnie, na tle flirtu salonowego złamanej mężowi wiary, wciskało jej w mózg przeświadczenie: palec Boży!

WRZESIEŃ.

Jula stała w oknie hotelowego pokoju i patrzała na ulicę. Zmierzchało. Silny wiatr jesienny miotał suchymi liśćmi, które już z drzew miejskich opadły, rozwiewał płaszcze, podrywał tuman kurzu wraz ze śmieciem i pchał go przed siebie. Przechodnie, pochyleni, szli prędko, przytrzymując kapelusze na głowach.

Po rozległych horyzontach wiejskich, wśród których tak długo dotąd przebywała, raziła ją banalność i brzydota ciasnej ulicy miejskiej.

— Czy te liście, niesione gwałtownie wiatrem, w niewiadomym kierunku, nie są obrazem dusz ludzkich, pędzonych siłą losu, dokąd, w objęcia czego?... — przemknęło jej przez myśl.

Ale przyjechała tu właśnie, aby los swój zwalczyć, a nie stać się jego igraszką. Nie podda się ślepemu prądowi wiatru, jak te bezwolne liście. Zapewne starczy jej sił, aby mu się przeciwstawić.

Z bijącem sercem oczekiwała teraz przyjazdu p. Karola, który zapowiedział się popołudniowym pociągiem i lada chwila miał się u niej zjawić. Do spotkania tego przygotowywała się długo. Od wyniku ich rozmowy zależał teraz cały kierunek jej życia. Postawiła wszystko na jedną kartę i drżała na myśl o wielkiej rozgrywce.

Od wyjazdu jej z Iwanówki minęły prawie dwa miesiące. Miała czas zanalizować swoje uczucie i zastanowić się nad dalszem postępowaniem. Miłość jej nie przygasła, przeciwnie, gorzała z coraz bardziej natężoną siłą, obejmowała ją całą, przysłoniła jej

świat i zdawało się jej, że nie znalazłaby już nigdzie szczęścia poza związkiem z Karolem. Wszystkie jej pragnienia ku niemu biegły. Oddalenie dodawało mocy promieniom duchowym, które wysyłała w jego kierunku. Gdzieś, na dnie świadomości, podnosiły się niekiedy skrupuły, że na błędne zeszła drogi, przesuwało się mgłą przez pamięć wspomnienie dobrych zasad, jakie wyniosła z lat dawnych. Ale wnet reminiscencje te odpychała dumna świadomość „nowoczesnej“, samodzielnej kobiety, samopoczucie „stuprocentowego człowieka“, który ma „wszelkie prawo“ do pełnego wyżycia swych ludzkich pragnień i popędów. I to wszechwładne uczucie niweczyło cichy głos sumienia...

Widziała jednak jasno góry trudności, piętrzące się na drodze do osiągnięcia celu, trudności, połączonych głównie z przeprowadzeniem formalnego rozwodu Karola, bo o tem już tylko myślała. Rozwód— to jedyne i słuszne wyjście z tej sprawy. Wszak rozwód wszystkie rozwiązuje trudności, reguluje omyłki związków małżeńskich! Jest tak powszechnie stosowany, w najlepszych sferach! To się dzisiaj przecież wszędzie tak samo przez się rozumie! Prababki inaczej może myślały. Ale dzisiaj inne czasy, postęp musi być wszędzie! Wszak koleżanka Fela rozwiodła swego męża z jego żoną i—wszystko w porządku. Dlaczego jej samej miałoby być wzbronionem usunięcie przeszkód, które dzielą ją z ukochanym Karolem? Niefortunne wystąpienie pani Aliny obaliło w niej resztę skrupułów. Z całą potęgą „nowoczesnych pojęć postępowych“ opanowało ją teraz pragnienie zwycięstwa nad tą kobietą: odebrać jej Karola, wziąć go na swoją niepodzielną własność! Taki jasny i zdecydowany świtał przed nią cel, a droga ku temu, to rozwód Przybyłowskiego i legalne z nią małżeństwo. Przecież wszystko odbędzie się legalnie. Ta-

jemnego, ukradkowego stosunku nie brała nawet w rachubę jej dumna natura.

Nie wiedziała tylko, jak się do tego planu ustosunkuje Karol? Zdawała sobie doskonale sprawę, że jeśli nie uczucie, to pociąg zmysłów jest u niego nierównie silniejszy, jak u niej, liczyła więc na to i spodziewała się, że i on już o tej rzeczy myślał i skłonić go do kroku stanowczego trudnem nie będzie. Bo targować się z nim nie myślała. Mógł tu być tylko wóz, albo przewóz! Albo dziś dadzą sobie słowo, że do siebie należeć będą na zawsze i on zdecyduje się na rozwód, albo... nie, nie chciała nawet o tem myśleć!

Jeśli czego obawiała się teraz, to chwili słabości, gdy stęsknieni i spragnieni siebie znajdą się we dwójkę sami, w tym oddzielnym, zacisznym pokoju, daleko od wszelkich niedyskretnych oczu. Jedna zaś jedyna chwila zapomnienia przekreśliłaby cały jej plan, zawaliłaby jej dumne samopoczucie i uczyniłaby ją igraszką losu. A zatem opancerzała się w twardem postanowieniu, zacinała swą wolę, aby wytrwać teraz w niewzruszonej czystości, a zdobyć go na później — na zawsze!

Zapukano do drzwi. Serce jej załomotało silnie, coś jakby schwyciło ją za gardło, zaledwie wykrztusiła zdławionym głosem: „Proszę“.

Pan Karol wszedł uśmiechnięty, już przebrany w miejskie, granatowe ubranie, wygolony, z liljowym połyskiem na policzkach, pachnący wodą kolońską i mydłem. Szedł ku niej szybko, z wyciągniętemi ramionami, uchwycił mocno obie jej ręce i przycisnął do ust, a potem do czoła, do oczu, odwracał je pokolei i całował raz jeszcze.

— Juliś moja, kochana, mała Juliś, pozwól mi się uściskać — szeptał cały rozpromieniony.

Patrzała na niego z radością i pochyliła mu do ust

bujną czuprynę. Wionęło na niego mocno zapachem jej puszystych, naelektryzowanych włosów. Chciał ją objąć, lecz wywinęła mu się giętko, pobiegła do tastra elektrycznego i przekręciła go. Światło jaskrawe buchnęło w pokoju.

— Chcę cię lepiej widzieć, Karolu, przypatrzyć się tobie, czyś ten sam, czyś się nie zmienił?

Patrzał na nią, jak zachwycony.

— Miłość moja w każdym razie nie zmieniła się. Kocham cię, jak zawsze, a może więcej, jeśli to podobne. Jakaś ty piękna! Wyprzystojniałaś mi jeszcze, czarodziejko moja!

— Tak sądzisz, boś mnie dwa miesiące nie widział! Musiałeś zapomnieć, jak wyglądałam.

Stała przed nim smukła, w obcisłej sukience, uwydatniającej jej zgrabne kształty. Patrzała na niego zalotnie z pod przymkniętych powiek i uśmiechała się.

— Ej, bajesz! Jak mogłem cię zapomnieć, jeśli mi stałaś cały czas przed oczyma! Ale dwa miesiące, to bardzo długi okres. Tyś mnie na taką pokutę skazała! Co robiłaś przez cały czas?

— Co robiłam? Myślałam o tobie, a pozatem pracowałam. Chodź, siadajmy na kanapce, opowiem ci wszystko.

Zasiedli przy sobie i gawędzili, a od czasu do czasu Karol podnosił jej ręce do ust i powtarzał rozpromieniony:

— Nie mogę ci się napatrzeć, taka mi się piękna wydajesz. W końcu widzimy się! Juliś, jak ja się tobą cieszę!

— Drogi mój, a ja tobą — odpowiadała Jula i wstrzymywała dech w piersi. Ach, gdyby mogła, to skakałaby teraz tu, na sprężynach kanapy, po pokoju, biegałaby, jak szalona, w kółko i śmiałaby się i krzyczała i śpiewała swój radosny hymn życia. Ale

całą siłą woli opanowywała te warjackie zachcianki. Przegrałaby na samym wstępie i plany jej poszłyby w niwecz, a więc siliła się na powagę, rzeczowość i tylko oczami wyzywała go, budziła w nim coraz mocniejsze pragnienie, a sama pozostawała chłodną.

Opowiadała teraz ze szczegółami o majątku stryja, o gospodarce tamtejszej, o stosunkach.

— Zastosowałam już praktycznie twoje nauki, wzoruję się na Iwanówce. Zasieliśmy wykę w pokład ścierniska. Wystaw sobie, że nie robili tego nigdy, a zdumieli się, gdy wspaniałym, zielonym kożuchem okryła się rola. Teraz kosimy ją dla bydła, potem przeorzemy i na wiosnę posadzimy ziemniaki.

— Doskonale, dziecko, doskonale, a na jakiejże glebie to zrobiłaś?

— Na rędzinie. Tam przeważają rędziny, jest tylko mały kawałek piasku. Wogóle jest to śliczny majątek. Budynki w doskonałym stanie, tylko kultura roli podupadła w ostatnich latach, bo rządca był nieudolny, a stryj już za stary, aby móc we wszystko sam wglądnąć.

— Więc prowadzisz teraz sama gospodarkę?

— Tak, pracuję narazie jak rządca i jestem prawie niezależna.

Potem pytała o dzieci i gospodarstwo w Iwanówce, o krowy, które tak lubiła, o konie, o psy nawet, ale ani słowem nie wspomniała o pani Alinie. Opowiadali sobie tedy nawzajem o swoich kłopotach, pracach i projektach gospodarskich. Czas uchodził szybko. W pewnej chwili zapytał Karol:

— Czy nie chciałabyś pójść do teatru, lub gdzieś na kolację?

— Och nie, dzisiaj nie idźmy nigdzie. Mamy cały wieczór dla siebie, nacieszmy się sobą. Raczej, może jutro wybierzemy się gdzieś.

— Najdroższa moja, niczego więcej nie pragnę,

jak zostać dziś z tobą, cały wieczór. Jesteś złota, Juliś, że wyjść nie chcesz.

— Ale w takim razie zjemy tu kolację.

— Brawo, świetnie! Zjemy tu kolację we dwójkę, będzie mi smakować szalenie.

— I mnie także, głodna jestem jak wilk.

— Już dzwonię na kelnera. Zamówimy coś dobrego.

Za chwilę ukazał się kelner we fraku ze spisem potraw w ręku. Zaczęła się narada nad wyborem jadła, ostatecznie zdecydowano się na dwa kieliszki koniaku, zakąski, filety cielęce i melby owocowe, a Karol zamówił jeszcze flaszkę Chambertina.

Byli bardzo weseli, cieszyli się, jak dzieci. Poważny zwykle Karol zacierał ręce i powtarzał radośnie:

— Udało się nam, złota Juliś, jest mi dobrze, jak w raju.

Jula gospodarowała przy kolacji, nakładała na talerz Karolowi, dobierając mu najlepsze kęski. Nie śpieszyli się, jedli wolno, rozsmakowując się w każdej potrawie, ciągnęli wino z kieliszków, żartując i dogadując sobie.

A gdy naczynie ze stołu zebrano i zostawiono tylko kieliszki z winem, niedopitem jeszcze, usiedli znowu obok siebie na kanapce. Karol objął ramieniem Julę, ona głowę swą złożyła mu na piersi. Nie mówili teraz dużo, byli jakby trochę senni, rozmarzeni. Rzadko kiedy padało słowo i tak trwali długą chwilę.

— Chciałbym cię tak całe życie obejmować i prowadzić — szepnął w ucho Juli cicho Karol.

— Od ciebie tylko zależy, abyś to mógł zrobić — odpowiedziała mu również cicho Jula.

— O czem myślisz?

— O tem, abyśmy się połączyli na zawsze.

— Myślisz o moim rozwodzie?

— I o tem także. Jeśli mielibyśmy się połączyć na zawsze, musisz się wpierw rozstać z twoją żoną.

Odsunęła się teraz od niego, wyprostowała, patrzyła mu w oczy.

Lecz on właśnie spuścił wzrok i z wyrazem zniechęcenia oparł głowę na ręku.

— Myślałem już i ja o tem — szepnął cicho.

— Widzisz — pochwyciła żywo — przedstawię ci mój plan. Wszystko da się zrobić. Obmyśliłam całość w szczegółach.

Z zaciekawieniem podniósł głowę i patrzał na nią.

— Cóżeś obmyśliła?

— Trzeba będzie zaraz jutro pójść do adwokata, o ile oczywiście zdecydujesz się na to i rozejrzeć się w kwestji rozwodu. Nie zależy mi bynajmniej na unieważnieniu katolickiem ślubu. Trzebaby rzecz tylko przeprowadzić prawnie, ja osobiście mogę wziąć ślub jakikolwiek: cywilny, protestancki lub schizmatycki, bo od dawna już nie jestem praktykującą katoliczką. Zastosowałabym się do twego życzenia i do możliwości, któraby się nasunęła. Dochody z Iwanówki trzebaby zostawić twojej rodzinie, bo musiałbyś dać jej zaopatrzenie, a ty objąłbyś administrację majątku mojego stryja. Upewniłam się już co do tego, że stryj nie weźmie żadnego innego administratora, bo mnie chce powierzyć cały zarząd. Boję się jednak dla siebie tej odpowiedzialności, majątek jest duży i wart pracy, ty lepiej wywiązałbyś się z tego zadania. Ja zaś prowadziłabym dom, ogród i może pomagałabym ci trochę w hodowli bydła. Pobory będą napewno wystarczające, gdyż stryj zawsze dobrze płaci.

— Czy sądzisz, że stryj zgodziłby się na moją osobę, jeśli dowie się o wszystkiem?

— Biorę to na siebie. Potrafię przeprowadzić u

stryja każdą rzecz, której chcę. Nie było wypadku, aby mi odmówił.

— Ale to jest sprawa poważna. Nie liczysz się z tem, że opinja nas potępiać będzie. A stryj tembardziej, jeśli jest już stary, musi mieć zapatrywania i poglądy przedwojenne. Przypuszczam więc, iż prawdopodobniejszem jest, że i ciebie odtrąci, niż żeby nam obojgu otworzył ramiona.

Zawahała się, ale tylko na jedno mgnienie oka.

— Nie znasz stryja — rzekła silnie i dobitnie — ja wiem, że się zgodzi. Ale, jeśli chcesz, możemy sprawę postawić jawnie i upewnić się przedtem. Postaram się o pisemne oświadczenie stryja. Pierwszą jednak rzeczą byłoby wdrożenie kroków rozwodowych, o ile, powtarzam, życzyłbyś sobie tego.

Karol znowu pochylił się nad stołem. Zdawało mu się w domu, że gotów był na każdą ofiarę, nie wyłączając rozwodu, aby Julę zdobyć, a teraz, raptem decyzja kosztowała go tyle, wydawała mu się tak ciężka, rad był ją odwlec.

— Rozwód, rozwód... no tak... musi być rozwód, ale to jest sprawa ciężka, wielka, nie można tego załatwić ot tak, jak z bicza trzasł!

— Nie można tego załatwić tak zaraz, oczywiście, ale można zdecydować się, postanowić — urwała i z bijącem sercem, wzrokiem i słuchem jakby uwiesiła się u ust jego. Od odpowiedzi, którą miała usłyszeć, zależał los jej życia.

Lecz on podniósł głowę i spojrzał na nią. Buntownicza i harda, jak w tej chwili, pociągała go najbardziej.

— Juliś, poco się dręczymy? Jutro o tem mówić będziemy. Cieszmy się, że jesteśmy razem, wkońcu sami, swobodni. Juliś, daj mi się uścisnąć—wyciągnął ramię i chciał ją objąć. Odepchnęła go prawie brutalnie.

— Juleczko, nie chcesz się dać pocałować? —

rzekł smutno — bronisz się, czemuś taka niedobra? Kocham cię — i nagle tak silny poczuł przypływ namiętności, że stracił panowanie nad sobą. Raz jeszcze rzucił się naprzód, by ją pochwycić, lecz, jak wąż, wyślizgnęła mu się z rąk i stanęła przed nim wyprostowana.

— Kocham cię, pragnę cię, musisz być moją — bełkotał, wpatrując się w nią szklanemi oczyma i nagle, niespodziewanie zupełnie, usunął się przed nią na ziemię.

— Juliś, nie broń się, jedyna, najdroższa, bądź moja — obejmował jej kolana, żebrał u jej nóg. — Czy widzisz, jaki nieszczęśliwy jestem, czemże jest może życie bez ciebie...

Jula patrzyła na niego zdumiona i przerażona. Z jakiegoś zapadłego kąta jej duszy wybłysnęła nagle przed nią niedorzeczna świadomość:

— Przecież ja go już nie kocham! — Obojętny był jej ten mężczyzna, korzący się u jej stóp, pogardzała nim, bo był słaby. Przez niepojętą sprzeczność natury ludzkiej, ona, harda i dumna, mogła ulec tylko silniejszemu. Podświadomie chciała tylko przemocy.

— Nie będą twoją — rzekła twardo. — Jeśli nie chcesz podać o rozwód, puść mnie, odejdę od ciebie i nie zobaczymy się więcej.

— Nie zobaczymy się?... co mówisz?... — zacharczał jakimś dziwnym głosem i wyrósł nagle przed nią ogromny, przygniatający ją całą swą wyższością i siłą wzroku. Jula cofnęła się. Takich oczu u Karola nie widziała nigdy. Coś tam kłębiło się i gotowało za niemi i tryskało w nią z taką siłą furji, że słoniła się pod tem uderzeniem.

— Chcesz rozwodu, powiadasz? Będziesz go miała. Rozwiodę się, rzucę tam wszystkich, a zdobędę cię, ale wówczas zgniotę cię w tych moich rękach,

w proch cię rzucę przed sobą, jęczeć będziesz u mo-
ich nóg... o-o-ochłostam cię, rozumiesz? Bo mi się
tak podobać będzie, dla mojej uciechy, ja, twój pan!...

Słowa chrapliwe wyrywały mu się z gardła, nie-
samowite całkiem i nieprzytomne. Twarz z czerwo-
nej uczyniła się fioletową, a oczy nabiegły krwią.
Zacisnąwszy pięści, uniósł je wysoko w górę.

Jula patrzała na niego, jak zahypnotyzowana.

— Będę... będę twoją... sługą, niewolnicą... czem
każesz. Pójdę wszędzie za tobą, bezwolna, posłusz-
na... — plotła bez sensu, wpatrując się, drżąca, z głu-
pim uśmiechem w tego mężczyznę oszalałego, który
stał przed nią okrutny, potwornie silny i groził jej.
Byłby ją teraz miał w swych ramionach, potulną, ci-
chą, pokorną i oddaną, gdyby był palcem ruszył, ale
on — załamał się nagle.

— Będziesz go miała, ten rozwód — powtórzył
raz jeszcze, jak daleki pomruk oddalającej się burzy
i opuścił ręce wzdłuż ciała.

I ona oprzytomniała nagle, a umysł jej przeszyła
raptownie iskra świadomości: „Wszak to zwycię-
stwo, cel osiągnięty!“ Z nieokreślonem uczuciem
wyciągnęła rękę do niego.

— W takim razie jesteśmy zaręczeni.

Ujął tę rękę i pochylił się nad nią.

— Jesteśmy zaręczeni — powtórzył dobitnie, a
potem, całkiem już złamany, dodał cicho: Juliś, Ju-
liś, co się też ze mną dzieje... — Odwrócił się szybko
i chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju, a Jula pa-
dła wyczerpana na kanapę.

— — — — — — — — — — — — —

Mieszkał w tym samym hotelu o piętro wyżej.
Wpadł do swego pokoju i przycisnąwszy pięści do
skroni, biegał po nim, jak ranny zwierz.

— Rozwód, a więc rozwód, tylko rozwód, innego
wyjścia niema! Niechże tak będzie! Bo ja ją zdobyć

muszę, zdławię ją, poszarpię, a wezmę. Za włosy chwycę i o ziemię rzucę. Potargam wszystkie więzy, wydam na pastwę losu całą rodzinę, ale nie wyrzeknę się jej. Drogo cię kupię, Julo nieubłagana i dumna, ale cię kupię i będziesz moją, całkiem moją własnością.

Pan Karol był naogół flegmatykiem, bardzo zrównoważonym w swoich działaniach i spokojnym w usposobieniu, ale gdy już raz coś wziął na kieł, to nie popuścił. Zacisnął zęby i pomimo wszelkiego rozsądku dążył do wytkniętego celu. Myśl rozwodu nurtowała w nim już bardzo długo, rosła, obejmowała go powoli ze wszech stron, ale nie krystalizowała się jeszcze. Być może, w głębi duszy żywił nadzieję zdobycia Juli bez tej ostateczności, gdy jednak przekonał się dziś, że na to liczyć nie może, słowo „rozwód" przebiło cienką już warstwę zewnętrzną i wypłynąwszy na wierzch, wzięło go w całkowite posiadanie. Wyrazy, które wytrysły mu dziś w szale namiętności na usta wobec Juli, uważał już za obowiązujące, dziwne zaręczyny — za umowę przypieczętowaną. Losy były rzucone w jego mniemaniu. Myśl rozwodu opanowała go jako nieubłagana konieczność, nie było już teraz odwrotu! Ale nie znaczyło to, aby się cała jego dusza, całe jestestwo przeciw temu nie buntowało. Rozwód znaczył dla niego wyrwanie się z korzeniami z gruntu, w którym tkwił i rósł przez lat dwadzieścia, z którego czerpał soki żywotne i w którym było mu dobrze. Trzeba było potargać wszystkie nici, wiążące go z t a m t y m i, z d o m e m. Co za ból! A Jula tego od niego wymagała, więc ją winił za wszystko i mścił się na niej w swojej wyobraźni. Nienawiść jego była w tej chwili równie silna, jak pragnienie posiadania jej.

— Oszaleję chyba — wołał, tłukąc głową o zimny piec kaflowy. I nagle przyszła mu zupełnie trzeźwa,

materjalna myśl: wyjeżdżając z domu wziął ze sobą paręset złotych, czy wystarczy tego na adwokata i pierwsze kroki rozwodowe?

Wyjął portfel z bocznej kieszeni, aby przeliczyć pieniądze. Był to jego zwyczaj, zawsze lubił po parę razy sprawdzać stan kasy, ale ręce mu drżały i zanurzył palce w inną przegródkę. To, co wyjął przypadkiem, nie było banknotem, to była amatorska fotografja Aliny z przed kilku lat. Siedziała przed gankiem domu, na stopniu i promiennie uśmiechnięta wyciągała ręce do małej Maryś, która stawiała pierwsze, chwiejne kroki i zataczając się, biegła ku matce. Fotografja nie była bardzo dobra, ale ruch pani Aliny był taki jej własny, pełen wdzięku, a cały obrazek taki swojski, miły i tyle serdecznych wywołał wspomnień, że serce pana Karola ścisnęło się nagle, jak w żelaznej obręczy.

— I ja miałbym to opuścić, miałbym skrzywdzić tak okrutnie istotę, która całe życie była dla mnie aniołem? — Zastanowił się chwilkę. — Przecież ja ją kocham. — Zapomniał w tej chwili, że tak często miewał ostatnimi czasy chwile odrazy do niej. Odkrył w sobie nigdy niewygasłą miłość. — Oczywiście, kocham ją i nie mógłbym przestać kochać! — Z bezwładnych rąk opadła fotografja na ziemię.

— Nie, tego nie zrobię, nie zrobię w żaden sposób! Alinko, czy mnie słyszysz? Maryś, dzieci moje, zostanę przy was!

I raptem znowu:

— Ależ ja jej obiecałem, nie mogę się cofać, cóżbym jej powiedział?... Nie, nie mogę przecie się jej wyrzec! — Stanęła w jego wyobraźni raz jeszcze przed nim, kusząca i wspaniała. — Dałem jej słowo. Słowo szlachcica. Słowo? Tak słowo! Jestem bez wyjścia. Niema rtunku... Gdzie jestem?...

Z nieludzkim prawie rykiem rzucił się na fotel,

wszystko zakotłowało się przed nim, jakiś szalony taniec myśli, słów, pragnień, żalów rozpętał się dokoła. Wizja dwóch kobiet, z których jedną tylko wybrać można, przyprawiała go o ból fizyczny. Wirowały przed nim, wyciągał ręce to do jednej, to do drugiej. Tracił pamięć, samopoczucie, nie wiedział, co się z nim dzieje. Jakieś upiorne korowody zataczały magiczne kręgi ponad jego głową. Całem ciałem oparty o stół, trwał nieruchomy, jak głaz, na pastwę wydany szalejącym wizjom, które wynurzały się, jakby z mgły i rechotały mu nad uchem.

— Skończyć, skończyć — jęczał bezbronny. I nagle, czy to podszepnął mu upiór ten rozkaz, jasny i dobitny?

— „Masz przecież sposób, poco się męczyć?“

I bez chwili namysłu i dalszego roztrząsania sięgnął do tylnej kieszeni po rewolwer, zarepetował, otworzył usta i strzelił sobie w podniebienie.

— — — — — — — — — — — — —

Antoś czuwał.

W ślad za ojcem wyjechał do Lwowa, gnany niewytłumaczalnie złem przeczuciem, a rano, wszedłszy do pokoju ojca, zastał ciało w kałuży krwi na ziemi. W ręce tkwił jeszcze rewolwer, a obok leżała zbryzgana krwią fotografja matki.

— — — — — — — — — — — — —

Pani Alina od chwili wyjazdu męża nie mogła sobie znaleźć miejsca. Błąkała się z kąta w kąt, trawiona nieustannym niepokojem, który wzmógł się jeszcze z chwilą tajemniczego wyjazdu Antosia następnym zaraz pociągiem. Dobrotliwy uśmiech, niedostępnie mieszkający na jej twarzy przez tyle lat życia, opuścił ją nagle, przegnany trwogą i smutkiem. Oczy szukały bezwiednie wciąż czegoś wokoło. Dzieci zauważyły jej stan dziwny i patrzały na nią lękliwie, szturchając się po kątach i wyrażając sobie na-

wzajem niepokój lub snując jakieś niedorzeczne przypuszczenia. Pani Alina wyglądała tak, jakby słońce, które ją oświetlało dotychczas, nagle przed nią zagasło. Spełniała swoje obowiązki, ale tylko ma=chinalnie. Nieraz nie słyszała nawet tego, co do niej mówiono. Czasem wznosiła oczy, jakby w niemej modlitwie, ściskała mocno splecione ręce i szeptała cicho: „Boże, Boże!“

W układzie życia w Iwanówce zaszły od roku szkolnego pewne poważne zmiany. Obie dziewczyn=ki ze Staszkiem jeździły teraz do gimnazjum koedu=kacyjnego w Kamienobrodzie. Okazało się już nie=podobieństwem opłacać klasztor i stancję Stacha. Tak więc codziennie, o godzinie siódmej rano wypra=wiała ich pani Alina wózkiem do miasta, wypychając im tornistry drugiem śniadaniem i książkami. W gruncie rada była z takiego obrotu rzeczy. Miała wszystkie dzieci przy sobie, mogła w pełni zaspokoić swój pociąg do troszczenia się o nie i doglądania ich. Zapełniało to jej wiele godzin i podtrzymywało sku=tecznie energję życiową w chwili, kiedy się wszyst=ko koło niej łamało i kruszyło.

Słońce świeciło jasno, ale chłodno w to wrześnio=we popołudnie nazajutrz po wyjeździe pana Karola. W sadzie zbierano wcześniejsze odmiany jabłek. Pani Alina wraz ze wszystkiemi dziećmi brała udział w tem zajęciu. Dla dzieci była to chwila radosna. Wspinały się po drzewach, w czem oczywiście celo=wał Stach. Zrywały ostrożnie jabłka widełkami i kładły je w koszyki łozowe, przyczepione do gałęzi. Był to popis zręczności, który napawał ich dumą. Do=tarcie do najwyższych i najdalszych owoców dawa=ło im radość, jak taternikowi, zdobywającemu niedostępny szczyt. Przytem objadały się soczysty=mi owocami i ogryzki padały na ziemię równie gę=sto, jak strącone przypadkiem jabłka. Na innych

drzewach siedziały bose chłopaki wiejskie, które w zręczności naśladowaniu małpoludów były już wprost nieprześcignione. Pod drzewami spacerował kulawy Wawrzko, sadownik, postukując laską i krzycząc w górę, o ile za często padały jabłka:

— Uważaj tam, uważaj jeden z drugim!

Pani Alina w starym, wyszarzałym płaszczyku siedziała wraz z Helą, pokojówką i Nastką, kuchenną, przy pryzmie zielono-czerwonych, pysznych, wonnych jabłek i przebierała je ręcznie. Każde jabłko musiało być dokładnie obejrzane, miękka plamka nadtłuczenia lub mały, czarny otworek, wskazujący robaka, wystarczały, aby jabłko, chociażby najdrobniejsze, odłożyć do kupy odpadków, a najlepsze kładło się do koszów, które miano zanieść do piwnicy.

W sadzie był ruch i gwar. Dzieci pokrzykiwały do siebie z gałęzi na gałąź. Co chwila przynosiły dziewczęta kosze uzbieranych jabłek i ostrożnie wykładały je na kopce, których liczba naokoło słomianej budy sadownika rosła szybko. Każdy był innego koloru: oto jabłka czerwono-żółte, tutaj znów zielonawo-rdzawe, a dalej tam mocno rumiane, drobne, a wszystkie uśmiechały się wesoło, pociesznie tłoczyły się jedne przy drugich, chwytały za oczy i pachniały mocno. Nad kopczykiem przejrzałych troche, złotawych gruszek uwijały się dokuczliwe osy.

Ręce pani Aliny pracowały sprawnie i szybko, ale myśli jej niespokojne pracowały jeszcze szybciej. Od czasu do czasu ostry ból przeszywał jej serce, a wtedy musiała na chwilkę przerwać robotę, aby tchu zaczerpnąć. Ręce jej opadały bezsilnie i wzrok błądził gdzieś, w dal. Tak zastała ją pani Ładosiowa, która w zgrabnym, jasnym kapelusiku i długim płaszczu weszła, elegancka i piękna, jak zwykle, do sadu.

— Owocobranie! — zawołała zdziwiona. — Tak wcześnie zbieracie jabłka? Na dobrą chwilę trafiłam, musicie mi dać skosztować najlepsze.

Już pani Alina podniosła się ociężale z ziemi, a Stach i Maryś z wrzaskiem, sobie właściwym, zeskakiwali z gałęzi, aby nadstawić pani Idzie swoje koszyczki do wyboru.

— My zbieramy tylko wczesne odmiany — wołała Maryś. — W tym roku drzewa tak obrodziły, że trzebaby było wszystkie gałęzie podpierać.

— I jeszcze niektóre połamały się — dorzucił Stach — ale mamy za to jabłek, a jabłek!

— Cudowne, cudowne — mówiła pani Ida, unosząc wspaniały, okrągły owoc i przytykając go do nosa. — Jak pachnie ślicznie!

— To rambury, proszę pani, to najlepsze jabłka, jakie są pod słońcem — trzepał Stach. — Proszę jeszcze jedno wziąć ode mnie.

— I ode mnie — wołała Maryś — o, to najładniejsze — i wtykali jej w dłonie jabłka przemocą.

— Nie słyszeliśmy nic, kiedyś zajeżdżała — mówiła pani Alina, zbliżając się. — Bardzo to ładnie, żeś wpadła do nas. Chodź pod lipki do ogrodu, bo tu niema na czem usiąść — i odwracając się do Heli, dodała półgłosem: — Przyniesiesz tam podwieczorek.

— Chodźmy, owszem, muszę z tobą pomówić. Czy wiesz, że przyjechałam się pożegnać?

Szły obok siebie, ale pani Alina przystanęła nagle, zdumiona tem oświadczeniem.

— Jakto pożegnać? Dokąd wyjeżdżasz?

— Do Lwowa, na całą zimę, na stałe.

— Nie może być, wyjeżdżacie oboje?

— Nie, Kazio zostaje. Nie wystawiasz go sobie chyba w mieście! Cóżby tam robił? Będę mieszkać z moimi synami. Stancja ich kosztuje tyle, że sądzę oszczędniej będzie, jeśli im sama dom poprowadzę.

— No, dobrze, ale Wiszenka?

— I cóż Wiszenka? — z lekkiem zniecierpliwieniem wzruszyła pani Ida ramionami. — Jeśli ma się dalej palić, to się spali i bezemnie.

Siedziały teraz obie na ławeczce pod rozłożystą lipą, pierwszą w alei. Pani Ida ujęła łokieć sąsiadki, pochyliła się ku niej i nagle przeszła w ton zwierzeń:

— Widzisz, ja już w tej Wiszence nic nie wygospodaruję. Dziura w kieszeni coraz większa, a jeszcze ten pożar na dobitek wszystkiego, pomyśl sobie! Czy wiesz, że to ruina dla nas?

— Strasznie mi was żal. Tak, to prawdziwa katastrofa, ale nie rozumiem twoich projektów. Twój wyjazd do miasta może chyba tylko ten stan pogorszyć.

— Ależ nie, ja będę szukać w mieście zajęcia, już nawet mam coś obiecanego. Czuję, że lepiej potrafię pracować w mieście, niż na wsi. Tu, widzisz, nie udawało mi się nic. Wszystkie moje wysiłki poszły na marne. Trudno wciąż pracować bez żadnej korzyści. Mam dość, mam dość już tego! Cierpliwość może się wkońcu wyczerpać. A mieszkając z chłopcami, potrafię coś jeszcze zaoszczędzić z kosztu ich utrzymania poza domem. Zrozumże mnie i nie potępiaj, Linko! — nalegała, widząc nieustępujące ździwienie na twarzy sąsiadki.

— Ależ nie potępiam cię, tylko nic nie rozumiem. Chcesz opuścić swój dom i swoje niezależne tu stanowisko, aby się tułać wśród obcych i obijać się w szarym tłumie miejskim?

— Dlaczego mam się obijać w szarym tłumie? Może potrafię wybić się z pośród niego i także stworzyć sobie tam stanowisko.

— A!... a twój mąż? Cóż na to pan Kazimierz?

— Kazio? No, cóż ma robić? Godzi się na wszystko.

— I ty masz serce tak go opuścić, zostawić go tak samego?

— To jest właśnie najprzykrzejsza strona tego projektu. Bardzo mi żal Kazia i w tej sprawie właśnie dziś tu przyjechałam. Chcę was prosić obojga, abyście się nim trochę zajęli, zapraszali go często do siebie. Trzeba mu okazać trochę serca, bo ja z tak daleka nie wiele dla niego zrobić mogę. Liczę na was, jako na dobrych i życzliwych sąsiadów. — Pocałowała panią Alinę w policzek. — Chciałam się widzieć z twoim mężem, aby go osobno jeszcze o to prosić. Gdzie jest pan Karol?

— Niema go.

— Jakto, niema go?

— Wyjechał wczoraj.

— Dokąd?

— Lo Lwowa.

Teraz dopiero spostrzegła pani Ida zmianę w twarzy sąsiadki. Przypatrzyła się jej uważniej.

— Linko, tobie coś jest, coś ci dolega.

— Ej, nie... tylko widzisz, ja ci nie radzę opuszczać pana Kazimierza. Jak się ma męża tak dobrego, to go trzeba szanować, trzymać, nie puszczać. Rozumiesz? Tak mocno trzymać, aby go nie stracić — mówiła z nerwowem przejęciem, oczy jej błyszczały, zacisnęła dłonie, jakby w nich chciała uwięzić człowieka, który się jej wymykał..

Pani Ida patrzała na nią zdumiona.

— Dlaczego mi to mówisz, przecież ja go nie tracę, odjeżdżając go na czas jakiś? Nie jesteśmy dziećmi.

— Pilnuj się, mówię ci, bo nie ma gorszego bólu, jak utrata najukochańszej istoty. Życie zostaje pustką, jeśli w niem braknie seca, dla którego się żyło...

Głos jej zabrzmiał najwyższą nutą tragizmu i urwał się. Pani Ida kiwała głową, ale już nic nie od-

powiedziała. Uszanowała ból, nie chciała go drażnić, a może domyślała się, o czem mówiła pani Alina.

Hela przyniosła podwieczorek i rozłożyła go na drewnianym, ogrodowym stole. Rozmowa poszturkiwana niepewnie, toczyła się dalej, poprzez to jadło, niesmakujące żadnej z nich.

Po odjeździe sąsiadki siedziała pani Alina nadal na ławeczce, jakby przytłoczona jakimś wielkim ciężarem, który nie dawał jej się ruszyć.

Nagle, w głębi alei ukazał się Antoś. Patrzała na niego, jak się zbliżał i nie dziwiła się nawet, skąd się tu wziął raptownie, skoro wczoraj wyjechał do miasta. Była jakby otępiała, myśl jej nie mogła pracować i obraz widziany nie przedostawał się do jej świadomości. Lecz w miarę, jak rosła jego postać, zbliżając się ku niej, zarysowywały się wyraźniej jego rysy i śmiertelna na nich bladość. Zasłona na świadomości pani Aliny rozdarła się nagle, coś uderzyło w jej serce jakby młotem. Zerwała się raptownie, lecz nie miała siły postąpić kroku. Oparła się o stół. Antoś podbiegł i teraz stał przed nią. Zmierzyli się oczyma. Coś okropnego wyczytała w jego wzroku.

— Stało się coś? — wyszeptała zbielałemi wargami.

— Stało się... najgorsze.

— Ojciec? — niedosłyszalne prawie tchnienie dobiegło uszu Antosia. Chciał ją przygotować stopniowo, powoli, ale czy mógł teraz jeszcze coś ukryć? Ona już wiedziała.

— Nie żyje — tem samem oddał tchnieniem i już był u jej boku, już otaczał ją swem silnem, opiekuńczem ramieniem. Osuwała mu się bezwładnie na piersi.

— Matuś, ale ja jestem przy tobie — powiedział jej głęboko i podtrzymał mocno, aby nie upadła.

KWESTARZ W UZARACH
(Zamiast epilogu)

Październik miał się ku końcowi. Świat zasnuły zimne, mgliste opary. Wiatr zacinał przykro i gwizdał po opustoszałych polach. Szaro było i smutno. Na dworskich łanach kopano jeszcze ziemniaki. Ludzie grzebali w ziemi, jak ciemne mrówki, wydrapywali z czarnej, lepkiej grudy jasne gałki, dobre, poczciwe kartofle — ostoję biednych. Dymy rozpalonych ognisk na polach ścieliły się nisko przy ziemi i niosły daleko ze sobą smutek jesieni.

Na wyboistej drodze, wiodącej do folwarku państwa Milczkowskich posuwała się zwolna staroświecka bryka dwukonna. Na koźle chłopak, ubrany w wyszarzałą świtkę i w czapkę baranią, nasuniętą na jedno ucho, zgarbiony, poruszał bezmyślnie od czasu do czasu lejcami. Na tylnej ławce, z szerokiem oparciem, siedział kwestarz bernardyn, z nasuniętym na czoło od wilgotnego wiatru kapturem, zgarbiony, zamyślony. Bryka skrzypiała, przewalając się po nierównej drodze, to na jedną, to na drugą stronę.

Za chwilę wjeżdżała już na dziedziniec dworku w Uzarach. Kwestarz uchylił kaptura i spojrzał badawczo dokoła.

W przeciwieństwie do licznych wielkich, pretensjonalnych, pałacowatych dworów, które odwiedzał w ciągu swej wiecznej wędrówki, a których postępującą ruinę stwierdzać mógł z roku na rok, mimo wszelkiego zewnętrznego szychu, ujrzał tu mały domek przy folwarku, tuk obok stajen, właściwie nie o wiele większy od zamożnej chaty wieśniaczej. Gontowy dach był już nieco powykrzywiany, jedna

ściana zewnętrznie przez grzyb nadgryziona, bo skąpa pani Ohorska, od której Milczkowscy folwark ten dzierżaliwi, głuchą była na wszelkie przedstawienia, dotyczące konieczności remontu, a młode małżeństwo, porając się z ciężkimi warunkami gospodarowania, obciążonego w dodatku tenutą dzierżawną, nie mogło pozwolić sobie na przeprowadzenie remontu domu własnymi środkami. Ale mimo to, domek stał mocno jeszcze wparty w ziemię, a wewnątrz jasno było i schludnie i praktyczną, gospodarczą rękę znać było wszędzie.

Pani Zosia Milczkowska krzątała się właśnie między kuchnią a śpiżarnią, a pan Jerzy, co dopiero wróciwszy z pola, otrzepywał przed gankiem grubą warstwę wilgotnej ziemi, przylgniętej do butów, gdy bryka kwestarza ukazała się w zajeździe i wnet zatoczyła się przed ganek. Spojrzał ździwiony pan Jerzy, wyszła na ganek wywabiona turkotem pojazdu pani Zosia i oboje wpatrywali się przez chwilę w niezwykły już dzisiaj obrazek zajeżdżającego kwestarza, którego osoba i bryka jakby wyjęte były z pamiętników Chodźki. Skąd wziął się w tych czasach ten pogrobowy epigon nieistniejącej już klasy ludzi? Niewiadomo. Słyszeli o nim dalekie wieści już dawniej państwo Milczkowscy, że z jakiegoś odległego pochodził klasztoru i jeździł po głuchych prowincjach, przyjmowany naogół chętnie tu i tam, przywożąc ze sobą wprawdzie już nie nowiny z szerokiego świata, bo w tem uprzedziły go już od dawna wszędzie radjo i gazety, ale za to różne, przedziwne nieraz nowiny z innych wiejskich dworów i o tem, co w ciągu długich swych wędrówek od ludzi zasłyszał, a czego niema zwykle ani w gazetach, ani w wiadomościach politycznych z wielkiego świata.

Zajeżdżał wszędzie cicho i kwestując o datek na

klasztor, wypowiadał zwykle w rozmowie kilka zdań osobliwych, które tę dziwną miały własność, że dopiero po jego odjeździe uświadamiały się słuchaczom w całej pełni, zniewalając, przynajmniej na chwilę, do głębszej refleksji. Po takiej wizycie odjeżdżał niemal niepostrzeżenie, jakgdyby chyłkiem przed czemś uchodził. To też tam, gdzie częściej bywał, zyskał sobie przydomek „człowieka nie z tego świata“. Mimo całej prostoty jego bryki, postaci, słów i gestów, otaczała go w opinji powszechnej jakaś, nie dająca się bliżej określić, tajemniczość.

Zeskoczył dość żwawo z bryki, bo niestary był jeszcze, o zdecydowanych, nieco rubasznych ruchach. Państwo Milczkowscy, po opanowaniu swego pierwszego wrażenia, ruszyli gościnnie z powitaniem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — zaczął kwestarz, kłaniając się państwu Milczkowskim pochyleniem głowy i jakimś szerokim gestem ręki, wyrażającym uniżoność, szacunek, życzliwość i pewien staroszlachecki rozmach zarazem.

— Na wieki wieków — odparli młodzi. — Cieszymy się bardzo z wizyty dobrodzieja, bo zawitał do nas nareszcie, choć już dawno słyszymy o jego podróżach po okolicy — dodał pan Jerzy, wprowadzając gościa na ganek.

— Ano, jeździ się tu i tam, gdzie można spodziewać się serc miłosiernych, a nie wszędzie odrazu się trafi. Ciężko bo jeździć z kwestą dzisiaj na potrzeby klasztoru. Oj, nie takie to czasy, jak dawniej! Mówią, że po wojnie więcej jest ludzi na świecie, a jednak stary nasz klasztor jakiś opuszczony, coraz bardziej jakby na pustyni...

Pani Zosia tymczasem zawinęła się szybko, jak zwykle, z przyrządzeniem śniadania i wnet zasiedli

wszyscy troje koło stołu w małej jadalni, zastawionym obficie, choć skromnie.

— Na zdrowie brata dobrodzieja — rzekł pan Jerzy, napełniając kieliszki.

— Dziękuję pięknie, ale że też państwo tak mię po królewsku ugaszczacie.

— Ot, niech nas dobrodziej nie zawstydza — zaśmiała się pani Zosia. — Czem chata bogata, tem rada. Ale jakież nowiny ze świata, mój dobrodzieju? Pewnie ich dobrodziej cały worek ze sobą na bryczce przywozi!

Kwestarz zamyślił się na chwilę, spuszczając głowę.

— Nowiny, pani dobrodziejko? Tak, są i nowiny, ale nie wiem, czy dobre, bo to dzisiaj na wsi rzadko gdzie co dobrego słychać. Śmieli się dawniej kwestarze i palili dowcipami, no, bo inne były czasy i ludziom weselej i raźniej było na duszy. To i dowcip trzymał się człowieka.

— Tak, tak — podchwycił wesoło pan Jerzy, napełniając powtórnie kieliszki — sławny dowcip kwestarski...!

— Już go niema — odparł kwestarz, kiwając głową. — To już niepowrotny przeżytek, tak, jak i ze mnie już przeżytek. Mówią nasi ojcowie w klasztorze, że już więcej nie warto wysyłać kwestarzy. Tak, ja zapewne ostatni. Takie to czasy... a przy nich i dowcip uleciał, o którym mówi pan dobrodziej.

— Racja, bracie dobrodzieju, święta racja. Już nikt się dzisiaj naprawdę nie śmieje, chyba tylko z jakiegoś nieprzyzwoitego dowcipu, którym ludzie z braku czegoś mądrzejszego lubią sadzić, albo z bezsilnej rozpaczy nad beznadziejnem kruszeniem się ojcowizny i wyczynami biurokracji podatkowej!

— Ale nowiny, dobrodzieju, nowiny! — wtrąciła wesoło pani Zosia, przysuwając kwestarzowi ta-

lerze z przekąską i kiełbasą. — Tak smutne rzeczy opowiadacie, a ja ciekawa jestem nieco plotek z sąsiedztwa, bo siedzimy tu, jak na ustroniu, zaharowani robotą po uszy i zwykle nic nie wiemy, co się w okolicy dzieje.

— Plotki, pani dobrodziejko? — powtórzył kwestarz. — Oby to były tylko plotki! Ale gorzej, bo to prawda. Źle się u nas dzieje!

— No, mówcież, dobrodzieju — zachęcał p. Jerzy, dolewając znowu wiśniówki — bo ciekawość grzeszna, ale trzeba przecież wiedzieć, gdy chodzi o znajomych i sąsiadów. Parę miesięcy temu była tu u nas piękna uroczystość przysposobienia wojskowego, wszystko się zjechało, wszyscy w świetnych humorach! Ale niechże brat jeszcze nałoży, pewnie głodny po wytrzęsieniu się na naszych drogach!

— Bóg zapłać, moi państwo! Głodny, to trochę jestem, ale nie z wytrzęsienia po drodze, tylko, że nic dzisiaj jeszcze w ustach nie miałem. Jadę właśnie od p. Ohorskiej...

— Od cioci! — pochwyciła pani Zosia, śmiejąc się. — No, tam zapewne dobrodziej nie mógł się utuczyć!

— Ano, trudno! Dobrodziejka pani Ohorska srodze oszczędna. Wielce to pobożna osoba, ale narzeka, że świat rozrzutnością ginie. Chce zbierać pieniądze, ale ni dla człowieka, ni dla bydlęcia nie ma serca. Wszystko chodzi u niej chude i głodne, w domu i na folwarku, chyba, że ukradnie. A taka gospodarka też zła, bo niewiele może rodzić. Jaka pani, takie sługi i żyto i bydło. Wszystko nędzne i chude. Dała mi woreczek mąki, ale takiej, że ją chyba gdzie wyrzucę po drodze, bo mi ją wstyd pokazać w klasztorze. Ojcowie się wyśmieją i powiedzą, że kwestarz do niczego. Ale to nie wszystko. Dała mi dobrodziejka łaskawa coś więcej jeszcze. Że to dzisiaj zimno

i przyjechałem tam wczas rano, trochę zziębnięty, więc myślałem, że dostanę jaki stary kożuch, który się potem przyda w ubogim naszym klasztorze, albo kieliszek wódki. Nic z tego. Przywitała mnie dobrodziejka nabożnie, po chrześcijańsku, kazała przynieść ten woreczek mąki, parę funtów, a potem, kiedy mówię, że paskudny ziąb dzisiaj na dworze, to taka panna, co jest u niej we dworze — stara i brzydka — bierze nagle ze mnie miarę, jak krawiec. No, myślę sobie, będzie jakaś świtka na poczekaniu! Aż tu po chwili przyrządzono mi całą sutannę z... gazety! Tak, moja dobrodziko, ze starych gazet uszytą i pani dziedziczka mówi mi, że taki papier najlepiej chroni od zimna, bo o tem niedawno nawet w gazetach pisało i w czasie wojny ludzie też w papierowych sukniach chodzili i ciepło im było. Musiałem przyjąć ten dar i podziękować, bo nie szło inaczej, ale chichotały sługi dokoła, a mój urwis furman śmiał się głośno, że mi aż wstyd było. Pokłoniłem się i pojechałem, ale jeszcze na folwarku widziałem żyda, który targował u rządcy takie chude świnie, jakich w całem życiu nie widziałem. Każde żeberko można było policzyć!

Wesołym śmiechem wybuchnęli oboje młodzi.

— Tak, tak! — zawołał pan Jerzy — już to tak jest u ciotki. I nas, jako swoich dzierżawców, dusi, jak tylko może, no, ale się nie damy i chcemy urządzić z nią sąd polubowny, do którego zaprosimy sąsiadów. Niech rozsądzą, bo chciałaby i nas zapewne wychudzić, jak swoje wieprzki. No, ale co dalej?

— Co dalej? — podjął kwestarz. — Ano, byłem wczoraj u p. Wyszymirskiego, u którego dziwna mnie spotkała przygoda.

— A cóż to znowu była za przygoda?

Kwestarz połknął ostatni kawałek, otarł usta i zaczął:

— Taka to mnie tam spotkała przygoda. Zajeżdżam ja przed te ruiny, w których pan mieszka. Nigdzie on się z nich nie ruszy, chyba na pole, zresztą siedzi w nich, jak puszczyk zaklęty. Tylko jeden Katz ma dostęp, no i na dobre tam już, jak słyszę, zaczyna gospodarować. Niedługo, jak Wyszymirski pójdzie, a Katz zostanie. Zajeżdżam więc — cisza głucha. Wołam, stukam, tylko echo mi odpowiada. Myślę sobie: czy tu już tylko sowy mieszkają? A wtem wychodzi ten sługus, pan Rudolf i prowadzi mnie do oficyny, do jakiegoś pustego pokoju, daje mi krzesło i każe siedzieć. Więc siedzę, czekam i myślę sobie: co to znaczy? Wkońcu przychodzi pan kamerdyner i trzyma duży papier w ręce. Myślę sobie: przynajmniej chcą mnie uraczyć, pewnie niesie spis potraw, wybiorę sobie coś extra — warto było czekać, będę miał ucztę raz w życiu. Nakładam okulary na nos, a tam stoi napisano dużemi literami:

„Do wielebnych księży kwestarzy i wielebnych sióstr kwestarek. Oznajmiam, że żadnych koni na podwody, ani datków na miejscu nie daję. W czasach poczty, telefonu i radja kwestarze są przeżytkami. Proszę zwracać się do mnie o datki tylko listownie".

Myślę sobie: źle bracie z tobą, obiadu nie będzie, a gdybyś nie miał klasztornej bryki, to musiałbyś zmykać stąd per pedes apostolorum! Oddaję tedy papier, kłaniam się uniżenie panu kelnerowi i mówię tak: „No, to dziękuję pięknie, nie wiedziałem o tem, na drugi raz będę już pamiętał, a teraz idę. Niech będzie pochwalony". A więc kapelusz na głowę i w drogę. Ale na folwarku dogania mnie pan Rudolf i daje mi kwitek na korzec żyta. Że to niby pan przesyła

ostatni raz, bo kwestarz nie zna jeszcze nowego zwyczaju.

Znowu śmiech rozległ się na ganku. — A co w innych domach w powiecie słychać? — nalegała ciekawie pani Zosia.

— Ot, nigdzie nie jest wesoło. W Czelatyńcach pusto, hrabstwo wyjechali do Warszawy. Księstwa W Kamienobrodzie też niema, siedzą pono gdzieś zagranicą. W Brodach pusto i tylko sowy gnieżdżą się po kominach. W Wiszence siedzi sam pan Kazimierz, bo pani Ładosiowa wyprowadziła się do miasta. Powiadają, że ten pan Szczerbański, co tam często przyjeżdżał, wyrobił jej tam jakąś posadę. No i proszę, taka dumna pani, a zeszło jej teraz na wycierkę w mieście po biurach.

— No, no, ma, czego chciała! Zawsze mówiliśmy z Jurkiem, że przy swojem usposobieniu i w takich warunkach długo na wsi nie wysiedzi.

— Ależ tam bieda teraz w tej Wiszence! Pożal się Boże, jak się tam wszystko do bankructwa chyli! Nawet drzewa w ogrodzie wszystkie wycinają i sprzedają żydom. Pan Kazimierz mówi: „Poco mi parku?“

— A u państwa Cerkawskich? — poddała pani Zofja.

— U Cerkawskich? Tam już wogóle i jeść niema czego. Tfu, poco ja tam jeździł? Bieda taka, że aż z za kołnierza wyłazi! Pan cały dzień leży na kanapie i fajkę pali, a pani w kożuchu uwija się niby po tem marnem gospodarstwie, ale tam już niema co i robić! Ciągle tylko nachodzą jakieś komorniki, czy kto tam, z papierami i coraz to coś zabierają. A pan to nawet do nich nie wyjdzie, tylko klnie i śmieje się i pali fajkę na kanapie. Córki kłócą się z matką, chcą niby się ubrać, szkoły kończyć, a tu niema za co. Z próżnego jušci nie naleje. „Poco nas

rodzice na ten świat wydali“? — tak te smarkate krzyczą do matki, że aż człowiek uszy zatyka i ucieka na podwórze.

— To straszne, taki ładny mieli majątek i wszystko stracili!

— A przez co?

— Czy ja wiem? Jurek mówi, że przez nieudolne interesa.

— Możliwe. Dziś człowiek ma, a jutro odwraca się karta i już nie ma nic. Tylko tych dziewcząt mi szkoda, bo to marnuje się i niedobre się robi, oj niedobre, przez biedę!

— Tak, macie słuszność, dobrodzieju, że w biedzie człowiek nieraz gorszym się staje. Ale tak być nie powinno — kto pracuje, ten nigdy tak nisko nie upadnie.

— Święta racja, pani dobrodziejko. Jest bieda i bieda. Bywa taka bieda, że jej człowiek nie winien i jak się zabierze do roboty, a z drugim porozumie i wszyscy zgodnie wezmą się z biedą za bary, to ją wkońcu przemogą. Ale jak człowiek sam sobie biedę napyta i trwa w niej i wygnać jej nie chce, no, to co innego... Ot, kto mi się zawsze bardzo podoba, to panna Lila Kostrzycka. To jest panna na schwał! Takiej drugiej, to ze świecą nie znajdzie: mądra energiczna, trzęsie wszystkiem w Białokońcach, rano z teczką idzie do lasu, mierzy, rachuje, z inżynierami się rozmawia. Nawet rodzice jej słuchają. Wiecie, moi państwo dobrodzieje, jak to pani Kostrzycka lubi stękać i narzekać, a panna Lila zaraz powie mocno: „Mamo, wszystko jest dobrze, niema o czem mówić!“ To zaraz pani ucisza się i do mnie tylko szepnie: „Widzi dobrodziej, co to za dziewczyna? To skarb, to nasz ratunek! Cobym ja bez niej robiła?“ I patrzy na nią, jak w niebo. Przyjmą mnie tam

zawsze po ludzku i obdarzą porządnie, mimo biedy, a to wszystko zasługa panny Lili.

— A co, Jureczku, — wtrąciła śmiejąc się p. Zosia — czy nie mówię ci zawsze, że dzisiaj kobiety więcej warte od mężczyzn?!

— Często masz rację, moja droga — odpowiedział w zamyśleniu pan Jerzy.

— To ja też — dodał kwestarz — zawsze modlę się za nią, aby jej Pan Bóg dał dobrego męża. A co, pani dobrodziejka nie wierzy? Modlę się zawsze za moich dobrodziejów i będę się modlił za państwa, tak zacnych i poczciwych i za duszę ś. p. pana Przybyłowskiego — Panie świeć nad jego duszą! A jak tam teraz smutno w Iwanówce...

Pani Zosia poruszyła się.

— Niechże dobrodziej opowie, co tam słychać? Takie straszne nieszczęście! Dla całego powiatu to klęska, ale dla pani Aliny, dla dzieci...

— A tak, byłem tam, kiedyż to?... przedwczoraj. Smutno tam teraz naprawdę, aż serce się kraje. Pani Przybyłowska zmizerniała, zeszczuplała. Błąka się biedactwo po domu i co parę kroków zrobi, to przysiada i za piersi się chwyta. Może i chora? Tylko oczy takie duże i czarne się zrobiły i patrzą przed siebie, jakby coś w dali widziały. Gdyby nie Haneczka, która jej teraz pomaga, bo do szkoły już nie jeździ, to nie podołałaby pracy i nie wytrzymałaby tego bólu. Tyle pociechy choć, że ma te dobre dzieci przy sobie. A ten pan Antoś, to szczere złoto. Jaki on dobry dla matki! Nie uwierzycie państwo, jak wciąż ino patrzy na nią z niepokojem i pyta: „Matuś, czyś nie zmęczona, czy nie potrzebujesz czego?“ Oj, Bóg miłosierny pobłogosławi im jeszcze, wynagrodzi kiedyś... — przerwał i otarł ze wzruszeniem oczy.

Słuchali państwo Milczkowscy ze ściśniętem sercem, ale po chwili przemogła jej kobieca ciekawość.

— A nie słyszał czego dobrodziej o tej pannie Juli?

— Poczekajcie, coś mi tam mówiła panna Lila o niej. Zaraz, zaraz, aha! Już nie gospodaruje u stryja, ale dostała posadę w Warszawie, podobno bardzo dobrą, gdzieś w ministerstwie, przy jakichś doświadczeniach rolnych, czy coś podobnego. Będzie teraz jeździć po całej Polsce na inspekcje. Mówi podobno, żeby teraz już na wsi nie wytrzymała, że musi mieć ruch. Et, pannica, wolę już więcej o niej nie mówić. Narobiła nieszczęścia, a teraz buja po świecie...

— Takie to teraz życie, dobrodzieju — pokiwał głową pan Jerzy. — Jedni, jak my, starzeć się będą przy pracy na dawną modłę, bodaj czy nie na darmo?... a inni, młodsi, ruszają w nowy świat z całą siłą.

Kwestarz spojrzał na niego z ukosa.

— Wolę ja już taką młodą siłę, jak u pana Antosia, niż taką, co to różnych ludzi po nieciekawych drogach ze wsi do miasta na posady wygania! Ileż to tego, mężczyzn i kobiet, ciągnie dzisiaj na te tam jakieś posady do Warszawy! Aż wstyd, bo często za takiemi, jak widać, coś siedzi, co ich wypędza do wielkiego miasta. Ale mi żal tych Przybyłowskich okropnie, bo tam już tak cienko, że nie wiesz, jak oni w tej Iwanówce usiedzą? Nie mają już ani kucharza, ani pokojówki, tylko jedna bosa dziewka na cały ten dom i pani, choć słaba, gotuje dla wszystkich, a Haneczka sprząta. Czyściutko tam i porządnie i jeść dobrze dadzą, ale mówię państwu, że jak człowiek pomyśli, że na to im przyszło, aby tak po chłopsku pracować, to aż się serce ściska. Bo i pan Antoś pracuje od rana do nocy, jak chłop, aż mu ręce zgrubiały. Taż to byli państwo prawdziwi i dobrzy i pracowali zawsze i nie wydawali na faramuszki, a teraz

nie stać ich już na kucharza i połowę domu zamknęli...

— Ej, niech brat dobrodziej tak nie lamentuje! — przerwał pan Jerzy. — Pracują, jak chłopi, bo to jedyny dzisiaj sposób, aby się na pewno na ziemi utrzymać. Taż my z żoną to samo robimy. I u nas nie znajdzie dobrodziej kucharza! I dlatego nie stoją Przybyłowscy tak źle, jak się wydaje, ale rozumieją, że tylko chłop może dziś na ziemi wyżyć. Ziemia, to rzecz święta, ale wymaga twardej ręki i prostej duszy. A tym wszystkim paniczykom i filozofom, którzy przy pomocy coraz to nowych wynalazków chcą z niej lichwiarski zysk wyciągać przy najmniejszej pracy, albo tym, którzy na niej w panów dzisiaj chcą się bawić, balować, podróżować i nic nie robić — tym wszystkim ziemia umyka się, nie chce im służyć!

— A cóż się stanie z tymi dworami szlacheckimi? Jak myśli pan dobrodziej? Co ma być z tymi panami, co w nich od pradziada siedzą i dobrzy byli? Czy to już ich wszystkich djabli brać mają? — wtrącił kwestarz z zagadkowym uśmiechem.

— Ano, myślę, że utrzymają się ci, co potrafią zmienić stanowczo tryb swego życia i stanąć na innej płaszczyźnie, może niższej, ale silnej i zdrowej. Ci zostaną zawsze potęgą, jako żywiciele społeczeństwa i chociaż ciężkie przechodzić mogą chwile, ale bez wykształconych gospodarzy na tej ziemi, która rodzi, wydaje chleb i utrzymuje życie ludzkie, świat się nie obejdzie, a prosty chłop także temu zadaniu sam nie podoła. I dlatego my utrzymamy się przy ziemi, nie bójcie się, kwestarzu! Zawsze biedni, kaleki, starcy i tacy ich zacni opiekunowie, jak wy, mój bracie dobrodzieju, będą mogli do nas kołatać i zawsze w śpichrzach naszych garść zboża dla siebie znajdą!

— Daj wam Boże, daj Boże! — potwierdził z pewnem ożywieniem kwestarz, widocznie wzruszony. — Tak to zapewne i będzie. Ale to, co teraz widzę, jeżdżąc na moim wózku po tej tu okolicy, a i dalej jeszcze, to niedobrze. Toż to już jednym palą się dachy nad głową, a gdzieindziej, to już nawet jak na cmentarzu. Znikło, wymarło, albo gdzieś rozleciało się po świecie. Widzi mi się, jakby się stary świat walił, a jakiś nowy zaczynał. Tak, tak — powtórzył po chwili, potrząsając głową — muszą przefasonować się dwory na chłopski sposób, bo inaczej to, co idzie nowe, wyrwie je z ziemi. Macie rację, panie dobrodzieju. Ale to nietylko to nowe, co idzie, wyrywa je z ziemi, bo to, co stare, to już je kruszyło.

— Cóż takiego? — przerwali z zaciekawieniem oboje państwo Milczkowscy.

— Oj, patrzałem ja na to nieraz i wiele widziałem i słyszałem, aż za wiele. Aż uszy puchły. Słyszeli państwo, że dowcip kwestarski był rubaszny. Tak, ale niewinny, nikomu szkody nie robił i duszy nie plamił. A jakie to tam teraz u różnych wielkich państwa dowcipy mówią i o czem gadają i jak się bawią i panowie i panie i bodajże już nawet i panienki — niech ręka Boska broni! Wstyd mnie było usiedzieć w takim salonie i brać grzech na duszę z samego słuchania tych sprosności. Nieraz musiałem uciekać i ani nie czekałem na ofiarę. Czy to mądrzy ludzie i niby pobożni katolicy nie mogą już o czem innem mówić? A im młodsze to jest, tem nieraz gorsze i zarozumialsze, aż strach! A o rozwodach, co to my dawniej prawie nigdy nie słyszeli, to ci teraz młodzi tak prawią, jak o chlebie powszednim. O byle co. Nie jest ci tak źle z tem na wsi, jak w mieście, gdzie, jak słyszę, mężowie i żony, jak piłki, między sobą się wymieniają i nawet już jakieś nowe prawo jest pisane, co im to ma jeszcze ułatwiać. Że to niby nowe

czasy! Ale już i do wsi schodzi ta zaraza. A jakie książki czytają, com ja tam za obrazki widział w tych różnych ilustrowanych pismach, co to leżą po stołach we dworach, to francuskie, to nawet polskie i ludzie się tem rozkoszują i każde dziecko może oglądać... Oj, dopust i kara Boska!

Milczeli oboje młodzi pod wpływem tych słów kwestarza, wreszcie pan Jerzy zapytał:

— A byliście w Kamienobrodzie, dobrodzieju? Co tam słychać z naszą spółdzielnią, bo już dawno nie mamy o niej wiadomości, a podpisaliśmy przecież udziały?

— Otóż to, panie dobrodzieju! Niema spółdzielni! Mówiono mi, że się wszystko rozleciało. Książę wyjechał, jak to pan — dziś jest tu, a jutro go już niema. Inni też pozniechęcali się, jeden po drugim, potem się nawet o coś tam pokłócili, ten pan Balke, niby dyrektor od spółki, wściekał się i latał i prosił i groził — napróżno! Koniec wszystkiemu i kwita. Będą dalej pachciarze śmietankę z mleka zbierali i na folwarku się rządzili.

— A byliście w Kamienobrodzie, dobrodzieju? — z jakim to zapałem przemawiali prawie wszyscy na zebraniu?

— Pamiętam, a potem nawet i chłopi chcieli do spółki przystąpić... szkoda!

— Taki to zawsze u nas słomiany ogień — dodał kwestarz. — I od tego właśnie ognia dachy na dworach płoną. I sterty także. Masz pan rację, panie dobrodzieju, że utrzymają się tylko te dwory, które będą twarde i do nowych warunków na świecie potrafią się dostosować. Ale ja mówię, że nietyle te nowe warunki są najgorsze, choć ciężkie, ile sposób życia i te dziwne jakieś obyczaje. One to głównie gubią, bo jak komu płocho w głowie, a przytem dumny, a zarozumiały, to ani do pracy żadnej niezdolny, ani

się uratować nie umie. A przecież wy, moi panowie, to niegdyś główna podpora państwa i całego narodu! Wasze dzieje, to dzieje Polski, o których uczą w szkołach. Ale tak mi się widzi, że robiliście te dzieje niegdyś pługiem, mieczem i radą. A gdzie teraz te trzy rzeczy się podziały, które razem dopiero moc szlachecką stanowiły? Jeszcze pług, jak pług, chodzi po roli, choć tam na nim więcej różnych interesów i kombinacji, niż warta ta orana ziemia. Ale gdzie miecz, gdzie rada — ta mądra rada o kraju i dla kraju? Czy się szlachta po dawnemu do niej garnie? Ja tam widzę, że coraz bardziej od niej ucieka, a wielu mówi wprost, że ich to nudzi, że to głupie, nierealne. Ot, pierwszy pan Wyszymirski głosi takie rzeczy po całej okolicy i wyśmiewa się z każdego zebrania. Toż przecież nawet o własnym interesie skutecznie radzić nie umieją, a cóż dopiero o sprawach krajowych! Wspomnieć o tem, to machną ręką i mówią, że to nie dla nich, że od tego są inni, tam gdzieś w Warszawie, przy wielkim ołtarzu. No i słusznie — bo, że ich tam niema, że ich ta niby polityka, jak to każde dobro publiczne nazywają, nie obchodzi, to biorą wszystko w kraju za łeb inni, sprytniejsi, albo co dalej myśleć potrafią i robią tak, jak im się podoba, a dwory nic nie mają do gadania. Brak ziemian w radzie kraju, ot co jest! Brak ich już dzisiaj nie dlatego, że nie mogą, ale że nie chcą. Bo gdyby chcieli, toby mogli. Ale oni nie chcą, bo ich to nie interesuje, bo nie rozumieją, że im właśnie dlatego kto inny dach nad głową pali, a myślą tylko wciąż, że jak się zamkną na swoim folwarku i w kółko po nim chodzić będą, jak nie przymierzając ten koń w kieracie, to spełnią już cały swój obowiązek.

Zerwał się pan Jerzy z krzesła i przemierzywszy pokój nerwowo tam i z powrotem, stanął przy stole i lekko weń pięścią uderzył.

— Słusznie, kwestarzu, ale my, ludzie twardzi, także nie damy się! Przetrzymamy!

— Przetrzymacie, daj Boże, ale pracując na roli, pamiętajcie o kraju i róbcie coś dla niego, nie przez posłów, bo to nie wystarczy, ale całą waszą zbiorową siłą, która wielką jest jeszcze w Polsce. To wasza rola, to wasz obowiązek i widzi mi się także, że to racja bytu polskiej szlachty, choć ona się niby teraz ziemiaństwem nazywa. Tem wzrośliście i tem trzymaliście się na czele państwa przez wieki. Jeżeli dzisiaj tego nie zrozumiecie, to nie utrzymacie się nawet przy najtwardszej pracy. Szlachcic nie może całkiem chłopa naśladować, ani w interesach przechytrzeć kupca czy żyda, ale mocny jest tylko wtedy, gdy spełnia swą rolę, gdy jest tem, czem ma być i gdy jest potrzebnym dla kraju. A wy, panowie ziemianie, probujecie niby to i owo, ale robicie tak, jakbyście już z waszej roli zrezygnowali i nie umieli dla kraju nic zrobić. Ot, co jest!

— Ale mnie czas w drogę, moi łaskawi dobrodzieje. Bóg zapłać za posiłek i ofiarę. Rozgadałem się, jak już dawno z nikim nie gadałem, ale tak myślę, że w tym waszym zacnym, serdecznie gościnnym dworze, który ostaje się wśród ruin dokoła, warto było to wszystko powiedzieć, co od dawna na sercu leżało. Pewnie nie zapomnicie o tem, moi młodzi państwo. Laudetur Jesus Christus — zakończył kwestarz, siadając na brykę.

— Nie zapomnimy na pewno! — odpowiedzieli oboje gospodarstwo jednym głosem.

Amelia Łączyńska.